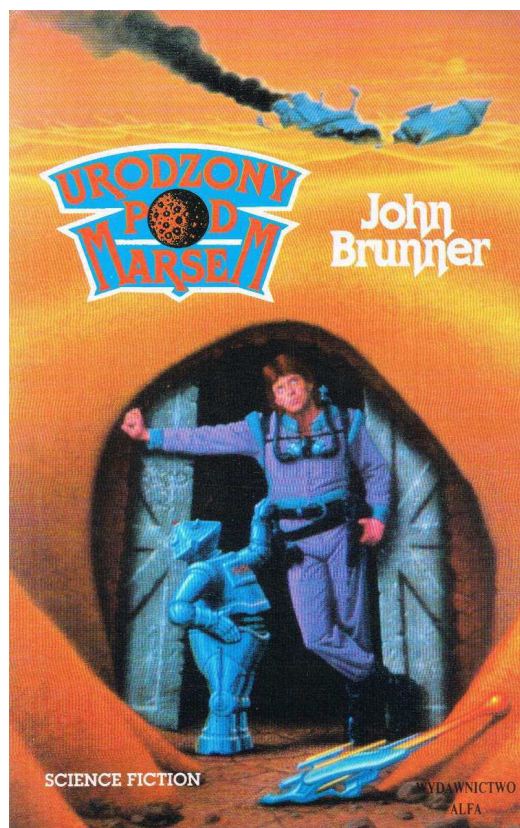


**JOHN BRUNNER**

**URODZONY  
POD MARSEM**

TYTUŁ ORYGINAŁU: BORN UNDER MARS  
PRZEKŁAD: KRZYSZTOF MASŁOWSKI



WYDAWNICTWO „ALFA” WARSZAWA 1993

Opowiedziałbym o wszystkim tak, jak to przeżyłem. Ale nie jestem już taki jak wówczas, gdy się to działo. Jednak co do godziny, prawie co do minuty pamiętam, kiedy zmiana się rozpoczęła.

Pokój był pusty, oświetlony jedynie pożółkłą ze starości świetlówką. Stało w nim kilka krzeseł. Jedno było kamienne, ręcznie wykute i ważące około ćwierci tony. Przywiązali mnie do niego, gdyż nawet w polu grawitacyjnym Marsa nikt nie mógł się poruszyć, ciągnąc za sobą taki ciężar. Dla mnie, Marsjanina, był to ciężar zabójczy.

Myślałem wiele o śmierci, gdyż tego nauczył mnie Thoder, a jego nauki, co zrozumiałem po latach, miały swoje znaczenie. Obawiałem się tego, co na końcu powiedział mi swym chrapliwym, głuchym głosem: „Zawsze istnieje możliwość ucieczki, Rayu, choćby przez ścianę na końcu naszego życia.”

Lecz takiej ucieczki nie zamierzałem podejmować. Gdyby była jakaś przyczyna, gdybym wiedział, dlaczego zrobili ze mną to, co zrobili, mógłbym zastosować się do jego wskazówki.

Brak przyczyny zmusił mnie do sięgnięcia pamięcią wstecz, do wcześniejszych nauk Thodera, który mawiał: „Pocieszenie jest panczerem.”

Pocieszeniem był fakt, że przesłuchujący mnie nie osiągnęli celu, do którego zmierzali, cokolwiek nim było. Lecz tak krucha osłona marnie chroniła przed biczem nerwowym. Nie wiele mogłem zyskać nie podając informacji, których nie posiadałem.

Jednak chwyciłem się owej nadziei całą duszą. Tym razem chciałem zapamiętać wszystko. Czterej torturujący mieli osłony osobiste filtrujące głos. Nie mogłem niczego pominąć, jeżeli zamierzałem szukać klucza do ich identyfikacji, a zamierzałem, pomimo piekielnie ostrego bólu nerwów.

Oslabłem na początku i myślałem o innej nauce Thodera, tej o koraliku na strunie, której dotąd nie pojmowałem: jak, pozwalając czasowi biegnąc swobodnie, przyspieszyć lot pocisku świadomości w przyszłość. A jednak był to zwykły, nieskomplikowany proces snu. Znosząc cierpienia i czerpiąc ukojenie z jedyne go słabutkiego źródła, zacząłem rozważać możliwość odwrotną: takie napięcie czasu, by koralik zatrzymał się i chwila bieżąca stanęła. Wciąż płonąłem, gorzałem wewnątrz!

Jeżeli przeżyję, odnajdę Thodera, aby błagać o przebaczenie.

Nie, nie umiałem użyć wszystkich sił psychicznych, by zwolnić bieg czasu; mogłem jedynie uchwycić okresy między poszczególnymi wybuchami bólu, by patrzeć, słuchać, węszyć, czuć i zapamiętywać tych ludzi.

Najpierw pomyślałem: handlarze niewolników! Pomimo wszystkich oficjalnych zaprzeczeń, pogłoski na temat porwań w niewolę rozchodziły się szeroko. Większość oskarżeń padała oczywiście pod adresem Tyrana Centaurusa. Oficjalnie Ziemia była neutralna, a Ziemia nie jedynie mieli swoje indywidualne poglądy, ale większość ich sympatii leżała po stronie Niedźwiedzi.

O ironio! Ja, Ray Mallin, przejąłem punkt widzenia Ziemian.

Moja świadomość błędziła. Traciłem bezpowrotnie sekundy! Zorientowałem się, że czas od ostatniego porażenia biczem był wyjątkowo długi, co dało mi szansę na ponowne skupienie myśli.

Akcent? Mówią płynnie po angijsku. Ale ja mówię *lingua spatia* zarówno Centaurów, jak i Niedźwiedzi z równie dobrym akcentem i słownictwem, a więc ci ludzie mogą być...

Bezczelowe rozważania. Słuchaj lepiej, co mówią, nakazałem sobie, jakbym był Thoderem.

Mężczyzna siedzący na środkowym krześle, jednym z trzech ustawionych naprzeciwko, warknął:

— Jeszcze raz, powiedziałem!

Stojący z boku z biczem w ręce podniósł swój instrument. Naprężyłem się, lecz przywódca potrząsnął głową.

— Spróbuj bez bicia — rozkazał. — Ból może być kluczem do wizji hipnotycznych.

Starłem się nie pokazać ulgi, gdy ostatni z mężczyzn odwrócił się i stając twarzą do mnie — przynajmniej na to wskazywało wysunięcie się bezkształtnej masy jego osłony osobistej — powiedział głosem przymilnym:

— Rayu Mallinie! Twoja ostatnia podróż! Cofnij się pamięcią i powiedz nam, jak się zaczęła!

Czy powinienem teraz opowiedzieć pełniej, dodając więcej szczegółów? Odrzuciłem pokusę. Byłem bliski przekonania ich, że mówię prawdę, bliski zwycięstwa, bliski ucieczki i zemsty. Po co ryzykować? Czy taki elaborat zmieniłby cokolwiek? Chodziło wciąż o nagą prawdę.

Moja ostatnia podróż była pierwszą, która doprowadziła mnie aż do Durrith. Nigdy przedtem nie podróżowałem wiele w przestrzeni Centaurów, ale widziałem większość interesujących światów w sferze wpływów Niedźwiedzi i ostatecznie obrzydła mi sprzeczność między oficjalną propagandą neutralności Ziemi a tym, co, jak wszyscy wiedzieli, kryło się za nią. Obawiałem się popaść w stereotypowe myślenie, co mogło spowodować, że ludzie sądziłoby, iż jestem, jak na to wskazują dokumenty, obywatelem Ziemi.

Jednak do czasu gdy stałem się uczciwszy, nie nazwałbym tego prawdziwą obawą.

Przeszedłem bardzo długą drogę, połykając masę propagandy pomimo odrazy, jaką do niej czułem. Treści przez nią podawane były prawie takie same, gdziekolwiek się ruszyłem na północ lub południe Starego Systemu. Ale tutaj ludzie byli inni. Gdy po raz trzeci postawiłem się Głównemu Oficerowi kapsuły, na której pokładzie leciałem, arystokracie pretendującemu do koneksji rodzinnych z samym Tyranem, zostałem wyrzucony na Durrith. Gdyby to samo co ja zrobił członek załogi pochodzący z Centaura, zostałby zapewne wyrzucony bez zbędnej troski, czy znajdzie jakąś planetę, by na niej postawić stopę. Pierwszy i ostatni raz byłem wdzięczny mojemu oficjalnemu pochodzeniu. Pożytek z bycia Ziemianinem był taki, że znalazłszy się w którejkolwiek sferze wpływów, mogłeś przez pewien czas liczyć na pomoc drugiej strony. Ale nie chytrym ziemskim politykom mogłem zawdzięczać tę przypadkową korzyść — wynikała ona jedynie ze strategicznej pozycji Ziemi, leżącej między dwoma potężnymi blokami.

Z tego czy innego powodu centauryjski oficer czuł się jednak zobowiązany do pokazania mi służby, prowadzącej na planetę nadającą się do zamieszkania. Wylądowałem na Durrith z wypłatą za połowę trasy i bez żadnych perspektyw.

Na początku nie byłem zbyt zaniepokojony. Skierowałem się do Kontroli Ruchu w Głównym Porcie Durrith i wydałem część mojej gotówki na zawieranie przy kieliszku znajomości z kontrolerami portowymi. Ten sposób działał świetnie na Złotej Gwieździe, gdzie nieoficjalnie powiedziano mi o wakującym stanowisku inżyniera na frachtowcu, czego jedyną stroną ujemną był fakt, że gdybym ponownie wściubił swój nos na Złotą Gwiazdę, lokalne bractwo załóg odcięłoby mi go. Nie powiem, abym się tym przejmował. Bractwo nie mnożyło oddziałów swoich postępowych związków bliżej Starego Systemu i odróżniało narodowość marsjańską. Dopóki tak postępowali...

Teraz nie miało to znaczenia. Na Durrith, na drugim ze światów na południe od Sol w przestrzeni Centaura, nie było bractw. Były za to patronaty.

Trzy tygodnie na Durrith, bez cienia szansy na jakąkolwiek posadę. Zastanawiałem się, czy wykupić powrót do domu, co miało posmak porażki, czy wybrać tańszą możliwość i wbrew wszelkim swoim zasadom udać się do lokalnego konsula ziemskiego, aby wysłał mnie

do domu jako PZO (Poddanego Ziemskiego w Opresji) z powiększającym krzywdę, znieważającym przymusem rocznej służby dla rządu zaraz po powrocie w celu zwrócenia kosztów. Pracować bezpłatnie dla Ziemi! Sama myśl o tym wzburzyła mnie.

Oszczędzałem gotówkę, w miarę możliwości pomagając w barze i odkrywając, że metoda świetnie działająca u Niedźwiedzi, tutaj zawiodła całkowicie. Wtedy pojawił się Lugath.

Lugath tak różnił się od innych centauryjskich oficerów, że gdyby nie dowodził jednym ze statków zapisanych w rejestrach Centaura, trudno by mi było uwierzyć w jego obywatelstwo. Po pierwsze okazywał strapienie, co na Centaurze poczytywane było za brak godności. Po drugie zwracał się do mnie jak kolega i szybko przeszedł do rzeczy.

— Mówią mi, że znasz się na napędach czteroprzestrzennych.

Pokazałem swoje dokumenty. Oczywiście liczne, wstemplowane przez Niedźwiedzi poświadczenia moich zasług, którymi papiery były zapchane, świadczyły przeciwko mnie w tej części świata. Wciąż jednak dawały świadectwo, kim byłem, i to dobre świadectwo.

Sądziłem, że Lugath wykrzywi wargi i odejdzie, widząc tak wiele stempli Niedźwiedzi. Jednak ledwo je skomentował.

— Widzę, że służyłeś głównie w przestrzeni Niedźwiedzi.

Wzruszyłem ramionami i skinąłem głową (Thoder rzekłby, że wypadło mi to nijako).

— Co cię sprowadza na tę stronę?

— Czteroprzestrzenna chłodnia! — strzeliłem i od razu pożałowałem tego. Była to odpowiedź w stylu, którego zbyt często używałem wcześniej w stosunku do Głównego Oficera na chłodni i gdybym nie powściągnął swojego języka, mogłem stracić nową pracę, zanim ją otrzymałem.

Lugath niecierpliwie zmarszczył brwi.

— Co to znaczy?

— Statek chłodniczy klasy Spica, panie kapitanie. — Ostatnie słowa dodałem z opóźnieniem. — Wyrzucili mnie, ponieważ byłem zbyt skory do dyskusowania z szefem. Ale dam sobie radę z każdym czteroprzestrzennym napędem, jaki zechce mi pan pokazać.

Lugath wahał się, ale z innego niż przypuszczałem powodu. Rzekł wreszcie:

— W takim razie może nie życzysz sobie szybkiego powrotu do Starego Systemu na...

Pochyliłem się do przodu. To było cudowne! W rzeczywistości chciałem być poza przestrzenią Centaura i nie zamierzałem się martwić, gdyby okazało się, że nigdy tu nie wrócę.

— Na Ziemię czy na Marsa? — spytałem.

Rzucił mi dziwne spojrzenie, w którym kryło się coś, co dopiero o wiele później zdołałem zidentyfikować jako zwykły strach.

— Naturalnie na Marsa! — odpowiedział.

I „naturalnie” miał rację. Ziemia nie lubiła, gdy obce statki wierciły dziury w atmosferze rodzimej planety. Dał mi pracę, choć obawiałem się, że mój nieumyślny błąd odstręczy go.

Jego statek, tak jak i on sam, odbiegał od normy. Był wynikiem przeróbek. Kadłub klasy Deneb, pół frachtowiec, pół liniowiec, ale z silnikami typu krążownika, których budowę maksymalnie uproszczono, tak, by można je było upchnąć w dostępnej przestrzeni. Z kadłubem mającym tak niewielką masę dawały prędkość równą luksusowym liniowcom. Aby uprzedzić moją nieuniknioną ciekawość, Lugath od razu wspomniął o wyciągnięciu ich tanio z jakiegoś wraku. Ta historyjka zabrzmiała groźnie, ale zbyt obawiałem się o pracę, aby gnębić go pytaniami.

Przez długi czas wydawało mi się, że silniki pozostawią kadłub za sobą. Spędziłem podróż wprost śpiąc z nimi, z urządzeniem alarmowym obok hamaka, by obudzić się, gdy tylko coś będzie szwankować. Zdarzało się to często i zaczął ogarniać mnie niepokój, czy stałego inżyniera Lugatha nie załamało życie w ciągłym napięciu, lecz nie pytałem o niego. Zaliczyliśmy Marsa bez wypadku i Lugath wypłacił mi dodatkową premię. Czegoś takiego

nie oczekiwałem od Centaura.

W locie nie było nic szczególnego poza nienormalnością silników i serdecznością Lugatha — oczywiście jak na Centaura, gdyż gdyby był Niedźwiedziem lub Ziemianinem, nazwałbym go pompatycznym i pysznym.

I to właśnie niepokoiło przesłuchujących.

Gdy skończyłem, zapadła cisza. Czekałem. Wreszcie najważniejszy z czterech niewidocznie wzruszył ramionami i skinął na trzymającego bicz. Ponieważ narzędzie było wyregulowane na maksimum, usiłowałem, jak pokazywał mi Thoder, przyspieszyć czas maksymalnie, by moje prywatne t e r a z przegoniło atak bólu.

Choć byłem zbyt powolny, odczułem ból tylko przez chwilę, lecz tak mocno, że straciłem przytomność. Moją ostatnią świadomą myślą było wspomnienie delikatnego „ts-ts” Thodera, rozczarowanego swoim uczniem.

## 2

Brak tchu...

Walczyłem z przejawami strachu, starając się sięgnąć pamięcią aż do momentu przebudzenia się z odrętwienia i uświadomić sobie, co mnie przerażało. Znamy to zjawisko ze snów, gdy myślimy: „płynę, mam twarz zanurzoną, tonę” i jednocześnie wiemy, że dopływ powietrza został zatamowany przez miękką poduszkę, więc odwracamy głowę i sen mija.

Nie znaczy to, że ja, Marsjanin, kiedykolwiek pływałem w wodzie. Myślałem najpierw, że dławi mnie kurz, bowiem usta i gardło miałem suche i obolałe, jakbym dusił się piaskiem. Ale myliłem się. To ciężka warstwa wilgotnego powietrza kładła się na mnie, przytłaczając i wypełniając usta i płuca. Lekarstwem było chwilowe wstrzymanie oddechu. Dlaczego oddychałem tak głęboko? Czując ból w gardle spostrzegłem zanikające napięcie mięśni. Ogarnięty przerażeniem krzychałem, może nawet wyłem.

Thoder powiedziała: „Człowiek łączy rzeczy odległe o miliony lat — a zatem czy przeraża cię Tamerlan, Tybetańczyk czy Tovarenko?”

Nie oddychając czułem, odmierzałem, analizowałem. Najpierw powietrze. Gdziekolwiek się znajdowałem, było go pod dostatkiem, ale nie odpowiadało warunkom marsjańskim. Ciśnienie na Marsie mierzymy tak, jak i na Ziemi, ilością stóp nad powierzchnią morza. Przyjmując za jednostkę tysiąc stóp, otrzymujemy ciśnienie normalne na powierzchni naszej planety równe stu. Arbitralnie, lecz w miarę dokładnie. Jak wszyscy Marsjanie, przywykłem oddychać przy dziesięciu. Tutaj kombinacja ciśnienia i wilgotności utrudniała ocenę, lecz szacowałem ciśnienie na dwie, najwyżej trzy jednostki. Nic dziwnego, że wydawało mi się, iż duszę się i oprócz słabnącego już bólu po uderzeniach bicza nerwowego, miałem nudności spowodowane nadmiarem tlenu.

Następnie miejsce, gdzie leżałem. Łóżko. Poruszyłem się na próbę i znalazłem potwierdzenie moich przypuszczeń. Łóżko z unoszeniem bezgrawitacyjnym zamiast sprężyn. Już raz leżałem na takim w kosztownym i cieszącym się złą opinią domu na Charigol. Leżałem nago, na plecach, z jedną ręką na brzuchu, a drugą wyciągniętą pod kątem prostym do barku i wciąż nie mogłem dosięgnąć krawędzi. Łóżko było szerokie. Jak wszyscy Marsjanie, jestem chudy i wysoki.

Odetchnąłem ponownie, powoli i przewietrzając ćwiartkę moich płuc otworzyłem oczy. Zobaczyłem dwoje ludzi. Byli wraz ze mną w pokoju pastelowo-zielonym i złotym, którego jednokierunkowe okna wpuszczały światło wczesnego poranka lub późnego popołudnia. Tak więc znałem już kierunek wschód — zachód. Mój nastrój poprawił się. Otoczenie zdołało

wielkie wazy pełne brązowych płatków kwiatów piaskowych, których zewnętrzne liście zwijały się w podmuchu zasłon z suchego powietrza, strzegących je przed roztopieniem się w wilgotnym ziemskim otoczeniu. Ściany były pokryte matami trzciniowymi, ręcznie plecionymi, połyskującymi warstwą plastyku chroniącą przed wilgocią.

Tak więc, już przed spojrzeniem na parę ludzi, wiedziałem coś o nich, o ile oczywiście była to ich siedziba lub miejsce przez nich wybrane dla siebie. Choć nikt nie mógł pomylić ich z Marsjanami, zaakceptowali miejsce swego pobytu i nie próbowali zamaskować swej tożsamości.

Z mojej próbnej dedukcji wynikało, że są pozytywnie nastawieni do mnie. Czyżby, mówiąc prościej, wybawcy...?

Bliżej mnie, na skraju łóżka, siedziała dziewczyna. Przy mnie była karlicą, jak większość z jej ziemskiego plemienia, lecz wyglądała na zminiaturyzowaną przez piekielną grawitację, a nie, jak wielu innych, na zatrzymaną w rozwoju. Pełna wdzięku, z ciemnymi włosami związanymi na karku. W złotej twarzy, trzykrotnie szerszej niż owalna, połyskiwały paciorki oczu, poszukując mojego wzroku. Miała na sobie coś koloru płatków kwiatów piaskowych, błyszczącego brązem i szeleszczącego jak jedwab, gdy pochylała się do przodu.

Za nią, przy jej ramieniu, stał mężczyzna; na Ziemi uważano by go za wysokiego, lecz dla mnie był przysadkowaty i nalany. Jasne włosy spadały gęstymi lokami na bladą kwadratową twarz. Nosił ciemny, niebiesko-czarny strój ziemskiego kroju. Dużą rękę z palcami jak łopaty położył na ramieniu dziewczyny. Przypominało mi to szczęki szuflki mechanicznej, zaciśnięte na miękkim ciełe.

— Obudził się, Piotrze — powiedziała dziewczyna głosem o dźwięku skrzypiec. Było zadziwiające, o ile głębiej i bardziej przejmująco, niż do tego przywykłem, jej głos zabrzmiał w zagęszczonym powietrzu hermetycznego pokoju. Ale nigdy nie dawałem się uwieść temu, co było wynikiem działania otoczenia. Kobiety w ciemności to pierwszy stopień do kłamstwa. Ludzie są podobni, lecz nigdy tacy sami.

Mężczyzna, idąc w ślady kobiety, zgarbił się kładąc swą wielką rękę na górnej krawędzi łóżka bezgrawitacyjnego, zawieszono go dziwnie w powietrzu. Mnie to zawieszenie mniej dziwiło, gdyż powietrze wokół było dla mnie ośrodkiem tak gęstym, jak materia, którą podobno można znaleźć w oceanie. Mężczyzna zapytał:

— Czy czujesz się wystarczająco dobrze, by rozmawiać?

Skinąłem głową.

— Czy pamiętasz, co się zdarzyło?

Będę pamiętać do dnia mojej śmierci. Ale Thoder uczył: „Pytania zawierają odpowiedzi. Pytający ujawnia, co wie.”

Postanowiłem zaprzeczyć i potrząsnąłem głową.

— Znajdujesz się w przybudówce Apartamentów Wielkiego Kanału — powiedział mężczyzna nazwany Piotrem. — Przebywałeś tutaj większą część dnia. Znalaziono cię w pyle ulicy w pobliżu naroża Starej Świątyni, niemal uduszonego. Byłeś skatowany biczem nerwowym.

Skąd mogli wiedzieć? Czyżby byli dwojgiem z moich oprawców? Słuchając wszystkich czterech nie przypuszczałem, że któryś może być kobietą, ale filtry, zmieniające wysokość głosu... Myślałem o mojej nagości i o tym, jak Thoder nauczył mnie odczytywania kłamstwa po napięciu mięśni odległych od twarzy. Ale zapytałem, skąd wiedzą.

— Najpierw myśleliśmy, że jesteś pijany — powiedziała dziewczyna. — Nie byłeś. Potem sądziliśmy, że masz chorobę Larchmana. Ale nie miałeś gorączki.

— Trzeźwy, nieprzytomny, bez gorączki — rzekł Piotr. — Żadnych widocznych uszkodzeń, a ledwo mogłeś znieść dotykanie. Na pewno byłeś skatowany biczem nerwowym.

— Czy się dusiłem? — spytałem.

Szybka odpowiedź Piotra uświadomiła mi, że nie będąc Marsjaninem, rozumie suro-

wość życia na mojej planecie. Powiedział:

— Miałeś maskę, ale kurz dostał się do rury oddechowej i przeniknął przez zawór. Usłyszeliśmy spowodowany tym twój kaszel.

— A wy? — spytałem.

Wymienili spojrzenia, jakby spodziewali się, że jeszcze coś wyjawię, zanim, być może, podając klucz do ich identyfikacji napiętnuję ich, nazywając oprawcami. Aby w pełni zrozumieć, dlaczego nie marnowałem energii, powinni urodzić się na Marsie, lub raczej pod Marsem, gdyż ostatnim ogniwem łączącym nas z Ziemią był tlen potrzebny do rozwoju embrionu. Dlatego ciąża musiała przebiegać w środowisku pod ciśnieniem zerowym lub nawet równym minus jeden. Jest nas niewielu; być może przymus spędzenia trzech siódmych roku, dusząc się pod ziemią, częściowo tłumaczy ten fakt.

Ale zaakceptowali zaistniały bieg rzeczy. Mężczyzna powiedział:

— To jest Lilith Choy, a ja nazywam się Piotr Nizam. Z Ziemi oczywiście.

— Oczywiście. — Zabrzmiało to bardziej ironicznie, niż zamierzałem. — I wiecie, kim ja jestem?

Ponownie wymienili spojrzenia. Piotr rzekł wreszcie:

— Jeżeli papiery, które masz, są twoje, nazywasz się Ray Mallin. Jesteś inżynierem, specjalistą od silników czteroprzestrzennych i sądzimy, że przysporzyłeś sobie wrogów.

— Zatem nie wydało wam się dziwne, że znaleźliście mnie niemal martwego na rogu ulicy?

Trafiłem w sedno. Z pewnych powodów mieli nadzieję, że będę odzyskiwał sprawność przez dłuższy czas i zdenerwowałem ich, zadając z miejsca tak niezręczne pytania. Lilith odpowiedziała zmieszana.

— No cóż, jesteśmy obcy na Marsie.

— Czy informowaliście policję?

Cofnęła się. Piotr spytał ostro:

— Obawiasz się, że to zrobiliśmy? Jesteś kryminalistą?

— Nie. Ale jeśli nie moje papiery, to moje ciało mówi wam, że jestem Marsjaninem, a my mamy swoje metody postępowania.

To, że zamaskowani prześladowcy nie zniszczyli moich dokumentów, oszczędziło mi wielu kłopotów. Nowe dostałbym łatwo, lecz brakowałyby w nich wielu istotnych pieczęci, przyłożonych ostatnio przez Niedźwiedzi.

— Tak — powiedziała Lilith — mówiono nam o tym. Dlatego nie zawiadamialiśmy policji.

— Prócz nas — dodał Piotr — nikt nie wie, że tu jesteś.

— Czuję się zobowiązany — dodałem niechętnie. Musiałem to zrobić, taki był zwyczaj, a oni ocalili mi życie i nie uczynili nic, czego bym sobie nie życzył; ale miałem nadzieję, że nie powiedziano im również, jaki obowiązek brałem na siebie, wypowiadając te słowa. Aby zmienić przedmiot zainteresowania usiadłem, obejrzałem swoje ciało przed ześlizgnięciem się na skraj łóżka i na podłogę. Dzięki moim marsjańskim wymiarom mogłem z imponującej wysokości spojrzeć na nich, prawie karzełków, których wzrost został zahamowany przez piekielną grawitację ich planety.

— Czy mogę dostać moje ubranie i rzeczy?

Dziewczyna zadarła głowę, by zobaczyć moją twarz i jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, jakby przedtem, gdy leżałem rozciągnięty na łóżku, nie zdawała sobie sprawy z mego wzrostu. Powiedziała:

— Tak, oczywiście. Zaraz przyniosę.

Przeszła szybko i wdzięcznie po podłodze z trzcinowej maty, otworzyła szafę w sąsiednim pokoju i przyniosła ekwipunek. Mężczyzna rzekł z wahaniem:

— Zjesz coś czy może chwilę odpoczniesz? Nie żalowali bata, skoro straciłeś przyto-

mność.

— Dziękuję bardzo, ale mam coś do załatwienia — odpowiedziałem.

— Z ludźmi, od których dostałeś baty? — zasugerował.

— Na Marsie nie zadaje się takich pytań — zgasilem go.

Zaczerwienił się lekko.

— Przykro mi. Mówiono mi o tym, lecz zapomniałem. Tradycja wywodząca się z pierwszych dni, nieprawdaż? Kiedy sekret był jedyną rzeczą, którą można było nazwać własną?

— Czy ktokolwiek, gdziekolwiek miał coś więcej? - odrzekłem.

Dziewczyna wróciła z moimi rzeczami i ubrałem się. Były uprane i pomimo ciężkiego, wilgotnego powietrza pachniały świeżością i czystością. Rozmawiając łyknąłem więcej powietrza niż powinienem. Ubierając się, poruszałem się szybko, by zlikwidować nadmiar tlenu we krwi.

Lilith proponowała to samo co Piotr: odpocząć dłużej i zjeść z nimi. Potrząsnąłem głową, przeglądając papiery i sprawdzając maskę przed wyjściem na ulicę. Przygotowali ją wcześniej, co było uprzejmością z ich strony. Wskaźnik pokazywał więcej niż „pełny”. Byłem znudzony po razach, które na mnie spadły, lecz odpocząłem porządnie i po dniu lub dwóch powinienem odzyskać siły.

— Wychodzisz od razu? — spytał Piotr.

— Tak. — Zapiąłem maskę, wziąłem do ręki pokrywę na twarz, by założyć ją przy opuszczaniu pomieszczenia utrzymywanego pod ciśnieniem i spojrzałem na Piotra.

— Poczekaj. — Był zmieszany. — A... przed chwilą mówiłeś, że masz wobec nas zobowiązanie, nieprawdaż?

Ktoś musiał mu powiedzieć o zwyczaju. Mrówki przebiegły mi po karku. Ciągnął dalej, pomimo ostrzegawczego szturchnięcia Lilith.

— Zrozum, że nie chodzi mi o żadną korzyść, ale akurat jest coś, w czym mógłbyś nam pomóc odwiedzając się i co można by nazwać nawet poświęceniem się. Czyż nie taka jest tradycja na Marsie?

Nie mogłem zaprzeczyć; byłoby to zaparcie się własnego pochodzenia, własnej planety — Marsa. Teraz wszystko zależało od tego, czy zażądam, bym uczynił coś istotnego, czy nie. Miałem płonną nadzieję na coś drobnego i zwyczajowego: być może żądanie przemycenia czegoś. Często proszono mnie o przewiezienie perfum i kosmetyków, których jedynie namiastki były dostępne po niskiej cenie, a Lilith była piękna mimo swej maleńkości i...

Jeżeli mieszkali w przybudówce Apartamentów Wielkiego Kanału, z ciśnieniem utrzymywanym na poziomie dwóch tysięcy stóp normalnego ciśnienia ziemskiego, mogli płacić cło za wszystko, czego potrzebowali.

— Czego żądacie? — zapytałem.

— Jesteś kosmonautą, więc zapewne — zrobił niejasny gest — zachodzisz tutaj do portu, gawędzisz z innymi...

Zaczęły ogarniać mnie złe przeczucia.

— Około trzech dni temu wylądował statek centauryjski z Durrith. Jest wciąż w porcie, a przynajmniej był dziś rano. Nazywa się *Hippodamia* i wygląda jak pasażera, ale bardzo prawdopodobne, że nim nie jest. Bardzo zależy nam na informacji o każdym skandalu, pogłosce lub plotce, o wszystkim co go dotyczy i co ludzie związani z portem mówią na jego temat.

### 3

W ciągu kilku następnych sekund znalazłem się w zasięgu działania fal załamujących moją wiarę w bycie Marsjaninem.



Piotr powiedział:

— Bardzo zależy nam na informacji o każdym skandalu, pogłosce lub plotce, o wszystkim co go dotyczy i co ludzie związani z portem mówią na jego temat.

Nie byłem osobą związaną z portem, byłem inżynierem kosmicznym. Ponadto, od czasu mego lądowania i powrotu do domu, nie byłem w ogóle w porcie. To wszystko zbytnio śmierdziało mieszaniami się kogoś z zewnątrz, a szczególnie z Ziemi. Dla dziewięćdziesięciu dziewięciu na każde sto żyjących gatunków ludzkich, Mars był jedynie „międzygwiazdowym terminalem Starego Systemu”, a nie planetą z własnymi mieszkańcami, własną kulturą oraz tradycjami i zwyczajami, mającymi moc prawa. Tak więc nie rozmawiałem z nikim o statku Lugatha od czasu, gdy się zwolniłem i skierowałem do miasta, zadowolony ze znalezienia się poza jurysdykcją Centaurów.

Ale Piotr i Lilith widzieli moje dokumenty; musieli zauważyć stemple Centaurów, które kończyły długi szereg pieczęci Niedźwiedzi ciągnący się strona za stroną.

Musieli skojarzyć, że data mego lądowania po ostatniej podróży zbiega się dokładnie z datą lądowania statku, którym się interesują. Nawet jeśli nie rozpoznali podpisu Lugatha, namazanego niemal nieczytelnie niewywabialnym atramentem w poprzek dolnej części druku zwolnienia.

Studiowałem uważnie twarze obojga, starając się możliwie najdokładniej przeniknąć myśli pod nimi ukryte, jak podpisy pod zdjęciami w teście osobowym, któremu Thoder zwykł mnie poddawać. Dziewczyna zdawała się mówić: Piotrze, wiemy, że on był na statku! Dlaczego nie mówisz mu wprost, że potrzebujemy informacji. Na co Piotr odpowiedziałby: Słyszałem, że Marsjanie są zwariowani na punkcie honoru. Uczciwość jest czymś, co, jak głoszą, stawia ich nad Centaurami, Niedźwiedziami i Ziemianami. Stawiam na to.

Powiedziałem wreszcie:

— Zanim odpowiem, powiedzcie mi, czy rzeczywiście czysty przypadek przywiódł was do mnie, leżącego w kurzu ulicznym?

Nastąpiła chwila wahania, w czasie której Lilith wyciągnęła z kieszeni papierosa i włożyła go do swych pięknie skrojonych ust. Widząc to musiałem stłumić swoją reakcję Marsjanina, przypomniawszy sobie, że tlenu wystarczy tu nawet na podtrzymanie ogniska, jeżeli ktoś zechce je rozpać. Stała się dla mnie znacznie mniej pociągająca fizycznie, gdy dowiedziałem się, że pali. Uważałem to za nawyk nieodpowiedzialny, nawet gdy miało się wokół niewyczerpane zasoby naturalnego tlenu.

— Częściowo był to przypadek — rzekł Piotr, dobierając słów. — Poinformowano nas, że na pokładzie statku, którym się interesujemy, był Marsjanin. Stara Świątynia jest sercem miasta. My...

Dziewczyna wtrąciła się zdecydowanym tonem:

— Szukaliśmy ciebie, choć nie wiedzieliśmy, że to właśnie ty.

— Och... Ona miała na myśli, że... — zaczął Piotr.

— Miała na myśli to, co powiedziała — rzuciłem mu zdziwione spojrzenie. Przypominał mi pewnego ucznia Thodera, tak dumnego ze swego przedwczesnego rozwoju, że wciąż umykał w nie kończące się dywagacje na temat nawet najprostszych stwierdzeń.

Moja opinia o nich co chwila zmieniała się. Powinni być mi bliżsi, przynajmniej w przestrzeni, lecz ich postawa odsuwała ich ode mnie dalej niż któregośkolwiek ze spotkanych Niedźwiedzi i Centaurów. Chwilę temu sądziłem, że to dziewczyna ma większy zamęt w głowie. Teraz Piotr wydawał mi się mniej zdolny do jasnego myślenia.

Zrezygnowałem z prób rozwiązania tego szczególnie paradoksu i uczyniłem gest zapraszający do stawiania dalszych pytań.

Piotr wahał się, mimo wszystkiego co uczynił, by okazać swą wiarę w uczciwość Marsjan. Przyznaję, że to mnie zirytowało. Mógłbym łatwo wykręcić się typowo ziemską kazuistyką, dla wygody ukrywając się za półprawdą, że nie znam żadnych plotek na temat

statku Centaurów, pochodzących od kogokolwiek z obsługi portu. Wszystko było półprawdą, gdyż zarówno zamaskowani prześladowcy z ostatniej nocy, jak i Piotr z Lilith koncentrowali swoje zainteresowania na mojej ostatniej podróży, czyniąc aluzje do rzeczy, których nie pojmowałem.

Powiniem być czujny i podejrzliwy. Fakt, że znaleźli mnie wystarczająco szybko, by uratować mi życie, wskazywał na istnienie powiązań między nimi i moimi czterema prześladowcami z ostatniej nocy. Powiązania mogły być bezpośrednie lub też powstały przypadkowo, w wyniku zwykłych poszukiwań. Mógłbym teraz przyłączyć się do nich lub też przeciwnie, mścić się na nich. Muszę być bardzo ostrożny.

Mówiąc krótko, muszę dowiedzieć się, jak dużo wiedzą już o mojej ostatniej podróży, gdyż na pewno było coś, czego nie zauważyłem, zajmując się silnikami, które wciąż groziły zniszczeniem kadłuba. Muszę teraz wybrać drogę postępowania.

Lilith powiedziała spokojnie:

— Czy możemy usiąść? Jeżeli zamierzamy mówić otwarcie, muszę mieć chwilę czasu, by problem przedstawić.

— Nie będzie żadnego przedstawiania problemu — zaproponował Piotr. — Ja jedynie wykorzystuję, uczciwie lub nie, sytuację, w którą wpakował się nasz przyjaciel.

— Ale on chce wiedzieć, dlaczego interesujemy się tym statkiem.

— A ja nie zamierzam mu powiedzieć. — Piotr przecesał gęste włosy swymi grubymi, silnymi palcami. — O ile mi wiadomo, nie ma tu żadnej skali zobowiązań, ale ratując życie człowieka można liczyć na wiele. Czy mam rację? — Spojrzał na mnie.

— Ziemianie mają względną hierarchię wartości — odpowiedziałem. — Wyceniasz rzeczy, które nie służą oddychaniu, których nie można zjeść ani nosić.

— Rzeczywiście — przyznał. — Na Ziemi życie ludzkie może być sprzedane za coś tak absurdalnego, jak bryłka złota. Tutaj jesteście bardziej skłonni zabić za zbiornik z tlenem lub butelkę wody.

— Kto mówił o zabijaniu? — spytała Lilith, przestraszona bezpośredniością wymiany zdań.

Ponownie grali w odwracanie ról szefa i podwładnego. Obawiałem się, że było to zamierzone, by takiego jak ja prowincjonalnego ignoranta zmylić zasłoną dymną ziemskiej sofistyki, odwołującej się do zależności zbyt subtelnych, abym mógł je wyśledzić. Powiniem temu przeszkodzić.

— Czy możemy przejść do rzeczy? — zasugerował Piotr. — Ocaliliśmy twoje życie z powodów nie mających nic wspólnego z zobowiązaniami, jakie wobec nas zaciągnąłeś. Aż do momentu, gdy znaleźliśmy twoje papiery ze stemplem zwolnienia, nie wiedzieliśmy, że to właśnie ty byłeś tym Marsjaninem zamustrowanym na statku, którym się interesujemy. Teraz, wiedząc o tym, wypyujemy bezceremonialnie, mając nadzieję, że podporządkujesz się tradycjom twojej planety.

— Powiem wam, co wiem — odrzekłem.

Kiedy skończyłem, nastąpiła cisza.

— W jego opowiadaniu nie ma nic, co skłaniałoby kogokolwiek do użycia biczu nerwowego — skomentowała Lilith na końcu.

— Nie wiemy, czy biczowanie było z czymś związane — zaproponował Piotr, po czym zwrócił się do mnie. — Było?

— Pytaliście o podróż — odpowiedziałem z kamiennym spokojem.

Lilith pstryknęła swymi małutkimi palcami. W ciężkim powietrzu dźwięk rozszedł się nienaturalnie głośno.

— Jeżeli biczowanie było z czymś związane, istotne jest, co stało się z jego poprzednikiem? — Lilith była nadal poruszona i napięta.

Piotr podskoczył na krześle. Dostrzegł implikacje, które umknęły mojej uwadze. Sądziłem, że pojme je później.

— Czy wiesz, co się z nim stało? — spytał.

— Powiedziano mi, że zachorował — odpowiedziałem. Zaczynało mnie to męczyć. Byłem głodny, a gdzieś na dnie mojej świadomości zauważyłem ślad zniecierpliwienia tym, że wplątuje się w przesłuchanie nie mniej trudne niż ubiegłonocne, choć bez biczowania.

— Zdumiewający zbieg okoliczności — stwierdziła chłodno Lilith, wstając. — Piotrze, sądzę, że zbyt polegałeś na teoretycznej uczciwości Marsjan.

— Wypadło raczej marnie, przyznaję.

Jego wzrok, pełen niepokoju spoczął na mnie. Byli bladoci, czego przedtem nie zauważyłem.

— W takim razie... — Lilith wyciągnęła następnego papierosa i zaciągnęła się nerwowo.

— W takim razie kto go biczował? — włączył się Piotr.

— Są dwie możliwości, prawda? — mruknęła.

Natężyłem nieco uwagę. Oboje dotychczas zrezygnowali z próby dowiedzenia się czegokolwiek, lecz teraz znaleźli się pod naciskiem pochodzącym z nieznanego źródła. Sądzili, że odsłoniли swoje powiązania komuś, kto, znając tajemnicę związaną z ostatnią podróżą statku Lugatha, kłamał od początku. To dawało mi szansę uchylecia choć rąbka ich tajemnicy.

Lecz żadne z nich nie nawiązało bezpośrednio do wspomnianych „dwóch możliwości”, więc po chwili oczekiwania powiedziałem głośno:

— Przypuszczam, że zrobiłem, o co prosiłicie, i wypełniłem zobowiązanie.

— Nie tak szybko — powiedział Piotr, wstając z wyrazem zaciętości na twarzy. Dziewczyna, stojąc, nie przewyższała mnie, siedzącego na krześle, lecz Piotr, jak już wspomniałem, był wysoki według ziemskiej miary i teraz, patrząc z góry, przytłaczał mnie swoim wzrokiem.

— Takie są kłopoty z bezwzględными zasadami postępowania, nieprawdaż? — powiedział. — Absolutna uczciwość, absolutne poczucie honoru... Wraz z nimi nasiąkamy myślą o ich złamaniu. Nie wiem, czego nauczyłeś się od czasu dzieciństwa i mogę jedynie odwoływać się do stałości twoich zasad. Jak przyznałeś, byłeś na pokładzie statku, tego, jak mu tam, kapitana Lugatha. Gdy powróciłeś do domu, ktoś cię porwał, poddał biczowaniu nerwowemu i porzucił na pewną śmierć. Zwykle żniwo rutynowej podróży? Chyba nie. Musisz wiedzieć, że na tym statku było coś niezwykłego, jego załoga, ładunek, może pasażerowie. Na całej trasie od Durrith do Ziemi miałeś szansę obserwować, co się działo, ale, jak utrzymujesz, nie zauważyłeś nic szczególnego, prócz nadzwyczaj potężnych silników powierzonych twojej opiece. Wybacz mi moje ziemskie prostactwo, ale ciężko mi w to uwierzyć, bo, jak wynika z twoich świadectw, nie jesteś głupi. Uderzyło mnie również to, że nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności Lugath, gdy jego inżynier, hm, r o z c h o r o w a ł się na Durrith, mógł znaleźć tam gotowego, wykwalifikowanego zastępcę, i do tego nie Centaura z pochodzenia, jak można by oczekiwać, lecz Ziemianina.

— Marsjanina — przerwałem szorstko.

— Tak, przepraszam, Marsjanina. — Jego oczy zwężyły się, wyrażając, jak mi się wydawało, triumf z przełamania mojej obrony. Przekląłem własne przewrażliwienie.

— Ale niewiele możemy zrobić, jeżeli kłamię — wtrąciła Lilith.

— Tak, rzeczywiście — wypalił Piotr. — Nie zamierzamy degradować się i bez potrzeby przysparzać sobie wroga, podejmując ryzyko obrażenia naprawdę honorowego człowieka. Zatem dziękujemy za współpracę, lecz przed rozstaniem wspomnimy jeszcze o jednej rzeczy.

— Cóż to takiego — wymamrotałem.

— Powiedziałeś, że spłaciłeś dług. Niezupełnie. Prosiłem cię, byś przyniósł nam plotki

z portu. Prócz ciebie byli inni z załogi, być może bardziej spostrzegawczy i bardziej rozmowni. To, co opowiedziałeś nam o swych własnych doświadczeniach na statku, przyjęliśmy z wdzięcznością, ale nie o to prosiłem na początku.

Kazuistyczne są słowa Ziemianina, pomyślałem i, przyznając mu rację, przekląłem, że dałem się złapać przez własną głupotę.

Powiedział z uśmiechem:

— Kolejny powrót do zasad absolutnych. Widzę, że pozostają one dźwigniami sterującymi dla tych, którzy się pod nimi nie podpisują. Oczekuję na twój powrót i dalszą rozmowę.

Podniosłem się i zmierzyłem go z góry wzrokiem. Niepokoilem się, w jaki sposób później w Kosmosie będę mógł unikać plotek, które byłbym zmuszony mu przynosić, a jednocześnie prowadzić poszukiwania zamaskowanych prześladowców, którzy biczowali mnie w nocy. Wyglądało to tak, jakby poszukiwał mnie, by wręczyć skrawek papieru ze swoim imieniem, adresem i kodem, co pozwoliło mi dopasować do ogólnego wzoru nienaturalny fakt, którym niepokoilem się od czasu pobytu na Durrith.

Przez nieuwagę zdarzyło mi się zapytać Lugatha, czy udajemy się na Ziemię, czy na Marsa, choć doskonale wiedziałem, że żaden statek z rejestracją centauryjską nie zostałby dopuszczony do wejścia w atmosferę Ziemi.

Oczywiście mogli docierać tam statki z rejestracją ziemską.

Nic dziwnego, że po twarzy Lugatha przebiegł, co sobie dopiero teraz uświadomiłem, skurcz zdradzający obawę. Nic dziwnego, że zachowywał się inaczej niż którykolwiek z oficerów centauryjskich, pod którymi służyłem. (Choć muszę przyznać, że moje doświadczenie ograniczało się do jednej podróży.)

Lugath obawiał się, że rozpoznam w nim tego, kim był w rzeczywistości, to znaczy Ziemianina udającego Centaura, dowodzącego statkiem, który, wbrew pozorom, był czymś ważniejszym niż zwykły kadłub Deneb z silnikami krążownika.

#### 4

Lecz inne myśli zaprzętały moją głowę, gdy opuszczałem Apartamenty Wielkiego Kanału, wystawiając wygodnie nałożoną maskę na działanie rzadkiej, naturalnej atmosfery i ostrego, suchego wiatru wieczornego. Lekko drażniące było trzymanie się przestarzałego obyczaju: pomysłu mierzenia ciśnienia tlenu w jednostkach ciśnienia atmosferycznego innej planety po tylu wiekach nowoczesności, gdy heraldycy potrafili w poszczególnych rodach prześledzić już dwanaście generacji urodzonych na Marsie. Mogliśmy ograniczać się do używania samych liczb: dwa, pięć, dziesięć, ale czarne znaki starych jednostek wciąż widniały na każdym ciśnieniomierzu: „Tysiące stóp nad poziomem morza.”

Ile milionów mil dzieli nas od jakiegokolwiek morza?

Z czasem, gdy dostosowałem się do warunków naturalniejszych dla mojego metabolizmu, uwolniłem się od tej irytującej obsesji. Zaczynałem być zdolny do rozważania i planowania. Uświadamiałem sobie coraz bardziej, jak głupio postąpiłem, odrzucając ofertę Piotra i Lilith, aby zjeść i odpocząć dłużej. Byłem straszliwie wyczerpany, chociaż od biczowania minął cały dzień. Moje kiszki grały marsza, zwracając nadmiar powietrza połkniętego w niedawno opuszczonym apartamencie, co zmusiło mnie do nadęcia policzków i pięciu lub sześciu czknięć w rurę oddechową maski. Podczas tego bezproduktywnego zajęcia rozejrzałem się wokół.

Nie mogłbym nazwać mojej planety piękną. Rozpościerające się wokół czerwono-brązowe równiny, ruchome wydmy, pagórki niewiele od nich wyższe, mroczne niebo z ledwie połyskującymi księżycami i miejscowe rośliny... nawet słynne piaskowe kwiaty były raczej

majestatyczne niż piękne. Wiatry słabe, ale gryzące jak roztwór silnie stężonego kwasu, podobnie jak połowa ludzi nie lubiąca lub nawet nienawidząca całej reszty.

Jednak nigdy nie nazwałbym jej brzydką. Nigdy nie powiedziałbym, że jest nieładna. Ale jak można by nazwać węzłaste dłonie porane bliznami, gdy miłość i szacunek stawiamy przed pięknem?

Miałem własne określenie, które wymyśliłem, gdy uświadomiłem sobie, że Thoder był jak sam Mars. Ten termin to „stary-mądry” i wydaje mi się, że używanie go jest rzeczywiście na miejscu.

Ruszyłem w stronę miasta, nieco mechanicznie, zagubiony we własnych refleksjach, niby wśród licznych zwierciadeł. Uderzyła mnie myśl, że teraz mogę sprawdzić twierdzenie Piotra i Lilith, jakoby przywieźli mnie tutaj niepostrzeżenie. Czy naprawdę? Nie widziałem niczego, co mogłoby im przeszkodzić. Ich leżące na dachu, luksusowe mieszkanie wychodziło wprost na powierzchnię. Bity szlak, którym teraz podążałem, nadający się do ruchu kołowego, wiódł w kierunku miasta. Reszta budynku pogrążona była w stromej dolinie, którą miliony mil stąd nazwano „kanałem”. Ta absurdalna, „mokra” nazwa utrzymała się do dziś. Nie było wokół żadnego punktu, skąd mógłbym spojrzeć z góry na szlak od skraju miasta do leżącego w dole głównego wejścia do budynku, ale to żadna strata, gdyż przy moim osłabieniu nie dałbym rady, brnąc przez piach, długo wędrować.

Załóżmy, że mówili prawdę. Wracałem teraz drogą, którą przebyłem poprzednio nieprzytomny. W jakimś zamkniętym pojeździe mogli dyskretnie dostarczyć mnie pod drzwi mieszkania, które właśnie opuściłem. Przyjmijmy, że tak. Linia szlaku w miejscu, gdzie zniknął w dolinie, na kompasie tylko o dziesięć stopni odbiegała od linii prostej prowadzącej do Starej Świątyni, a na tym kierunku, jak twierdzili, znaleźli mnie.

Za Starą Świątynią leżał mój cel, mój dom, mój azyl i, być może, mój nauczyciel.

Logicznie rzecz biorąc, Piotr i Lilith mogli czynić poszukiwania w porcie kosmicznym, teraz, gdy zdążałem w kierunku zachodzącego słońca, położonym na lewo. Dowiedziawszy się, że Marsjanin był na pokładzie statku Lugatha, mogli następnie skierować się do mojej dzielnicy. Droga powrotna do domu — tak, mogła doprowadzić ich do Starej Świątyni. Wierz i sprawdzaj.

Poczułem się nieco lepiej, choć Thoder bez wątplenia ostrzegłby mnie, by nie przykładać zbyt wielkiej wagi do efektów zewnętrznych. Niemal słyszałem jego skrzeczący głos, gdy radził: „Są dwie przyczyny zgodności opowiadania z dającymi się zaobserwować faktami: bądź opowiadanie dyktuje fakty, bądź jest odwrotnie.”

Ilu jeszcze mądrych rzeczy nauczał, które straciłem, będąc znudzony lub stęskniony za historyjkami o Ziemianach, Centaurach i Niedźwiedziach? Dlaczego trzeba było całej nocy biczowania, bym pojął wartość tych nauk?

Ponieważ byłem głupcem.

Piotr powiedział: „Jeśli wierzyć twoim dokumentom nie jesteś głupi.” Ale te świadectwa nie określały mnie jako człowieka, mówiąc jedynie o nabytych umiejętnościach.

Doszedłem do przechyłu drogi, skąd mogłem zobaczyć strome zbocze, wiodące na dno kanału. Droga w sposób nieunikniony wiła się tam i z powrotem. Dla idącego pieszo trzymanie się jej byłoby zbędną stratą sił. Opuściłem przeznaczony dla pojazdów szlak bity i dzięki słabej grawitacji podążyłem prosto w dół pół biegiem, pół skokiem, krokami, do których przywykłem.

Pewnego dnia grawitacja stanie się wystarczająco tania, by zrobić coś więcej niż mieszkanie z normalnym ciśnieniem, jak to, które opuściłem. Istniały już takie luksusy, jak bezgrawitacyjne łóżka, lecz oczywiście obszar objęty polem był niewielki i rozszerzenie go na cały budynek wymagałoby fantastycznych sum. Jednak, wcześniej czy później, prawdopodobnie to nastąpi.

A wraz z tym przyjdzie prawdziwy kryzys. Wówczas zostanie ujawniona prawdziwa

lojalność. Mogłem przebywać kilka tygodni w innych światach, jak Durrith, Złota Gwiazda lub Charigol, mających grawitację bardziej zbliżoną do ziemskiej niż Mars, ale musiałem poruszać się wolno, oszczędzać energię, jeść znacznie więcej niż zwykle i spać w nocy na równym, aby ułatwić sobie uniesienie ciężaru własnego ciała. Jedynie po powrocie do domu mogłem swobodnie odpocząć. Na Marsie moje siedem stóp i cztery cale wyciągały się prosto jak trzcina piaszkowa; moje nogi zbiegały po stokach wydm, jak teraz po zboczu kanału; moje małe ręce z wątlymi palcami mogły zwinąć w tuziny fałd płatki piaszkowych kwiatów, nim te zdążyły się rozpląnąć w wyniku kontaktu ze zbyt dużą powierzchnią wilgotnej skóry. (Gdy miałem trzy marsjańskie lata, czyli pięć według ziemskiego stylu, był to dla mnie symbol delikatności dotyku.) Zmuszony do stałego życia w warunkach ziemskich, zmarłbym z wyczerpania przed osiągnięciem wieku średniego.

Inni, acz nieliczni, jak sobie przed chwilą uświadomiłem, byli do mnie podobni. Było nas może z milion na całej planecie, rozsianych w dwudziestu miastach i osadach.

Żaden nie mógłby nazwać się prawdziwym Marsjaninem. Właśnie zostawiłem za sobą skrawek Ziemi, zwany Apartamentami Wielkiego Kanału, przykład nazwy nic nie znaczącej w tym obcym świecie. Uwolniony od piekielnej ziemskiej grawitacji, nie zginałbym szybko w tym otoczeniu, ale mógłbym rozpląnąć się jak kwiat piaszkowy w nie strzeżonym wazonie.

Czy popełniłem błąd lub postąpiłem głupio, wybierając karierę kosmonauty? Być może w pewnym sensie tak. Jednak liczba Marsjan w załogach kosmicznych była znaczna w stosunku do całej populacji rodzimego świata, co po części usprawiedliwiało mój wybór. W pewnych światach przestrzeni Niedźwiedzi, oczywiście poza Złotą Gwiazdą, z powodu jej bractw załóg i innych organizacji pracy, za punkt honoru stawiano sobie należenie do narodowości marsjańskiej, a to wywierało na mnie wrażenie, dopóki nie uświadomiłem sobie, że pielęgnowanie starych przesądów przez grupy niegdyś postępowe, liberalne, a nawet radykalne, jest odwiecznym ludzkim zwyczajem. Znow były to nazwy bez pokrycia, symbole powierzchowne, wyryte w metalu, których historię można prześledzić od dnia, gdy Niedźwiedzie i Centaury, deklarując niepodległość, powtarzali proces dekolonizacji znany z dziejów Ziemi.

Lecz to rzeczywiście wywierało na mnie wrażenie, podobnie jak fakt, że podkreślanie swojej marsjańskiej narodowości było odrobinę niebezpieczne i nie miało większego znaczenia. Można było zostać kosmonautą lub, pozostając na Marsie, być Marsjaninem... przekonując do tego siebie, lecz kogo ponadto?

Dotarłem do dna kanału bez dalszych rozmyślań. Zejście było trudne, musiałem uważać, gdyż przy każdym kroku stopy grzęzły w drobnym piasku. Stanąwszy na twardym gruncie, rozejrzałem się na prawo i lewo. Tutaj słońce zaszło już dawno i świeciły się latarnie. Na zakręcie, gdzie kanał ginął z oczu, stał olbrzymi połyskujący znak Ambasady Centaurów, którego widok mnie zdumiał. Jeszcze jeden niemarsjański wtęt. Z tej strony zadudniły dwie opóźnione ciężarówki, rozsiewające kurz osiadły na nich w czasie przebywania pustyni dzielącej kanał od Marynarza. (Ile jeszcze tych śmiesznych, przedpotopowych terminów? „Marynarz” na planecie bez mórz! Miało to pewne wytłumaczenie w historii epoki przedkosmicznej, ale...)

Chciałem wejść do jednego z chodników, gdyż tutaj, na zewnątrz, było ciemnowo, a wewnątrz, w dużych kwadratowych tunelach płonęło światło. Jak na wolnym powietrzu sprawdziłem ciśnieniomierz na najbliższym zamku, odczytując znajomą dziesiątkę na tarczy.

Ale zawahałem się, patrząc na ścianę chodnika. Górna połowa od pasa — mojego pasa — w górę była ze szkła i powinna być idealnie przezroczysta. W tej części nie była. Piasek, czas i promieniowanie słoneczne wytarły ją, odbarwiły i uczyniły matowymi.

Tak będzie dalej! Przecież to tylko Mars!

Rzeczy liche, znoszone, drugiego gatunku. Taki był stan mojego rodzinnego świata. I wcześniej lub później... pełna sztuczna grawitacja, czy nam Marsjanom się to spodoba, czy

nie.

Przez na wpół przezroczystą ścianę chodnika zobaczyłem, że zbliżał się ktoś z wciąż naciągniętą maską. Nie mogłem stwierdzić na pewno, czy był to Centaur, Niedźwiedź czy Ziemianin, a nawet czy zakutana w ciepłą odzież postać była mężczyzną, czy kobietą. Lecz ktoś, kto nie mógł znieść oddychania przy ciśnieniu dziesięć, był obcym, cudzoziemcem, intruzem. Odwróciłem się szybko i zacząłem maszerować wzdłuż jezdni, ustawiając się tak, by moja sylwetka była widoczna na tle świateł chodnika.

Narożnik — może ten, gdzie mnie porzucono, abym doczekał śmierci? Pochyliłem się, spoglądając na pył naniesiony w pobliże otworu strzelniczego w murze Starej Świątyni i zgadując, czy płytkie zagłębienie na powierzchni istniało przypadkowo, czy też zostało odcisnięte przez moje rzucone tu ciało. Nic nie mogło potwierdzić żadnej z tych możliwości. Prostując się ogarnąłem wzrokiem Świątynię od fundamentów po sam szczyt i poczułem, jak wstrząsa mną taki sam dreszcz, jak w czasach dzieciństwa.

„Świątynia”? Bardziej niż prawdopodobne, że jeszcze jeden ziemski przesąd. Jednak wciąż było w niej coś okazałego, budzącego strach nawet w Marsjanach, którzy nie mogli odgadnąć jej funkcji lepiej niż turyści z Ziemi. Olbrzymia i surowa jak pustynie Marsa, miała niemal sto stóp wysokości, a kiedyś była wyższa, lecz górne krawędzie czterech kamiennych murów zostały starte przez czas tak, że nikt nie był już w stanie odgadnąć jej oryginalnych rozmiarów. Gdy ją odkryto, była pudłem bez wieka, wypełnionym piaskiem. Teraz, po opróżnieniu jej, wystawiono wewnątrz piętnaście tworów ręki ludzkiej, znalezionych podczas usuwania piasku i zwiedzający, dostawszy się tam przez tunel prowadzący od chodnika leżącego naprzeciw, wykrzykiwali z niezadowoleniem: „Dlaczego nic tu nie ma. N i i... c.”

Być może nawet nie Marsjanie ją zbudowali. Może wznieśli ją przybysze z innych gwiazd wówczas, gdy ludzie pochrząkiwali jeszcze w jaskiniach. Kto wie? Mówiła tak wiele nawet bez dachu i w ruinie. „Patrz na moje potężne dzieło i rozpaczaj!”

Rozważałem, czy wejść do środka. Wieczorem o tej porze nie powinno być turystów. Ze wstydem przyznałem, że nie byłem tu od lat — dokładniej od czasu mojego pierwszego lotu w przestrzeni. Najwymowniejszy symbol tożsamości Marsa, a ja go zaniedbałem.

Ale miałem do załatwienia inne, nie cierpiące zwłoki sprawy. Musiałem znaleźć kogoś, kogo zaniedbałem bardziej niż Świątynię. Zdecydowałem się wrócić do niej następnego dnia, a w każdym razie przed moim kolejnym lotem.

Postanowienie to było częścią procesu zmiany, który zaszedł daleko w ciągu jednego dnia, gdyż fermentował w mojej głowie nieprzerwanie od czasu, gdy byłem nieprzytomny. Sięgając myślą wstecz, znalazłem jego początki w przypominaniu sobie nauk Thodera podczas chłosty. Od tego czasu czułem strumień świeżej świadomości, który, rozlewając się w mej głowie, przynosił jasność sądów o sobie.

Mówiąc bez ogródek, gdy spoglądałem na Starą Świątynię uświadomiłem sobie, że zdradziłem własne dziedzictwo. Jak niepotrzebny balast odrzuciłem głęboki sens nauk Thodera, wolać analizę czterowymiarową i teorię sterowania.

Jednak to drugie było związane z maszynami. Thoder zajmował się ludźmi. Muszę znać obie dziedziny, zanim będę mógł zabrać się do zadania, które postawiłem przed sobą: wyjaśnienia tajemnicy, kryjącej się za moją ostatnią podróżą.

Nie musiałem zastanawiać się nad sposobem odszukania Thodera. Kroczyłem ścieżką prowadzącą do mojego dzieciństwa... i dokąd poza tym?

Poprzednio, gdy tylko wracałem na Marsa po długiej podróży w kosmosie, natychmiast kierowałem się do tej części miasta i do tej dzielnicy, gdzie przeżyłem tak wiele mych młodzińskich lat i zdobyłem tę niewielką wiedzę, którą, jak sądzę, posiadam. Ostatnio zaniechałem tego zwyczaju, a teraz, gdy zastanowiłem się, dlaczego straciłem serce do powrotów, wydało mi się, że powodem był fakt, iż wszystko wokół, jeżeli już zmieniało się, to tylko na gorsze. Przejdź tą drogą teraz i ponownie po roku — jedyna różnica to drzwi trochę bardziej wypaczone, nowy płat szarej farby, któremu nie udaje się ukryć szczelin w betonie i szyby chodników głębiej zorane przez piasek.

Była jednak mała pociecha. Ludzie tutaj byli Marsjanami. Obróciłem głowę, aby spojrzeć na przechodzącą właśnie dziewczynę. Miała tylko około sześciu stóp i dziewięciu cali wzrostu, ale, odmiennie niż skończenie i miniaturowo piękna Lilith, była wyraźnie mojego gatunku i mojego rodu.

Większość ludzi przebywała w mieszkaniach. Była bowiem pora wieczornego posiłku. Nagle przyszło mi do głowy, że powinienem także coś zjeść, gdyż nie miałem pojęcia o obecnej sytuacji Thodera i być może zmuszenie go do zaproponowania posiłku powracającemu eks-uczniowi, przyjeżdżającemu bez uprzedzenia i nic jedzącemu nic od wczoraj, mogło zbytnio nadwerężyć jego sakiewkę.

W pobliżu powinna być restauracja... Wszedłem do wnętrza chodnika przez śluzę, której ciśnieniomierz miał gwiazdę na szkle tarczy. Światła paliły się, lecz nie zobaczyłem nikogo; podejrzewałem, że „10” na liczniku mogło być pozostałością po uszkodzeniu. Ostrożnie uchyliłem maskę. Powietrze było stęchłe, lecz ciśnienie w porządku. Przeszedłem do następnego połączenia i skręciłem ostro w lewo.

Miasto wciskało się tutaj w wąski kanion, ślepą odnogę głównego kanału, i po stu jardach dwa chodniki łączyły się i znikaly pod jednym dachem. Kiedy miałem pięć lub sześć lat, bawiłem się tutaj w Niedźwiedzi i Centaurów, biegając w górę i w dół po zardzewiałych stalowych pylonach podtrzymujących dach. Dziwiłem się widząc, jak straszliwie się pochyliły. Jeżeli dopuszczono do tego, by tak wiele piasku zostało naniesione na dach, że spowodował on wygięcie pylonów, musiało tu być prawie ciemno w czasie dnia.

Troje dzieciaków, dwóch chłopców i dziewczynka, każde liczące ponad pięć stóp wzrostu, bawiło się w jakąś głupią zabawę pod płynącym z góry strumieniem piasku. To wstrząsnęło mną jeszcze silniej. Jeżeli dziura była tak duża, że piasek mógł przelatywać, pokonując ciśnienie we wnętrzu, potrzebne było przeprowadzenie napraw, i to szybko.

Spostrzegłszy mnie przypomniały sobie, co powinny zrobić i z poczuciem winy chwyciły za łopaty i miotły, aby wymieść kupę piasku, sięgającą dwóch stóp wysokości.

Jeśli nikt inny nie powiadomi o nieszczelności, ja powinienem to zrobić!

Byłem jednak tak głodny, że zamiast zająć się tym natychmiast, zacząłem rozważać sprawę posiłku. Jeżeli sobie dobrze przypominałem, restauracja, której szukałem, znajdowała się zaraz za następnym zakrętem.

Była tam rzeczywiście, z frontonem zdobnym wciąż w stare czerwone malowidło i gasnące jarzeniówki. Nazwa jednak była zmieniona. Niegdyś nazywała się... niech pomyślę... „Uczta Barmecidowa”; marny dowcip, właściwy pionierom w okresie powstawania miasta, szydercza aluzja do mizernych nadwyżek żywności, umożliwiających restauracji proponowanie właściwego jadłospisu. Tak było przed stu lub więcej laty, a teraz każdy mógł zjeść tu tak dobrze, jak wszędzie, lecz doznałem wstrząsu widząc nową nazwę: „Edisus”.

Jeszcze bardziej wstrząsnął mną widok czterech Centaurów-kosmonautów, jedynych klientów, narzekających głośno we własnym dialekcie na wybór potraw.

Stałem w drzwiach przez długi czas, częściowo już zdecydowany na pójście gdzie



indziej, lecz wtedy mężczyzna, którego wziąłem za właściciela, spostrzegł mnie i podszedł z tak prośącym spojrzeniem, że zaakceptowałem jego propozycję i usiadłem przy stoliku. Sądziłem, że człowiek ten był imigrantem z Ziemi, prawie czystej krwi Murzynem, o osiemnaście cali niższym ode mnie, ale wciąż ważącym więcej ze swymi ziemskimi mięśniami i dużą klatką piersiową, jeszcze nie przystosowaną do powietrza pod ciśnieniem 10.

Jego jedyny kelner, z cierpliwością właściwą temu zawodowi, stojąc w pobliżu Centaurów czekał, aż ci przestaną zrzędzić i wybiorą posiłek.

— Co oni tutaj robią? — odruchowo zapytałem Murzyna.

— Ci... och... panowie ze statku Centaurów? — Przełknął ślinę, a jego jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół. — Wielu z nich widzieliśmy w tych dniach w pobliżu.

— Naprawdę? — przyglądałem się pilnie jadłospisowi.

Byłem nieobecny przez długi czas, dłuższy niż myślałem. Przeniosłem się do małego mieszkania po drugiej stronie miasta, jak mniemałem po to, by być blisko kosmodromu, lecz faktycznie bardziej, by nie zdręczać się myślą, że zdradziłem swoje dziedzictwo.

Co tu pozostało? Zaniedbanie, ruina, piasek na dachu naniesiony przez wiatr, zbite szkło na tarczy ciśnieniomierza i nowa nazwa restauracji...

— Czy zdarzyło ci się poznać człowieka nazywanego Thoderem? — zapytałem. — Nauczyciel, mieszkający w pobliżu?

— Obawiam się, że nie — powiedział Murzyn. — Jestem tu od dwóch lat, a... a ludzie mają na tym terenie skłonność do przebywania we własnym gronie.

Zgadzało się. Wybrałem ubitą, mrożoną pulpę z avocado z Marynarza na początek, kurczaka z sosem Słoneczne Jezioro i sałatę phobosową. Kurczak był polany gorącym sosem afrykańskim zaprawionym korzeniami, zamiast przewidywanym sosem mięsnym, ale Centaurowie poszerzyli swoją listę skarg tak bardzo, że nie miałem serca wpisywać swojej.

W dodatku sam kurczak był bardzo smaczny.

Jadłem w pośpiechu, obawiając się, że ogarnie mnie pozorne zmęczenie, będące wynikiem biczowania nerwów. Nigdy przedtem mnie nie biczowano, tylko raz, gdy policja wyciągnęła mnie z bójki w barze, ograniczyła się do zastosowania paroksyzmów. Wiedziałem jednak, że dziś w nocy — prawdopodobnie w ciągu dwóch lub trzech godzin — fala zmęczenia porazi mnie jak burza piaskowa i unicestwi. Do tego czasu chciałem znaleźć się w domu, w łóżku.

Myśląc rozsądnie, powinienem udać się tam natychmiast. Jednak nie byłem rozsądny. Mimo mojego pośpiechu Centaurowie skończyli swój posiłek chwilę przede mną, zapłacili rachunek i zaczęli zbierać ekwipunek, czyniąc głośne uwagi o jakości pożywienia Marsjan. Obawiając się, że mogę ulec pokusie podjęcia dysputy o ich poglądach, sądziłem, że będzie najlepiej pozwolić im odejść przede mną. Z tego powodu stałem się mimowolnym świadkiem przybycia dwóch Niedźwiedzi. Nie przyszli, aby zjeść, lecz by zamówić piwo i zagrać w oware. Naturalnie Murzyn miał jeden komplet. Widziałem, jak razem z kamieniami podniósł go za kontuarem z podłogi.

Pstryknąłem palcami, by zwrócić jego uwagę. Spojrzał na czekających Niedźwiedzi i stwierdziwszy, że chwila zwłoki nikogo nie urazi, podszedł do mnie.

— I kości — powiedziałem.

— Co? — zamrugał oczami. — Prosili o oware i...

— Więc nie przyjmujesz tu wielu Niedźwiedzi? Nie tak wielu jak Centaurów?

— Dlaczego nie. Lecz...

— Niedźwiedzi hazard. W ich grze oware rzuty kością decydują o kolejności ruchów. Nie trzymają się porządku przyjętego przez większość ludzi.

— Och, dzięki za informację. — Nagle zdobył się na zmęczony uśmiech. — Jak na jeden wieczór miałem dość skarg na poziom moich usług.

— Jesteś po stronie Niedźwiedzi?

— Cóż... — Zesztywniał, ostrożnie upewniając się, czy Centaurowie są już poza zasięgiem jego głosu. Byli rzeczywiście, gdyż opuścili restaurację jeszcze przed nadejściem Niedźwiedzi, a więc i przed naszą wymianą zdań. — Mówiąc szczerze, uważam ich za spokojniejszą klientelę.

— Ja także — zgodziłem się.

Czekałem, aż poda im oware i kości do gry, i rozmyślałem o tym, dlaczego, aż do niedawnych doświadczeń w przestrzeni Centaura, trzymałem się dogmatycznie zasady, że żaden Marsjanin nie powinien brać strony Centaurów lub Niedźwiedzi, a zwłaszcza powinien wystrzegać się standardowych ziemskich uprzedzeń. To, że we mnie samym tkwiła przemożna chęć do pracy w przestrzeni Niedźwiedzi, przypisywałem ich większej gotowości do zatrudniania członków załóg pochodzących ze Starego Systemu. Było bez wątpienia prawdą, że wszystkie ludzkie istoty były ludzkie, lecz swoim zachowaniem piekielnie się różniły. Niedźwiedzie pragnęli być beztroskimi indywidualistami, wielkimi improwizatorami i pełnymi zapału hazardzistami. Centaurowie byli formalistami, zdyscyplinowanymi i zdolnymi organizatorami. Poświęcali wolny czas na doskonalenie się, studiując lub angażując się w starannie opracowywane, rozwijające intelekt gry analityczne.

Ciekawiło mnie, jakie były dziewczyny Centaurów w łóżku. Będąc na Durrith nie miałem ani wolnego czasu, ani pieniędzy, aby się o tym przekonać.

Kiedy pojawiłem się na chodniku, nigdzie nie było widać Centaurów. Zadowolony z tego, podążyłem do Thodera, a cienie młodości, wychynawszy z każdego domu, z każdego mijanego zaułka, otoczyły mnie ze wszystkich stron. Zagubiony we własnych wspomnieniach, znajdując się w odległości mniejszej niż ćwierć mili od celu zdumiałem się, gdy ktoś zawołał na mnie:

— Hej, ty tam!

Czterej Centaurowie, których widziałem już w restauracji, stali niepewnie w grupie przede mną. Oznaki ich stopni świadczyły o tym, że jeden był młodszym oficerem rachunkowym, dwaj inni zwykłymi członkami załogi, a ostatni technikiem powietrznym; niższe stopnie Centaurów. Byłoby gorzej, gdybym zetknął się z nietolerancyjnym oficerem, bowiem niższe szarże mogły zaakceptować kogoś ze Starego Systemu jako równego sobie.

Młodszy kasjer zwrócił się do mnie. Trzymał kawałek papieru z jakimiś gryzmołami, prawdopodobnie adresem, który starali się odszukać. Jego słowa potwierdziły mój domysł.

— Czy znasz tę dzielnicę? Nie możemy znaleźć miejsca, do którego chcemy dotrzeć.

— Wyrosłem tutaj — odpowiedziałem krótko i podszedłem do nich. Technik powietrzny, niewysoki nawet jak na ziemskie normy, spojrział na mnie bojaźliwie, okazując zgoła niecentauryjski lęk na widok moich siedmiu stóp i czterech cali wzrostu. Głupiec! Mając muskuły z obszaru grawitacji jednego g, mógł złamać moją rękę jak skrzydło kurczaka.

— Pozwól mi zobaczyć — powiedziałem i wziąłem kartkę do ręki. Czytając doznałem największego wstrząsu w ten obfitujący we wstrząsy wieczór.

Znałem ten adres lepiej niż własne nazwisko. Lecz dlaczego w całej Galaktyce wybrali to miejsce i czego mogli szukać czterej podrzędni kosmonauci z Centaura w domu skromnego marsjańskiego nauczyciela, porzuconego nawet przez kilku dawnych uczniów?

Ukryłem zdziwienie i oddałem kartkę, kiwając głową.

— Akurat idę w tym kierunku — powiedziałem.

Nie powiedziałem im, że ich zaprowadzę, a oni nie dziękowali. Gdy w ciszy wlekleśmy się ostatnie kilkaset jardów, moje myśli krążyły szybko i na chybił trafił jak koło ruletki.

Żadna z możliwych przyczyn, które przyszły mi na myśl, nie była prawdziwa. Dopiero konfrontacja z celem mojej wędrówki wyjaśniła mi wiele, ale kiedy ujrzałem to miejsce, gwałtownie zrobiło mi się niedobrze.

Thodera nie było już na starym miejscu. Nowe, jaskrawe znaki na starym, tak dobrze mi znanym domu; przezroczyste plakiety w kształcie tarcz herbowych, na których od wewnątrz

wyświetlano kształty słynnych klejnotów. Nigdy nie zdobyłem większego zasobu wiedzy heraldycznej, lecz przed udaniem się w przestrzeń Centaurów musiałem poznać podstawy opisu herbów nieszlacheckich, gdyż Centaurowie traktowali całą sprawę bardzo poważnie. Zobaczyłem tarczę podzieloną pionowo na dwa równe pola: pierwsze w czerni ze wzorem ze srebrnych gwiazd i komet, drugie zielone z głową tygrysa dumnie zwróconą w moim kierunku — znak samego Tyrana Centaurów, służący za przynętę dla obiecujących gości. Obraz zanikł na chwilę, po czym pojawiło się godło całkiem mi nie znane, zapewne jakiś nowy wymysł, przedstawiające tarczę, na której błękit ze srebrem walczyły ze sobą, dzieląc pole na cztery części.

Otoczający mnie Centaurowie zaczęli trajkotać. Wszelkie zagubienie się budziło w nich zawsze uczucie niższości i wprawiało we wściekłość. Teraz, gdy zobaczyli cel, do którego zdążali, powrócili do typowej dla nich arogancji.

Wielkimi krokami skierowali się do drzwi z tarczami herbowymi po bokach. Idąc bez zastanowienia ich śladem, dotarłem tak blisko, że mogłem przeczytać szyld umieszczony między oślepiającymi światłami. Widać tam było napis: „MARSJAŃSKIE KOLEGIUM HERALDYCZNE — *Król Herbów Zondu*”. Czyżby Thoder? Może opuszczony przez tylu uczniów, łącznie ze mną, został w końcu zapędzony do tej kpiny z nauki, do tego jałowego studiowania pretensjonalnych przodków?

Tylko nie to!

W otwartych drzwiach stanął lizusowaty nieznajomy. Garbił się, pochylając do przodu, aby za wszelką cenę ukryć swój marsjański wzrost i uniknąć patrzenia z góry na „dostojnych gości”. Mierzył przynajmniej siedem stóp i sześć cali. Wstyd było patrzeć, gdy usiłował ukryć swą wspaniałą posturę. Wahałem się, dopóki Centaurowie nie weszli do środka, odczekałem jeszcze minutę lub dwie i uznawszy, że nadeszła moja kolej, postanowiłem zastukać do drzwi.

## 6

Thoder? — mężczyzna spytał ostro, obserwując mnie z wielką uwagą. — Nie, nie było go tutaj od dłuższego czasu. A coś ty za jeden?

Nie zatrzymał się na mój widok, co niewątpliwie oznaczało pewien postęp. Aby dodać mu odwagi w zachowaniu pozycji pionowej, wyprężyłem się cały.

Zanim odpowiedziałem, rozejrzałem się szybko po przedsiönku, gdzie staliśmy. O zawrót głowy przyprawiała mnie próba rozpoznania znajomych kształtów i fragmentów umeblowania wśród masy powierzchniowych nowości. Piętrzyły się wokół sztucznie wypłowiałe podobizny starodawnych herbów ziemskich, sterty najróżniejszych p r z e g l ą d ó w g e n e a l o g i c z n y c h, połyskujących na zewnątrz barwnymi godłami, z pseudonaukową zawartością, których autorzy z pokerową twarzą prowadzili analizy skomplikowanych rodzinnych koligacji.

Z pokoju na lewo mogłem usłyszeć głosy Centaurów. Chociaż przebywali tu dosłownie trzy minuty, w sposób typowy dla nich rozpoczęli od żalów z powodu długiego oczekiwania.

— Byłem jego uczniem — powiedziałem w końcu. — Ja... ach... chciałem go odszukać, to wszystko. Czy żyje jeszcze?

Jakoś nigdy wcześniej nie przyszło mi na myśl, że może umrzeć, lecz teraz, gdy wsząd otaczały mnie namacalne dowody upływu czasu, wydawało mi się to możliwe i przynębiające.

— Co się dzieje, Yumo?

Pytanie zadała pełna temperamentu, postawna, lecz pozbawiona urody kobieta-Marsjanka, która wyszła z pokoju po prawej stronie. Nosila dziwny długi kaftan z prostymi wsta-

wkami, sięgający poniżej kolan, uszyty z pasów mieniących się pełną gamą barw heraldycznych. Nawet mankiety rękawów ozdabiały popielice i ich odwrotność, a brzegi żakietu gronostaje, także ze swoim przeciwieństwem.

— Pyta o Thodera — odparł mężczyzna. — Jak twierdzi, jest jego dawnym wyznawcą.

Wyznawca? Dziwne słowo. Thoder nigdy nie nazywał swoich studentów inaczej niż „uczniami”. Lecz nie miałem czasu zastanawiać się nad tym, gdyż kobieta natychmiast stanęła przede mną.

Przyjrzała mi się wnikliwie i widocznie wynik oględzin zadowolili ją, gdyż rzekła:

— Prawdopodobnie mogę ci powiedzieć, gdzie go znajdziesz. Musiałeś go jednak dawno widzieć? Tak, gdyż inaczej nie przychodziłbyś do tego domu.

— Dlaczego pytasz? — odpowiedziałem wymijająco.

— Bez specjalnego powodu, jedynie dlatego, że wycofał się z aktywnej pracy i słyszałam, że jest...

— Chory?

— Nie sądzę. Jest po prostu na emeryturze i skierował swoje zainteresowania w inną stronę. Jak się właściwie nazywasz?

Zawahałem się.

— Ray Mallin — powiedziałem w końcu, nie znajdując uzasadnionych podstaw do zatajenia nazwiska.

Kobieta spojrzała na Yumę, który przymknął na krótko oczy, jakby sprawdzał w pamięci listę. Nagle powiedział:

— To dźwięk pochodzenia marsjańskiego. Ach, rdzenny od czterech, pięciu, s z e ś c i u pokoleń. Ostatnia ziemską gałąź rodziny to pra-prababka ze strony ojca. Hmm... Interesujące!  
— Przyglądał mi się z nie ukrywaną ciekawością.

Jego ciekawość była niczym w porównaniu z moim zdumieniem. Pomimo mojego zwyczajowego uprzedzenia do heraldyki byłem wstrząśnięty słysząc obcego, wykazującego większą niż moja własna wiedzę o moim pochodzeniu.

— Skąd o tym wiesz? — spytałem. — Nigdy nie odtwarzałem swojej genealogii.

— Yuma jest ejdetykiem \* — wyjaśniła kobieta. — Nieoceniona umiejętność w naszym zawodzie. Przypuszczalnie jacyś pańscy kuzyni lub inni powinowaci konsultowali się z nami.

Rzuciła Yumie pytające spojrzenie.

— To dziwne — odrzekł ejdetyk marszcząc czoło. — Nie myślałem o tym, lecz... — Zagryzł wargi. — Normalnie nie mógłbym podać tak dokładnych danych o stopniu pokrewieństwa, ale... Tak, oczywiście. — Rozpromienił się. — Kilka dni temu ktoś zasięgał informacji o rodzie Mallina.

Ostrzegawcze światełka zabłyśły w mojej świadomości. Powiedziałem starannie kontrolowanym głosem:

— Rzeczywiście? Może jeden z tych, hm, kuzynów skądś tam.

— Dokładnie oficer centauryjski, jakiś major Housk z Leovang. — Wielokrotnie skinął głową, zadowolony z precyzji swojej świetnej pamięci. — Daliśmy mu niesłychanie dokładny spis krewnych. Bez wątpienia będzie starał się skontaktować z tobą. Szczególnie gorąco pragnie odszukać Mallinów.

Byłem strasznie zmęczony. Żniwo biczowania przypominało o sobie, lecz nie przeszkodziło mi to dostrzec łatwo nasuwającego się skojarzenia, że właśnie ten major centauryjski już się ze mną skontaktował ostatniej nocy.

— Fascynujące — powiedziałem z całym zapałem, na jaki mogłem się zdobyć. — Zaczynam dostrzegać powody, dla których ludzie zachwycają się obecnie heraldyką, skoro

\* ejdetyk — jednostka, mająca zdolność do przeżywania wyobrażeń odtwórczych i wytwórczych w sposób równie wyrazisty, jak obrazy spostrzeżeniowe (przyp. tłum.).

może ona służyć ponownemu złączeniu szeroko rozrzuconych gałęzi jednej rodziny. Czy przypadkiem dowiedzieliście się, gdzie przebywa major Housk? Być może ja mógłbym się z nim skontaktować.

— Obawiam się, że nie powiedział. — Yuma wzruszył ramionami.

Wielka szkoda. Miałem jednak przynajmniej jedną ważną wskazówkę do dalszego postępowania.

Centaurowie w drugim pokoju zaczęli hałasować. Zwróciwszy na siebie uwagę kobiety, Yuma wskazał głową w kierunku źródła zamieszania. Westchnęła i powróciła do mojego pytania.

— Obecny adres Thodera... Yuma może ci go dać. Wybacz, ale muszę zająć się moimi klientami.

— Czy jesteś Królem Herbów Zondu? — zapytałem.

— Czemu nie? Czy oczekiwałbyś, aby nazywano mnie „królową”? — Obdarzyła mnie dziwnie krzywym uśmiechem. — Najbardziej nieheraldyczny termin, mój przyjacielu! Tak jak przewodniczący, „Król Herbów”, jest Królem, bez względu na płeć.

Pasowało to do ulubionego twierdzenia Thodera, że termin nie jest rzeczą nazwaną. Nagle zacząłem się spieszyć, aby kontynuować poszukiwania.

Adres, który dostałem od Yumy, zaskoczył mnie. Było to w odległej o ponad milę dzielnicy, o której pozostawało mi w pamięci jedynie mgliste wspomnienie. Wolałem omijać ten teren, gdyż cieszył się względami gości z innych światów i w związku z tym w większości chodników utrzymywano ciśnienie do sześciu lub pięciu. Przyszła mi na myśl irytująca introspekcja: czułem się urażony tym, że przynajmniej część ludzi z innych planet, zależnie od stopnia tolerancji, była skłonna traktować mnie jak wybryk natury z powodu wysokiego wzrostu i dlatego, będąc w domu, z zadowoleniem patrzyłem na wysiłek, jaki sprawia im oddychanie.

Nie dlatego, że ciśnienie 10 może rzeczywiście sprawiać Ziemianom kłopot. Rzekomo pierwotni górscy wspinacze osiągnęli dwadzieścia (niektórzy mówią, że nawet dwadzieścia pięć) bez pomocy techniki i całe społeczeństwa żyły w Andach, skąd pochodzili moi przodkowie, na wysokościach, gdzie ciśnienie wynosiło dwanaście.

Przywołałem z pamięci topografię miasta. Dalej musiałem jechać taksówką, gdyż czas biegł szybko i moje zmęczenie rosło, a do rozmowy z Thoderem potrzebowałem jasnego umysłu.

Zatrzymałem się machinalnie przy sprężarce umieszczonej w pobliżu pierwszego z brzegu luku wejściowego chodnika i szperałem po kieszeniach, aby znaleźć drobne i ponownie naładować maskę. Nosilem ją przez większość czasu od chwili opuszczenia Apartamentów Wielkiego Kanału z powodu irracjonalnej chęci przebywania na otwartej przestrzeni. Ale Piotr i Lilith zaopatrzyli mnie szczerze. Widząc, że zużyłem zaledwie ćwierć zbiornika, zdecydowałem, że ponowne napełnienie mogę odłożyć na później.

Opróżniłem go jeszcze bardziej, wlokąc się w poszukiwaniu taksówki. W końcu znalazłem jedną i kazałem zawieźć się do Thodera.

Zwinięty niewygodnie na wyściełanym siedzeniu, zastanawiałem się nad tajemniczym „powinowatym” Centaurem. Być może Yumę i jego chlebobawczynię nie zdziwiło, że ktoś obcy mógł pytać o rodzinę, z którą najbliższe pokrewieństwo mogło go łączyć najwyżej od pięciu pokoleń. Dlaczego mieli się zdziwić? Tacy byli Centaurowie. Przypomniałem sobie Głównego Oficera, który wyrzucił mnie na Durrith, z jego chełpieniem się „koneksjami rodzinnymi”, łączącymi go z samym Tyranem. Nie wiedziałem, jak bliskie było to pokrewieństwo, lecz nie mogło być zbyt bezpośrednie, gdyż byłby nie szefem, lecz przynajmniej kapitanem.

Housk? Czy to nazwisko coś mi mówiło? Naturalnie nie. Nigdy nie byłem orłem w

heraldyce i prawdopodobnie nie potrafiłbym nawet zapamiętać imienia matki mojej matki. Sama nie mogła mi tego powiedzieć, gdyż nie znaliśmy się.

To samo dotyczy mojej matki, która zmarła przy moim porodzie. To się wciąż zdarzało. Zaś ojciec był smutnym, zmęczonym i starym człowiekiem, krążącym wokół planety jakimś voyagerem, choć możliwe, że do tego czasu znów gdzieś się zawieruszył...

Nie lubiłem rozmyślać wiele o mej rodzinie. Co to dawało? Thoder był mi zarówno ojcem, jak i nauczycielem, a mój rodzony ojciec chętnie zostawił mnie pod jego opieką.

Zgodnie z obyczajem mógłbym traktować moje osamotnienie jako formę samowystarczalności, zgodnej z prawdziwie marsjańskim wzorem życia. Będąc według prawa obywatelami Ziemi, zostaliśmy w rzeczywistości przez wszystkich odrzuceni; dlaczego więc nie mielibyśmy przystosować się do okoliczności i nie zaakceptować osamotnienia?

Zacząłem spostrzegać, dlaczego tego nie zrobiliśmy.

W każdym bądź razie, mówiłem sobie powracając do wcześniejszych wątków moich rozważań, nie musi naprawdę nazywać się Housk. Nazwisko mogło być zapożyczone, aby nadać pozory wiarygodności przy zaciąganiu informacji o rodzie Mallinów. Jeśli natomiast było prawdziwe, to dowiedziałem się czegoś zaskakującego o swoim własnym pochodzeniu. Chociaż w zasadzie nie przyznawałem się do tego, to jednak spodziewałem się, że moi przodkowie z linii bocznych optowali raczej za przestrzeń Niedźwiedzi niż Centaurów.

Teraz uświadomiłem sobie, że nie miałem jakichkolwiek podstaw, aby tak twierdzić. Typ Niedźwiedzia i Centaura ewoluował przez wiele pokoleń i dopiero obecnie został określony wystarczająco wyraźnie, aby można było podać jednolity opis gatunku: „Centaurowie są sztywni i apodyktyczni, Niedźwiedzie swobodni i ze skłonnością do hazardu.”

Mimo tego wszystkiego zachowałem niejasne przeczucie, że korzenie archetypów muszą sięgać głęboko: jak gdyby od najwcześniejszych dni międzygwiazdnej kolonizacji, zależnie od charakteru, jedni spoglądali w kierunku Ursa Major, inni w kierunku Centaura. Obecne cechy Centaurów zarysowały się na długo przedtem, zanim ciąg klęsk gospodarczych skłonił ich do przywrócenia starożytnej instytucji „tyrana”, dyktatora na czas trwania kryzysu, a następnie zorganizowania społeczeństwa w oparciu o tezę o stałym zagrożeniu przez katastrofę. Tak samo było z Niedźwiedziami, chociaż ich przypadkowe zwyczaje i brak systemu utrudniały znalezienie punktu, od którego zmiany się rozpoczęły.

Nagle przyłapałem się na rozmyślaniu o dziewczynie, którą znałem na Charigol. Byłem w połowie drogi do zakochania się w niej i jeden jedyny raz brałem pod uwagę możliwość małżeństwa i wychowywania dzieci gdziekolwiek poza Marsem. Ciekawiło mnie, czy działo się tak dlatego, że, jak to sobie wyobrażałem, moi przodkowie spoglądali w kierunku Ursa Major.

Byłoby dla mnie lepiej, gdybym urodził się o kilka pokoleń wcześniej, kiedy, jak to przedstawił Yuma, wystąpiło ostatnie niemarsjańskie „odgałęzienie” mojego rodu. W owych czasach nie istniał problem niezależnych bloków militarnych okrążających Stary System; kolonie były quasi-federalnymi, podległymi stanami i w sposób pasjonujący zaczynały puszczać pędy pierwsze ziarna marsjańskiej dumy, marsjańskiej tradycji i marsjańskiej rasy. Wydawało mi się, że obecnie, w przygnębiającym, nowoczesnym stuleciu Stary System stworzył nad sobą dach chroniący przed piaskiem z kosmosu. Ale w dachu tym były dziury.

Kręciło mi się w głowie. Byłem niemal całkiem wyczerpany, sen ciążył na moich powiekach jak nieznośnie ciężka, ziemską grawitacja. Lecz skupiłem się na myśl o ponownym ujrzeniu Thodera. Muszę powiedzieć mu o problemach trapiących mnie i powodujących zamęt w mojej głowie, zapytać o zdanie i poprosić o wskazówki.

Docieraliśmy na miejsce. Taksówka podjechała do słuzy chodnika w pobliżu podanego adresu. Założyłem maskę, gdyż musiałem zrobić kilka kroków, aby dotrzeć do celu, wcisnąłem opłatę do otworu i wydostałem się z pojazdu. Jedna irytacja więcej! Dlaczego to wszystko musi być na miarę karłów mających zaledwie sześć stóp i sześć cali wzrostu lub coś koło

tego?

Ponieważ na Marsie z taksówek korzystali przeważnie ludzie pochodzący ze światów o wyższej sile ciężkości, takich jak na przykład Ziemia. Niech ich diabli wezmą!

Spojrzałem na fasadę celu mojej podróży. Byłem zadowolony, gdy spostrzegłem, że odchodząc od ściśle marsjańskiego środowiska, Thoder wspiał się w sposób widoczny po szczeblach drabiny społecznej. Dom był porządnie utrzymany, świeżo odmalowany i starannie odremontowany. Miałem tylko nadzieję, że aby zapewnić sobie na czas emerytury te zasłużone dostatki, nie musiał zdradzić zasad marsjańskich.

Tak wiele, tak w i e l e się zmieniło! Tymczasem byłem samolubnie zbyt pochłonięty własnymi sprawami, aby zauważyć to, co nadciągało.

## 7

Ale Thoder nie zmienił się. O, zewnątrz tak, wychudzone ciało bardziej się pochyliło, siwe włosy przerzedziły się, oczy zapadły głębiej w gęstą sieć zmarszczek. Lecz, co najważniejsze, wewnątrz nie zmienił się ani trochę.

Na początek zaplanowałem długie przeprosiny, ale to nie było potrzebne. Poznał mnie, pozdrowił, jakbym opuścił go przed kilkoma dniami, a nie latami, serdecznie powitał i umieścił w dużym pokoju zapchanym tak, że wyglądał jak przekrój całego życia. Ściany pokryte były wykresami, mapami i regałami z książkami; na każdej dostępnej półce lub kawałku gładkiej powierzchni leżały zebrane przypadkowo lub podarowane mu przedmioty, których używał niechętnie, przekazując mnie i moim towarzyszom swoją wiedzę. Paciorki nanizane na sprężynkę poruszyły znajomą strunę w mej pamięci, lecz były też rzeczy nowe, których nie poznawałem. Wiele z nich, sądząc z wyglądu, było importowanych: tybetańskie młynki modlitewne, grupa statuetek Niedźwiedzi przedstawiających Obawę, Nadzieję i Pewność oraz centauryjska plansza do gry. Widziałem podobne na Durrith, lecz nie mając nawyku gry...

Thoder nie był, naturalnie, nauczycielem szkolnym. Przeszedłem regularne szkolenie, jak każde dziecko marsjańskie, gdyż w przeciwnym razie nie mógłbym zdobyć kwalifikacji w dziedzinie inżynierii czteroprzestrzennej. Był czymś więcej. Usłyszałem kiedyś, że niektórzy z jego dorosłych wielbicieli nazywali go guru i pewnego razu zerknąłem ukradkiem do jego słownika, aby poznać znaczenie tego terminu. Byłem już w wieku, gdy samouwielbienie i zarozumiałość nie pozwalały mi bez uczucia poniżenia poprosić go wprost o wyjaśnienie. Znalazłem mniej więcej coś takiego: „Nauczyciel wartości duchowych, szczególnie przykazań zawartych w starożytnych, indyjskich naukach mistycznych.”

Nigdy nie słyszałem o statku międzygwiazdowym napędzanym młynkiem modlitewnym, toteż informacja ta wzmocniła mój zamiar zerwania z Thoderem i zaciągnięcia się na służbę.

Nie dlatego, że nie lubiłem faceta. Można powiedzieć, że kochałem go, gdyż w okresie późnego dzieciństwa był mi bliższy niż rodzony ojciec. Powodem było to, że wszystkie analogie, które przeprowadzał między surowym, marsjańskim krajobrazem a kształtowaniem się prawdziwie marsjańskiej indywidualności, uważałem za nauki nie pasujące do czasów nowożytnych. On mówił o jednostce; ja spoglądałem na wiadomości o blokach militarnych i zliczałem systemy planetarne oraz miliardy ludzi po obu stronach. On mówił o pełni bycia Marsjaninem; ja myślałem o legalistycznym geście pogardy, zawartym w oficjalnym uznaniu mnie za obywatela Ziemi, nawet gdybym, umierając młodo, był zmuszony spędzić całe życie w tak zwanym „rodzinnym” świecie. Tak więc oddaliłem się od niego.

Teraz przyniósł poczęstunek: małe biskwity o smaku orzechowym i miejscową kawę, po czym usiadł ostrożnie na dużym krześle na wprost mnie.

— Wyglądasz na bardzo zmęczonego — powiedział nagle.

— Tak... — Szukałem taktownego sposobu, aby wytłumaczyć przyczynę mojej wizyty. Z charakterystyczną ostrością przeciął wszystkie ewentualne dwuznaczności.

— Nie musisz mówić, Rayu. Wiem, że tylko jakiś szczególny powód mógł sprowadzić cię do mnie! Zgaduję, że przydarzyło ci się coś, co spowodowało, że przekonałeś się, iż pełniejsze zrozumienie tego, co usiłowałem wbijać w twoją zakutą głowę, może doprowadzić cię do rozwiązania... problemu stojącego przed tobą. Jeżeli tak jest, naprawdę nie potrzebuję przeprosin ani tłumaczeń. Zasadzone przeze mnie ziarnko świadomości zakwitło. O jaką więcej nagrodę można prosić?

— Przykro mi. Myśleć inaczej było rodzajem zniewagi — wymamrotałem popijając kawę, którą mi podał. — Tak szybko, jak tylko potrafię, streszczę, co się stało...

Opowiedziałem mu o czterech zamaskowanych mężczyznach, którzy czyhali na mnie ostatniej nocy, gdy włoczyłem się w części miasta leżącej na dnie kanału. Powiedziałem, czego domagali się ode mnie i jak zrobiłem im zawód, nie podając żądanych informacji, jak, będąc niemal uduszony kurzem, zostałem uratowany przez dwoje obcokrajowców, Ziemiaków, jak moje poszukiwania zaprowadziły mnie do kobiety, która nazywała siebie Królem Herbów Zondu i jak jej pomocnik Yuma bezwiednie podał mi nazwisko centauryjskiego oficera, majora Houska, które, o ile jest prawdziwe, może okazać się kluczem do identyfikacji napastników.

Thoder słuchał z natężoną uwagą, poruszał się jedynie wtedy, gdy oddychając powoli i długo, napełniał swoje marsjańskie płuca. Gdy skończyłem, milczał przez okres potrzebny mu do wykonania trzech dalszych, dokładnie przeze mnie odliczonych oddechów, po czym, aby zbadać moją opowieść, powrócił do teraźniejszości z obszaru czasu, do którego się wycofał.

— Podaj mi więcej szczegółów dotyczących podróży — powiedział. — Nazwa statku?

— *Hippodamia*.

Potał policzek.

— Czy wiesz, co to znaczy?

Wzdrygnąłem się.

— Nie. Czy to istotne?

— Czy istotne? Myślałem, Rayu, że zwracałeś większą uwagę na moje instrukcje. Powinieneś przynajmniej zapamiętać, skąd pochodzi termin Centaur!

Zmarszczyłem czoło. Zmęczenie wżerało się w podstawy mojej świadomości, żłobiąc ją jak wiatr ławice piasku.

— W starożytnej mitologii rasa pół koni, pół ludzi, będąca przypuszczalnie odbiciem wrażenia, jakie odniosły szczepy prymitywne w czasie pierwszych kontaktów z człowiekiem na koniu.

— Duże uproszczenie, lecz niech wystarczy. *Hippodamia* to „poskramiacz koni”, a przez skojarzenie — poskramiacz Centaurów. Można się, Rayu wiele nauczyć o rozwoju ludzkiego intelektu, studiując starożytne mądrości, w których pieczołowicie zachowane jest to z ówczesnej codzienności, co ludzie uznali za warte uwydatnienia w okresie przed nastaniem ery psychologii i naukowej samoanalizy.

Rzucił na mnie badawcze spojrzenie.

— Czy nie mógłbyś raczej odłożyć próby uporządkowania płątaniny swoich informacji na później? Jest tam o wiele więcej, niż ci się wydaje, rzeczy dostępnych i zrozumiałych dla ciebie, lecz, być może, wyczerpanie ogranicza twoje możliwości. Jutro będziesz mógł samodzielnie dojść do właściwych rozwiązań.

— Proszę, nie. — Strząsnąłem ciężar snu z powiek. — Potrzebuję twojej pomocy. I to szybko.

— Ha! Ile potrafisz pojąć, będąc w takim stanie? Operuję zagadkami, co już mi zarzucałeś. Ale zostawmy przeszłość w spokoju. Będę kontynuował przez chwilę.

Jego oczy poruszyły się i martwo spoczęły na ścianie za moimi plecami.



— Twierdzisz, że spędziłeś całą podróż obsługując przesadnie potężne silniki, które prawdopodobnie odpadłyby od kadłuba, gdyby nie były ustawicznie nadzorowane. Lecz musiałeś przecież zawrzeć znajomość z kolegami?

— Połowy z nich nie znałem z nazwiska. Jadłem i spałem w przedziale sterowniczym.

— Jaki był cel podróży statku?

— Cel? Dlaczego... Ach, no tak, wiozł ładunek i mniej więcej tuzin pasażerów, z których żadnego nie spotkałem. Nie dopytywałem się. Byłem zgorzkniały po podróży na Durrith pod rozkazami Centaurów. Wracając cieszyłem się, że zbliżam się do domu, a dodatkową premią było to, że łatwiej pełniło się służbę pod kapitanem Lugathem niż pod którymkolwiek z Centaurów, z którymi się kiedykolwiek zetknąłem.

— To brzmi tak, jak gdybyś pozwolił, by twoja świadomość odcięła się od przykrych doświadczeń, zamiast czerpać z nich pożytek.

— Łatwo jest siedzieć na Marsie i wygłaszać nauki — warknąłem. — Nie byłeś nigdy tygodniami wystawiony na działanie dużej siły grawitacji, przy jednoczesnej obawie, że będziesz zmuszony wrócić jako PZO i stracić rok życia w służbie dla obcego rządu.

— To wszystko nie mogło i nie może być takie nieznośne — zamruczał Thoder — inaczej nie zaryzykowałbyś, stawiając nie dające się wytrzymać dziś przeciw nieznannej przyszłości.

Nie zamierzałem go ofuknąć. Wymamrotałem przeproszenie. Nie zwrócił na to uwagi.

— Mówienie o hazardzie, o tym co jest nieznośne i o Niedźwiedziach \*, przypomina mi, że wśród naszych najbliższych zwierzęcych krewnych na Ziemi, takich jak na przykład małpy, niedźwiedzie są jedynymi, u których wykryto zmysł humoru tak dobrze rozwinięty, że pozwala im płatać sobie nawzajem figle. A czy wiesz także, że najbardziej karną grupą mężczyzn w całej naszej historii byli jeźdźcy chana mongolskiego, który mawiał: „nasz dom jest na grzbiecie konia” i nie rozstawał się ze swoim rumakiem, nie zsiadając nawet dla załatwienia potrzeb naturalnych.

Nie mogłem pojąć, do czego dąży. Czekał, aby się upewnić, że gdzieś zabrnąłem i zachichotał.

— Znów mówię zagadkami, czyż nie? Dobrze, wróćmy do tematu. Co jeszcze uważałeś za niezwykle w kapitanie Lugathcie?

Natężyłem uwagę. To było bardziej podobne do Thodera, którego pamiętałem. Nie powiedziałem dotąd nic o spostrzeżeniu, które nasunęło mi się, gdy opuszczałem Piotra i Lilith, o chwili intuicji związanej z reakcją Lugatha na moje nieważne pytanie, czy jego statek jest związany bezpośrednio z Ziemią, co widać uznał za sugestię świadczącą o tym, że przeniknąłem jego pozycję i wiem, że w rzeczy samej nie jest Centaurem, lecz Ziemianinem. Teraz odkryłem to przed Thoderem, a on skinął głową.

— Czyżbyś zaczynał zgadzać się z tym, że w rzeczywistości masz o wiele więcej danych, niż jesteś w stanie na bieżąco uporządkować według jakiegoś wzoru? Intuicyjny wgląd w istotę rzeczy, podobny do tego, o którym mówisz, daje lepsze zrozumienie.

Miałem absurdalne uczucie, że stosowałem taktykę wymijającą. Myśl ta nasunęła mi się nagle, zdaje się, że bez konkretnego powodu. Wstrzymałem oddech i starałem się wykonać to, czego nauczał mnie dawno temu: przyglądając się poszczególnym krokom, dzięki którym dotarłem do obecnego miejsca, szukałem przeoczonego punktu zwrotnego.

Czyż minutę lub dwie temu nie odwrócił wzroku w innym kierunku? Rozejrzałem się wokół, szukając przedmiotu, na który mógł spojrzeć i w obszarze, po którym przesunęło się jego spojrzenie, zobaczyłem tylko zegar ścienny. Na pewno coś ukrywał, ale daję głowę, że nie robił tego rozmyślnie. Gdyby spodziewał się wkrótce gościa, był wystarczająco bezpośredni, aby szczerze powiedzieć: Przyszedłeś bez uprzedzenia, Rayu, a ja mam spotkanie. Wy-

\* Nieprzetłumaczalna gra słów, gdyż *bear* znaczy po angielsku zarówno niedźwiedź, jak i znosić, cierpieć (przyp. tłum.).

bacz, lecz musisz przyjść jutro.

— Prawie zawsze, Thoderze, raczej wybierałem drogę prostą niż okrężną. Miałem czas przyjrzeć się tym, którzy pochwycili mnie ostatniej nocy. Pomimo osłon osobistych i zmienionych głosów zaobserwowałem wiele rzeczy, które pomogą ich rozpoznać. Uczyłeś mnie, że ból wzmacnia zdolność uczenia się u wszystkich istot żyjących. W ciągu kilku godzin doświadczyłem dość bólu, aby wystarczyło na całe życie. Chcę, abys pomógł mi uświadomić sobie w s z y s t k o, co widziałem, słyszałem, wąchałem i czułem podczas tortur.

Odetchnął dwukrotnie, rozważając odpowiedź. W końcu wzruszył ramionami.

— W twoim obecnym stanie straciłbyś, Rayu natychmiast to, czego byś się nauczył. Idź do domu. Odpocznij. Wróć do mnie, gdy odzyskasz siły i wtedy rozważymy twoje sugestie.

— Nie! — Byłem już na nogach, nie zdając sobie sprawy z tego, że wstałem. — Do jutra będą, a może nawet już są na pokładzie centauryjskiego statku kosmicznego i znikną już na dobre.

— Jeżeli powiedziałbym ci tu i teraz, że są właśnie w drodze do portu i tak nie mógłbyś nic zrobić, aby temu zapobiec. Bądź rozsądny, chłopcze. — Zaskrzypiał swoim krzesłem. — Rób, jak ci mówię i idź do domu odpoczywać.

— Spławiasz mnie, co? — spytałem oskarżycielsko.

— Ktoś mnie odwiedzi — powiedział. — Oczekuję go w każdej chwili.

— Lecz nie ma go tu jeszcze — zauważyłem. — Przyznaję, że przyszedłem bez ostrzeżenia, lecz pamiętam, co miałeś zwyczaj mówić, kiedy ktoś spóźniał się na oznaczoną godzinę nauki wówczas, gdy byłem twoim uczniem. Nigdy nie chciałeś po prostu siedzieć i czekać, mówiąc, że jest głupotą tracić darowany nam czas.

Będąc na skraju wyczerpania, spowodowanego biczowaniem i mając wrażenie, że nie jest ze mną szczerzy, zgodziłem się w końcu pójść i odpocząć. Jeżeli tak się rzeczy miały, byłem zdecydowany dotrzeć do sedna tajemnicy.

Zanim jednak zdołał wymyślić przekonującą odpowiedź, jakiś przechodzień, kroczący na wprost chodnikiem, mignął obok mnie za oknem. W samą porę odwróciłem głowę i rozpoznałem go. Przez chwilę wzbraniałem się przed uświadomieniem sobie jego nazwiska, aż odgłos pukania do drzwi doprowadził do nieuchronnego skojarzenia i pozwolił mi stwierdzić: Jego gość — to Lugath! Na pewno Lugath, jeden jedyny ze wszystkich miliardów ludzi w Galaktyce!

Tego już było za wiele. Wyobraziłem sobie spisek, otaczający mnie zewsząd, z klatkami, w których mnie więziono i z pułapkami zastawionymi na mnie na niewinnie wyglądających ścieżkach. Wskutek wstrząsu straciłem panowanie nad moją świadomością i runąłem w ciemną pustkę, która przez ostatnie trzy godziny groziła pochłonięciem mnie.

Thoder...

Lugath...

Poczucie humoru... ciało trzymane w ryzach...

Nicość.

## 8

Zanim otworzyłem oczy, przeciągnąłem się wygodnie, aż zatrzeszczały wszystkie przeguby i pomyślałem, jak cudownie jest znaleźć się we własnym łóżku, dostosowanym do długości moich członków. Na jak wielu ze światów i na pokładzie ilu statków między tymi światami musiałem używać hamaka noszonego razem z workiem na ubrania, gdyż nie było łóżka, na którym mógłbym spać, nie budząc się potem skurczony i zdrętwiały?

A wygoda bezgrawitacyjnego unoszenia się...

Ta myśl zaskoczyła mnie. Zamrugałem oczami, budząc się całkowicie i przez chwilę wyobrażając sobie, że nie mógłbym zobaczyć tego, czego się spodziewałem: sypialni w moim małym mieszkaniu blisko kosmodromu.

Owszem, otoczenie było całkowicie znajome. W takim razie skąd ta śmieszna, przelotna myśl, że mam bezgrawitacyjne łóżko? Nawet gdybym był w stanie pozwolić sobie na takie, na którym śpiący, mierząc siedem stóp i cztery cale, mógłby rozkoszować się wypoczynkiem, ostatnim miejscem, gdzie chciałbym je ustawić, była moja rodzinna planeta. Niewielkie marsjańskie przyciąganie służyło mi. Gdybym udał się na Ziemię, nie tylko pragnąłbym takiego łóżka, lecz musiałbym je dostać.

Po raz drugi skupiłem na krótko myśli na tym wszystkim, co mnie czekało. Polecieć na Ziemię? Polecieć na Ziemię? Przez całe życie nigdy nie zamierzałem udać się tam! Mogłem sobie wyobrazić siebie wśród ziemskich tłumów, zgarbionego, tyczkowatego, niezdatnego olbrzyma, zabawną figurę i widowisko dla dziecięcych gapiów. W światach typu ziemskiego, w innych systemach, doświadczyłem cienia podobnego traktowania, lecz surowość wychowania Centaurów i nacisk, jaki kładli na zdyscyplinowaną uprzejmość, zabezpieczały przed otwartym szyderstwem nawet ze strony dzieci, zaś u Niedźwiedzi dźwięczała zawsze nuta życzliwości, która łagodziła kolizje — można powiedzieć, że nawet w najbardziej bezpośrednich żartach nie było tam złośliwości.

Moje nie uporządkowane myśli były zapewne wynikiem marzeń sennych. Zmarszczyłem czoło, cofając się z wysiłkiem w pustkę snu i przekonałem się, że śniłem o rzeczywistych zdarzeniach z mojego minionego życia. Na przykład nie byłoby zaskakujące, jeśli moja podświadomość interpretowałaby mój przymusowy pobyt na Durrith w roli więźnia okoliczności, niezdolnego do ucieczki przed dodatkowym, męczącym ciężarem, jako rodzaj fizycznej analogii do mojej urazy, związanej z pozostawaniem, według prawa, obywatelem Ziemi. Znajdowałem się w łóżku bezgrawitacyjnym. Wciąż była to rzadkość poza tą tonącą w dekadentckim luksusie planetą, której nie pragnąłem odwiedzić. Czyż nie było go na Charigol? Tam była ona, dziewczyna z narodu Niedźwiedzi, wysoka jak na swój ród. Dlatego ją wybrałem.

— Naturalnie, że była wysoka — powiedziałem głośno, nagle przestraszony bez widocznego powodu.

Na obrazie, który teraz wychynął z mojej pamięci, była malutka.

Nie był to właściwie obraz, lecz mieszanina wrażeń zmysłowych, połączonych ze wspomnieniem jej twarzy uniesionej w moją stronę gdzieś w dole. Łączyła się z tym konieczność pochylania się przy każdym zbliżeniu i wszechobecna, szarpiąca siła grawitacji, której ona nie odczuwała...

Tak, dziewczyna, z którą dzieliłem bezgrawitacyjne łóżko, była wysoka. Postanowiwszy to udowodnić, pochyliłem się nad szufladą szafki, gdzie trzymałem przeróżne rupiecie w rodzaju prezentów od ludzi, których nigdy nie spodziewałem się zobaczyć ponownie.

Odwróciwszy się, zobaczyłem zegar na szafie przy łóżku. Wskazywał kilka minut przed południem.

Nic dziwnego, że mój umysł był ogłupiały, skoro spałem tak długo. Będąc w domu na Marsie, prawie zawsze wstawałem godzinę po świcie; tylko znużenie spowodowane pokonywaniem silnej grawitacji innej planety mogło zbić mnie z nóg, zarówno rano, jak i w nocy. Odruchowo sprawdziłem wskazania innych, znajdujących się tu instrumentów — na liczniku ciśnienia było równo 10, wilgotność trochę za wysoka, a temperatura po stronie nagrzonej wynosiła około 21°.

Pociłem się podczas snu. Dopiero teraz uświadomiłem to sobie. Prześcieradło, którym byłem owinięty lekko zawilgło. Przy tak wysokiej temperaturze i wilgotności nie było w tym nic nadzwyczajnego. Do tego jeszcze zmęczenie myśli... Gorączka?

Sensowną rzeczą byłoby bezzwłoczne zbadanie się, aby się upewnić, czy nie złapałem wirusa. Ale dokuczliwa myśl o łóżku bezgrawitacyjnym, której istnienia nie mogłem sobie

wytłumaczyć, nie pozwalała na robienie rzeczy sensownych. Aby rozwiać wątpliwości dotyczące dziewczyny z Charigol musiałem odnaleźć wśród moich rupieci pewien sześcian solido. Miałem absolutną pewność, że była wysoka; nie w porównaniu z Marsjanami, lecz wyjątkowo jak na swoją rasę. Miała około sześciu stóp i pięciu cali wzrostu, złocistą skórę, czarne włosy i migdałowy odcień oczu. Bardzo atrakcyjna. Miałem solido nas obojga zrobione wieczorem podczas tygodnia karnawału przy wejściu do ogrodu domu, gdzie bawiącym się wypożyczano łóżka bezgrawitacyjne. O, jest; wytarta górna ścianka sześcianu połyskiwała w zbiorowisku rupieci. Wyjąłem go i nastąpiła chwila całkowitego rozczarowania.

Tak, była wysoka. Otoczyłem ją ramieniem, stojąc obok. Lecz nie była ciemnowłosa, złotoskóra, o migdałowych oczach. Była ciemnoblond Skandynawką, w jednej ósmej z plemienia Watussi, co dodało jej kilka cali wzrostu, brąz oczu i kakaowy, delikatny jak pył odcień skóry. Przez długie sekundy spoglądałem z niewiarą na sześcian. Wreszcie wrzuciłem go gwałtownie z powrotem do szuflady i pomaszerowałem do kabiny kąpielowej. Kąpiel — następne ziemskie określenie jak „kanał” i nazwa miasta Marynarz. Marsjanie znaleźli lepsze zastosowanie dla wielu galonów wody niż grzanie jej, wylegiwanie się w niej i wylwanie. Środki chemiczne w aerozolu o wiele skuteczniej czyszczą i usuwają zapachy. Zbędny też jest dodatkowy kłopot związany z późniejszym suszeniem się, ręcznikami wymagającymi specjalnego gatunku włókna lub z kanałami nadmuchowymi zajmującymi dodatkową przestrzeń.

Miałem spory wybór preparatów i przyrządów medycznych. Podróżując do tak wielu różnych światów, wszyscy kosmonauci przyzwyczajali się do pilnowania swojej odporności, gdyż stałe zatrudnienie było uzależnione od dobrego świadectwa zdrowia. Przepadałem się tak dokładnie, jak nigdy dotąd, zbierając kompletne informacje i umieściłem wszystkie niepokojące objawy na karcie w skali K, a samą kartę położyłem na podświetlonym ekranie czytnika.

Objawy: nadmierne pocenie się w nocy, zbyt długi sen, irracjonalna percepcja, zamęt w pamięci. Dodałem napięcie nie wiedząc, czy to była naturalna reakcja na odkrycie mojego stanu, czy też część syndromu.

Możliwe diagnozy: choroba Larchmana, gorączki z grupy III, połączenie zaburzeń psychicznych (NIE DO LECZENIA SAMEMU) z gorączką z grupy II, reakcja szokowa przy pewnych typach osobowości. Uspokajająco krótki wykaz karty w skali K odpowiadał standardom szpitalnym. Następny etap wymagał użycia komputerów.

Zaniepokoiła mnie możliwość choroby Larchmana. Nabawienie się jej oznaczało automatyczną kwarantannę i, jeśli miało się szczęście, leczenie trwające trzy miesiące. Zmoczyłem śliną opłatek testowy i czekałem pół minuty, aby zobaczyć, czy się zazieleni.

Pozostał biały.

Gorączki nie miałem. Temperatura ciała wynosiła około 15 stopni powyżej mego zwykłego poziomu przy budzeniu się, lecz dzień już mijał i byłem prawdopodobnie w pierwszej fazie wieczornego, cyklicznego podnoszenia się temperatury.

Szok psychiczny przy pewnych typach... Przejrzałem listę i umieściłem siebie w drugiej podsekcji.

Jakiego rodzaju wstrząsu mogłem doznać, wstrząsu, który tak bardzo wzburzył mój zwykle spokojny umysł? Usiłowałem przypomnieć sobie wypadki ostatniego wieczoru. Wyszedłem na miasto — jadłem w małej restauracji, gdzie przebywało kilku Centaurów lub może Niedźwiedzi...

Gorzej niż kiedykolwiek! Nie pomyliłbym Centaura z Niedźwiedziem na odświeżonej stronie Plutona! Wciąż nie mogłem się zdecydować, kto był w restauracji wraz ze mną.

I jedni, i drudzy? Pomysł wydawał się sensowny; zaakceptowałem go, gdyż nie miałem lepszej alternatywy, a czynił moją mglistą drogę przejrzystą.

Z powodu spotkania tak wielu istot z innych światów w rejonie, który uważałem za głównie marsjański, zdecydowałem się zrobić to, co jako Marsjanin powinienem czynić często, a

co zanieczyściwałem przez lata. Postanowiłem udać się do Starej Świątyni i rozejrzeć się.

Dumałem też trochę o starożytności mojego rodu i o tak zwanej nauce heraldyki. Mogłem zrozumieć napływ uczucia dumy z powodu mojego czysto marsjańskiego pochodzenia — odpowiadało to moim zwykłym schematom myślenia, a nadto rodzin czysto marsjańskich od sześciu pokoleń nie było wiele. Niektóre, jak twierdzą heraldycy, idą wstecz, nawet dwa-  
naście lub więcej generacji, lecz zawsze uważałem, że heraldyka jest jak pył kosmiczny...

Położyłem dłonie na skroniach. Dokąd to wszystko prowadzi? Do psychiatri, który uzna mnie za przypadek wymagający bezzwłocznego leczenia? Dwa całkowicie przeciwstawne poglądy starały się zawładnąć moim umysłem: pierwszy, bliski mi, aby odrzucić heraldykę jako nonsens oraz drugi, zabarwiony dumą z moich antenatów i dający poczucie, że coś istotnego musi w tej nauce tkwić.

Stopniowo odzyskiwałem równowagę psychiczną. Z powrotem na Plac Pierwszy. Byłem w mieście, szedłem w kierunku Starej Świątyni, miałem...

Do niczego. Poklepałem się rękami po udach, poszedłem ubrać się i zamówić śniadanie. Był tylko jeden wniosek, który pasował do faktów: ktoś podał mi narkotyk. Nie mogłem pojąć w jakim celu. Ubierając się byłem zadowolony, że cały mój dobytek znajdował się tam, gdzie być powinien, włączając w to jedyną rzecz o dużej wartości — moje dokumenty inżyniera.

Zabawne. To jeszcze nie wyjaśniało, jak dostałem się do domu, chociaż zasugerowało przyczynę, dlaczego tak długo spałem. Lecz narkotyk musiał już przejść przez organizm i zostać wydalony. Oddałem mocz, zanim pomyślałem o zachowaniu pewnej ilości w celu poddania testom wykrywającym ślady wydalonych substancji, a w tym, co mogłem wycisnąć po śniadaniu, niczego nie znalazłem.

Problemy te martwiły mnie niewiele, jak gdybym wziął środek uspokajający. Stopniowo zaburzenia, z których powodu się obudziłem, ustąpiły. Byłem gotowy zaakceptować fakt, że ktoś dał mi krople nokautujące, w wyniku czego cierpiałem po przebudzeniu.

Ale to już minęło. Dziś... Dziś zdecydowałem, że byłoby rzeczą ciekawą udać się ponownie do Starej Świątyni, obejrzeć wszystko wokół, zbadać wystawione tam piętnaście sławnych artefaktów i odświeżyć moje zwierzałe o nich wspomnienie. Ostatecznie były najważniejsze wśród unikatowych przedmiotów na Marsie.

Zszedłem na parter bloku mieszkalnego, przeszedłem foyer i zajrzałem do skrzynki pocztowej. Znalazłem coś adresowanego do mnie, jeden z nieskładnych i smutnych listów ojca zawierających zwykle, wymuszone zaproszenie, aby okrążyć planetę i odwiedzić go przy następnej okazji. Przebywał teraz na Pegazie, a nie na pokładzie voyagera, lecz nie wyjaśnił, dlaczego zmienił miejsce swego pobytu. Wciąż posuwał się dalej, jak gdyby w sposób żałosny kopiując moje własne wędrówki.

Pewnie szkoda, że lata biegną, a stosunki między nami układały się coraz gorzej. Możliwe, że zazdrościł mi moich kwalifikacji i osiągnięć. Był człowiekiem, którego Marsjanie nazywają mężczyzną pracującym na akord: technik ogólnego remontu, zręczny do wszystkiego, sporadycznie wynajmowany jako zwykły robotnik.

Naturalnie mogliśmy utrzymywać lepsze stosunki. Było to jak dziura w dachu, o której wiedziałem...

Gdzie? Wzdrygnąłem się. Gdzie widziałem dziurawy dach rozsiewający piasek?

Zdecydowałem, że to zagubione wspomnienie z dzieciństwa torujące sobie drogę na powierzchnię jako część mojego niezwykle ożywionego snu z ostatniej nocy lub raczej ranka, albowiem wyobraziłem sobie wyraźnie trójkę dzieci bawiących się w tumanie drobnego pyłu.

— Ray!

Nie, to po prostu nie pasowało. Ja...

— Ray! — Sapiąc podszedł do mnie stary, wysuszony Gus Quaison, administrator tego bloku. Był imigrantem z Ziemi, lecz dosyć przyjemnym facetem po ponad dwudziestu pięciu

latach spędzonych tutaj. Odłożyłem na bok zaprzatające mnie myśli i przywitałem się.

— Ktoś był i pytał o ciebie dziś rano — powiedział. — Oficer centauryjski, major Housk. Bez...

— Centaur? — odrzekłem ze współczuciem. — Gusie, podczas ostatniej podróży udałem się do przestrzeni Centaurów. Nigdy przedtem nie latałem daleko w tym kierunku i nigdy na statku Centaurów. I po tym, powiedzmy, że kiedykolwiek bym nie zobaczył innego Centaura, nastąpi to jeszcze za szybko.

— Może tak myślisz. — Gus zachichotał. — Słyszałem raz czy dwa, jak waliłeś na ich temat różności. Czy nie tak? Chociaż w zasadzie byłeś zawsze neutralny, jeśli chodzi o nich i Niedźwiedzi. Powiedziałem mu w każdym razie, że wyszłeś, a on zostawił mi adres dla ciebie, byś się z nim skontaktował. Dać ci?

— Czy powiedział po co? — Byłem zaintrygowany.

— Nie. — Bystre oczy Gusa przyglądały się mojej twarzy. — Nie znasz go?

— Housk? Nie sądzę. A jeżeli jest majorem, wątpię, bym miał na to ochotę.

Gus wyszczerzył zęby w uśmiechu i zamierzał odejść. Zatrzymałem go ruchem ręki.

— Powiedz jeszcze jedno! Jak wróciłem do domu ostatniej nocy?

— Nie wiesz? Co robiłeś? Spiłeś się? — Wzruszył ramionami, gdy nie mogłem dać lepszej odpowiedzi niż grymas na twarzy. — Przypuszczasz, że wiem? Nie było mnie tu, czyż nie? Skończyłem służbę o zachodzie słońca, a ciebie jeszcze wtedy nie było. Myślałem, że poderwałeś dziewczynę i znów z nią zostałeś.

## 9

Kiedy kilka minut później, w znacznej już odległości od domu, wpatrywałem się w tarczę zegara, zastanowiło mnie jedynie znaczenie tego małego słówka „znów”.

Czułem lekki zawrót głowy, przypominając sobie stary, banalny dowcip o wallowerach na Złotej Gwieździe, tłustych bestiach, niemal ukrywających się w płynnym błocie i opuszczających swoje leże raz w roku w okresie godów.

— Jaki dziś dzień? — jeden wallower pyta drugiego.

Kilkugodzinna przerwa.

— Wtorek.

Jeszcze dłuższa przerwa.

— Dziwne. Myślałem, że środa...

A Gus mówił o „zostaniu z nią znów”.

Niemal wszędzie, gdzie przebywałem, poza Durrith, byłem skłonny zaakceptować możliwość dwudniowej bibki. Połowę czasu spędziłbym śpiąc tam, gdzie bym upadł, winiąc za to przeciążenie spowodowane dźwiganiem swego ciężaru w środowisku o grawitacji równej 1 g. Miałem zwyczaj przygotowywania się na taką ewentualność: na przykład zabierałem zawsze tylko tyle pieniędzy, że mogłem pozwolić sobie na ich utratę wtedy, gdy bywałem spity w galaktykę. A w większości przyjemnych kwater w większości światów w przestrzeni Niedźwiedzi czas dzienny nic prawie nie znaczył.

Lecz na Marsie tego się nie robiło. Nie było zasobów do podtrzymania takich popijaw, co stanowiło źródło utyskiwań przyjeżdżających tu kosmonautów.

Na Marsie szczególnie ja, Marsjanin, nie robiłem tego. Czułem, że było to niestosowne, chociaż, będąc tubylcem, mógłbym prawdopodobnie zorganizować rzecz lepiej niż obcy. Lubiłem przebywać w domu, gdzie mogłem zapomnieć o takich środkach ostrożności, jak noszenie minimum pieniędzy. Żaden Marsjanin nie obrabowałby nieprzytomnego; lecz bynajmniej nie szukałem dowodu na to, że ta dumna deklaracja jest prawdziwa, aby nie być potem

zmuszonym do podejrzeń, że to nieprawda jedynie z powodu przeklętych przybyszów z innych światów, których nie wychowano w marsjańskim poczuciu honoru.

Tymczasem... gdzie byłem i co robiłem po wyjściu do miasta przedostatniej nocy?

Nie ostatniej nocy; przedostatniej nocy.

Zatrzymałem się, potem skręciłem do najbliższego napotkanego baru i usiadłem, pocąc się z o wiele lepszego powodu niż wysoka temperatura i wilgotność w moim mieszkaniu. Ktoś, podając narkotyk, dołożył wyjaśnienie. Zrobił błąd, pozostawiając lekceważąco wszystkie przedmioty, które złodziej zabrałby chętnie. Dotknąłem opuszkami palców płaskiego pliku papierów w mojej najgłębszej kieszeni, upewniając się, że niczego nie utraciłem.

Znalazłem styło i nakreśliłem wykaz tego, co ocalałem z tej nieokreślonej katastrofy mojej pamięci. Po skompletowaniu wszystkiego nie byłem wcale mądrzejszy. Co mogły mieć wspólnego ze sobą Stara Świątynia, dziewczyna z migdałowymi oczami i złocistą skórą oraz bezgrawitacyjne łóżko? Co mogło być przyczyną pomylenia Niedźwiedzi z Centaurami? Gdzie widziałem mżawkę piasku przesączającego się przez źle konserwowany dach?

Zawahałem się przy ostatnim punkcie i w końcu skreśliłem go. Troje bawiących się dzieci sugerowało zbyt silnie, że było to widzenie sensne z okresu mojej młodości.

Prawdopodobnie miałem jedną możliwość odkrycia tajemnicy. Gus mówił, że major Housk, ów Centaur, który był u mnie, zostawił adres, gdzie mogłem się z nim skontaktować. Nie wziąłem go. Co za głupiec ze mnie. Czy powinienem wrócić po niego?

Pomysł wydawał się rozsądny. Centaurowie, niezależnie od tego czy byli drażliwi, czy też nie, mogli pamiętać urazy. Zdziwiło mnie, że jeden z nich chciał spotkać się ze mną i jedynym wyjaśnieniem, które przyszło mi na myśl, było to, że Główny Oficer, dla którego byłem nieuprzejmy, zdobył znaczne wpływy dzięki swym sławetnym koneksjom rodzinnym z Tyranem i wysłał kogoś w celu uregulowania rachunków.

Wiele z tego, co sobie uświadomiłem, pozostawało jeszcze spowite mgłą. Naprawdę nie wierzyłem we własne wnioski, ale nie miałem nic lepszego.

Trochę później Gus mrużąc oczy spoglądał na mnie z zakłopotaniem.

— Powiedziałeś, Ray, że nie chcesz mieć nic do czynienia z facetem! — rzekł. — To kartkę zniszczyłem.

— Och, dla... — zawahałem się. Żaden pożytek z przeklinania Gusa. Miał rację. Upie-rałem się, że nie chcę widzieć żadnych majorów Centaurów.

— Może pamiętasz jakieś szczegóły tego adresu?

— Co cię naszło? — zapytał. — Przed chwilą chciałeś posłać wszystkich Centaurów do diabła, a teraz...

— Gusie! — wrzasnąłem. Cofnął się i skrzywił.

— Był tam numer telelinii. To pamiętam. Aha, były w nim dwie piątki.

— Czy to wszystko?

— Ray, ledwie na to spojrzałem! Wziąłem od człowieka i wepchnąłem do kieszeni. Nie myślałem, że się tym zainteresujesz.

— W porządku, zapomnij o tym — westchnąłem odchodząc.

— Ray, jeżeli ciebie to interesuje, dlaczego nie spróbujesz w ambasadzie Centaurów? Prawdopodobnie wiedzą, gdzie jeden z ich oficerów zatrzymał się w mieście, wiesz, jak są dokładni.

— Wiem — zgodziłem się ponuro. — Dzięki za sugestię. Mogę to zrobić.

I kiedy w ciągu następnej godziny nie znalazłem lepszego rozwiązania, postanowiłem, że powinienem spróbować.

Chcąc dotrzeć do ambasady Centaurów, zamówiłem taksówkę i zgarbiony, całkowicie przygnębiony usiadłem z tyłu. Przez minione lata zakładałem, że mój umysł działał tak dobrze i sprawnie, jak u większości ludzi, a wzrok miałem lepszy niż inni. Cieszyłem się z doda-

tkowych korzyści, jakie czerpałem z nauk Thodera i jeżeli nawet nie byłem najlepszym z jego wyznawców... poprawiłem się: uczniów, przyjmowałem za rzecz oczywistą, że wchłonałem dosyć z tego, co mi pokazywał, aby mieć przewagę nad tymi, dla których los był mniej łaskawy.

Miałem teraz sytuację jakby stworzoną specjalnie, aby wypróbować moje umiejętności w tej dziedzinie, a ja brnąłem bezradnie, jak pierwszy lepszy Centaur zagubiony w obcym mieście. Doszedłem do wniosku, że nie zachowywałem się na wzór Centaurów, gdybym znalazł klucz porządkujący tę gmatwaninę myśli. Nie zamierzałem wcale udawać, że nigdy nie straciłbym orientacji, tak jak to czynili Centaurowie, jeśli musieli poniżyć się, prosząc cudzoziemca o informację. Nie. Chciałem tylko przyrzec sobie i dotrzymać słowa: muszę odnaleźć Thodera i uczynić coś, aby odzyskać umiejętność stosowania technik psychologicznych, którą przez długie zaniedbywanie niemal utraciłem.

Chwileczkę.

W mojej pamięci pojawiła się jeszcze jedna zagadkowa wizja. Czterech Centaurów, zagubionych i niezdolnych do odnalezienia drogi. Jak można było przewidzieć, pasowała do metafory, której użyłem, aby utwierdzić się w samopogardzie, ale miała dziwną ostrość. Coś więcej niż sen, któremu byłem skłonny przypisać inne nieprawdopodobieństwa?

A może rzeczywista pamięć przedzierała się z otchłani?

Niezdeterminowany, rozejrzałem się, aby zobaczyć jak daleko było jeszcze do Ambasady Centaurów. Właśnie wyłoniła się na zakręcie kanału. Dlaczego nie widać było świecących zwykle oznaczeń?

Właściwie dlaczego miały się świecić w połowie dnia?

Dlaczego oczekiwałem, że będą?

Tak jak wiatr na marsjańskiej pustyni, który zdmuchując naniesiony pył odsłania rzeczy ukryte, tak ludzkie zwodniczą nadzieją ślady w mojej pamięci zaczynały wskazywać na istnienie wzorów. Wiedziałem, że z nie znanych mi jeszcze powodów, udanie się do ambasady było dla mnie niedobre, może nawet niebezpieczne. Skinieniem ręki zatrzymałem taksówkę, zapłaciłem i udałem się do najbliższej śluzы chodnika.

Zamiast wejść, zatrzymałem się jednak i spojrzałem raz jeszcze na ambasadę. Gdy widziałem ją po raz ostatni, jej wielkie, jaskrawe znaki płonęły. A co więcej, widziałem ją wtedy prawie pod tym samym kątem i z tej samej odległości. Skąd wtedy szedłem?

Na razie umknęło mi to. Zamierzałem otworzyć zamek, ale zatrzymałem się ponownie. Nie wszedłem do chodnika; pozostałem na ulicy. Stwierdziłem, że to już pora nocna. Ruch na Marsie był zawsze mały w porównaniu z większością światów zamieszkałych przez istoty ludzkie, lecz podczas dnia wystarczająco duży, aby chodzenie po drogach miasta uczynić niebezpieczną rozrywką.

Stąd do... Tak, to całkiem prawdopodobne, że do Starej Świątyni. Myśl o dotarciu tam powracała i powracała, natrętnie, z uporem wystarczającym, aby uczynić z tego rzecz najbardziej prawdopodobną na przestrzeni lat świetlnych.

W Starej Świątyni nie było żadnych drzwi ani okien. Odkrywczy musieli użyć drabin, aby zejść z góry na poziom podłogi; wówczas, naturalnie, piasek nawiany wokół sięgał równo aż do szczytu. Kiedy budowali Zond, wydrążyli pod ulicą tunel, sięgający do środka tajemniczej budowli. Pamiętam, że był duży, jasny i udekorowany przez malarza marsjańskiego pochodzenia pięknymi freskami z kafli pokrytych mineralnym szkliwem. Połowa szkliva zmatowiała. Pod nogami miałem całowarstwową warstwę sypkiego piasku. Z malowideł odpadło wiele glazurowanych kafli, których nikt nawet nie próbował przymocować z powrotem. Pozostały puste miejsca, ukazujące szarość cementu. Ogarnęło mnie coś w rodzaju paniki. Co się stało z moim rodzinnym światem, kiedy wałęsałem się wśród gwiazd?

Wspiąwszy się po schodach na dalekim końcu tunelu, ujrzałem apatyczną przewodni-



czkę wygłaszającą relację o odkryciu Świątyni młodym Ziemianom w wieku około siedmiu albo ośmiu lat — wyrostkom w ziemskim stylu. Sądząc z komentarzy tych stojących najbliżej mnie, nie wywarło to na nich wielkiego wrażenia, a najbardziej zainteresowali się faktem, że nie wręczono im zaprogramowanych wcześniej autoprzewodników podających informacje przez słuchawki, takich, jak w muzeach ziemskich, lecz oprowadzała ich żywa istota ludzka.

Naturalnie nie było tu Marsjan. Nawet przewodniczka nie była Marsjanką, ale podstarzałą kobietą, urodzoną na Ziemi. Czy w dzisiejszych czasach jakkolwiek Marsjanin odwiedza ten planetarny przybytek? Poza młodzieżą, jedynymi zwiedzającymi była para Niedźwiedzi z ową charakterystyczną aurą wykładowców uniwersyteckich na urlopie naukowym.

Aby oderwać się od dudniącego monotonicznie głosu przewodniczki, przeszedłem na drugi koniec Świątyni i zająłem się badaniem piętnastu artefaktów umieszczonych w będących pod ciśnieniem i wypełnionych argonem obudowach, chroniących je przed dalszym niszczeniem. Zżarte przez czas, były nie do rozpoznania, nawet przyjmując, że kiedyś służyły czynnościom zrozumiałym dla istot ludzkich. Niegdyś, o ile pamiętam, patrzyłem ze strachem na ich płaskie fotografie sprzedawane obok w automacie. Rekonstruując w pamięci oryginalne kształty, nie mogłem sobie pozwolić na bardziej kosztowne, trójwymiarowe zdjęcia, także już dostępne, kiedy byłem malcem...

Teraz były to jedynie bryły z aluminium, stali, plastyku i szkła zmętniałego od tysiącletniego promieniowania. Patrzyłem na tekst wyjaśniający: „Odkryty jako pierwszy, 34 mm x 107 mm, niebieskawo-szary, nieregularny, w większości ze stali, z pięcioma prętami szklanymi z lewego końca, o średnicach 2 mm, 4.1 mm, 1.6 mm, 1.9 mm, 2.8 mm; waga całego artefaktu...”

Tak, po tylu latach tylko to o nich wiedzieliśmy: były zbyt regularne, aby być tworem natury.

— Przepraszam! — Ryk starszawej przewodniczki dobiegł mnie skądś, mniej więcej spod mojego lewego łokcia. Zapewne pragnęła, abym się posunął na tyle, by mogła powiedzieć to, co jeszcze zostało jej do powiedzenia i uwolnić się od owej nieszczęsnej zgrai dzieciaków. Odszedłem, kierując się na zewnątrz, z powrotem do tunelu. Było mi niedobrze.

Wędrując bez celu wzdłuż uszkodzonego malowidła ściennego, dotarłem do kilku dziur i dotknąłem kafli w pobliżu, by sprawdzić, czy nie są również obluzowane. Zdziwiłem się, dlaczego te, które spadły, zostały zabrane lub wyrzucone, a nie umocowane z powrotem na miejscu. Opuszkami palców badałem krawędzie wszystkich dziur po kolei.

Powinni coś z tym zrobić, jak i z dachem, który widziałem poprzednio... lub śniłem, że widziałem...

Niespodziewanie jeden z nich poddał się dotykowi! Przerwałem rozmyślenia, oczekując, że obluzowany kafel spadnie przy moich stopach z łoskotem. Nic nie spadło. Jednak byłem pewien, że wyczułem luz. Czy był to kafel ostatni, czy przedostatni?

Przedostatni. Lecz jego ruch nie był spadaniem. Tkwił nadal na swoim miejscu. Cała część ściany, do której był przymocowany, obróciła się powoli na zewnątrz, w moim kierunku.

Tworzyła drzwi do małego ukrytego pokoju, który oświetlała pojedyncza świetlówka, z kilkoma zwykłymi, plastikowymi krzesłami i jednym specjalnym, wyłupanym raczej niż wykutym z jednego bloku marsjańskiego kamienia. Jego oparcie sięgało aż do mojego ramienia.

Gwałtowna fala wspomnień poraziła mnie momentalnie i stanąłem zmieszany, nie wierząc własnym oczom i starając się uporządkować fakty. Nie potrafię powiedzieć, jak długo stałem wrośnięty w ziemię, nim zakłócono mój spokój.

W pokoju znajdował się mężczyzna. Centaur noszący dystynkcje majora. Po moim wtargnięciu zaczerpnął powietrza i odwrócił się twarzą do mnie. Podczas mojego krótkiego, całkowitego rozkojarzenia złapał broń leżącą na kamiennym krześle. Bicz nerwowy.

— Wejdz, inżynierze Mallin! — powiedział chrapliwym głosem. — Pociągnij drzwi za

sobą! — I gdy pozostałem nieruchomy, dodał niecierpliwie: — Ruszaj się, głupcze! Ty najlepiej ze wszystkich wiesz, że mogę go użyć!

Ponieważ nadal nie reagowałem, użył swej broni.

## 10

Drzwi były uchylone. W każdej chwili ktoś mógł wejść do tunelu i ujrzawszy je, zacząć poszukiwania. Na przykład któreś z dzieci znudzonych oglądaniem Starej Świątyni i chętnych do oddalenia się przy pierwszej nadarzącej się okazji. Z takiego, bądź innego powodu major nastawił swój bicz bliżej połowy niż końca skali. Inaczej ból mógłby pozbawić świadomości nie tylko człowieka, lecz nawet byka. Przy połowie mocy powinienem być na tyle obolały, aby podporządkować się, mając jednocześnie wystarczająco dużo siły, aby zatrzasnąć drzwi. Zajęłoby to mniej czasu niż gdybym, straciwszy przytomność, upadł na progu, gdzie stałem i zmusił go do odciągnięcia mnie na bok przed ich zamknięciem.

Dotąd czytałem w myślach majora jak w książce. Dalej mogłem jedynie zgadywać, patrząc na jego otwarte usta i wyraz zdziwienia i niewiary na twarzy. Uderzając biczem spodziewałem się, że zwinę się jak człowiek trafiony w splot słoneczny. Zamiast tego otrzymałem zatykający oddech cios w gardło, silne uderzenie sztywnymi palcami tuż nad jabłkiem Adama, uderzenie, którym karzeł może powalić olbrzyma. Jak większość ludzi mających do czynienia z — powiedzmy — karłami mierzącymi około sześciu stóp, nie był psychicznie przygotowany do oceny zasięgu ramion Marsjanina. Jako człowiek świadom słabej grawitacji, bojąc się przesadzić, podświadomie kontrolował szybsze ruchy.

Ale była to tylko część sposobu, którego użyłem w celu odebrania bicza.

Widział, że po otwarciu drzwi, rozpoznawszy pomieszczenie, zastygłem w bezruchu porażony szokiem spowodowanym wspomnieniami, które ogarnęły mnie jak burza piaskowa. Mylił się sądząc, że przez cały czas, gdy stałem nieruchomo jak głaz, byłem równie sparaliżowany, jak na początku, w czasie kilku pierwszych uderzeń serca.

Przeciwnie. Przez mój umysł przemknęło jak błyskawica o wiele więcej rzeczy niż te, które Thoder starał się ukryć przede mną — to, że zapomniałem o dniu wczorajszym, musiało być jego dziełem, a przynajmniej to on wydał mnie zdradziecko w ręce osoby bezpośrednio odpowiedzialnej. Bariery, powstałe w wyniku upływu czasu, zniknęły obrócone wniwecz wraz z tymi, które wczoraj sztucznie zbudowano. Całe rozdziały nauk Thodera, dotychczas bezużyteczne, nagle połączyły się w całość, umożliwiając mi ucieczkę z tej przypadkowej pułapki. Ponadto, od czasu ich poznania podczas dziecięcych ćwiczeń, zdobyłem doświadczenie dorosłego mężczyzny pomocne w ich praktycznym zastosowaniu. Niemal słyszałem, jak Thoder stara się wbić mi do głowy, że ból może być potężnym źródłem siły.

Tak więc, dzięki bólowi, pewny...

Jak koralik na sprężynie. Rzuciwszy okiem można sądzić, że otwory wywiercone na górze i na dole połączone są linią prostą. W rzeczywistości zakrzywioną.

Gdy zwolnimy sprężynę, koralik opada gwałtownie. Naprężmy ją — zatrzyma się.

Na początku zatrzymałem ból, by mieć czas na analizę i przegląd napływu świeżo poznanych informacji. Mogłem usłyszeć głęboki głos, dziwacznie cedzący słowa:

— I...en...ży...n...nie...er...M...a...lli...en.

I n ż y n i e r M a l l i n. Dźwięk był rozciągnięty jak guma.

A więc prawdopodobnie miałem przed sobą majora Houska, tego samego, który wczoraj poszukiwał mnie w domu. Mimochodem przyznał, że był jednym z przesłuchujących mnie przedostatniej nocy. Rzeczywiście, to on używał bicza tak okrutnie. Powinienem odwrócić rolę. Nadarzała się okazja.

Ból dodaje sił. Użyłem całej energii, lecz nie śpiesząc się, aby móc poinstruować samego siebie, co powinienem robić i mieć pewność, że ostry ból przyniesie korzyść. Gdy upewniłem się, że nie chybię i moje wyprężone palce trafią w czułe miejsce na jego gardle, przygotowałem się do pełnego rozluźnienia sprężyny mojej świadomości. W momencie gdy mózg odebrał pierwsze sygnały bólu, mogłem przełączyć się tak, by aż do czasu, jak chwycę za bicz, moje teraz, tłumiąc ból prawie całkowicie, bieгло naprzód z prędkością dziesiątki razy większą od normalnej. Oczywiście musiałem wrócić do normalnego trybu odczuwania. Przychodził wówczas moment ospałości i mogłem stać się łatwym łupem przeciwnika. Wracając, odczułem rezultat uderzenia biczem, zogniskowany w jednej krótkiej chwili. Złapałem powietrze, krztusząc się i tracąc ostrość widzenia, lecz spostrzegłszy, że Housk był w jeszcze gorszym stanie, miałem czas na sięgnięcie do drzwi i zatrzaśnięcie ich.

W tunelu słyhać już było człapanie i młodzieńcze głosy opuszczających Świątynię dzieciaków. Zdążyłem w ostatniej chwili.

Wróciwszy, usiadłem na olbrzymim kamiennym krześle; w zajęciu tego miejsca było coś z metaforycznej przemiany wyrównującej rachunki — z ofiary stałem się katem.

— Wstań — powiedziałem do Houska, szturchając go nogą.

Jęknął głośno. Nastawiając bicz na minimum, pozwoliłem, by spróbował własnego lekarstwa. Wielu ludzi odczułoby działanie bicza jak oparzenie strumieniem wrzątku. Jego po prostu powaliło z nóg.

— Z wami, Centaurami, zawsze to samo — rzekłem gorzko. — Wasza arogancja jest maską waszej słabości. Lecz pomyśl, któż nie czułby się niepewnie, próbując utrzymać swoje miejsce w kolejce do żłobu na zwariowanej karuzeli, którą zwiecie społeczeństwem? Więc nazywasz się Housk?

Skinął głową ponuro. Był krępy, miał około sześciu stóp i dwóch cali wzrostu, miedziane włosy i bladą twarz z szarymi oczami.

— Dlaczego przyszedłeś po mnie dzisiaj rano?

Milczenie. Połechtalem go nieco i gdy ból mijał, powtórzyłem to samo pięć- lub sześciokrotnie, raz za razem. Nigdy przedtem nie miałem z tym nic wspólnego, lecz wspomnienia z przesłuchania prowadzonego przez niego pozostawiły mi w pamięci obraz klarowny jak brylant. Jako pilny uczeń byłem gotów stosować jego metody.

Kuląc się, wydusił z siebie:

— Mu... musieliśmy znów cię złapać!

— Mieliście mnie przez kilka godzin. Jaśniej!

Pot strumieniami spływał mu po twarzy.

— Nie myśleliśmy, że ktoś może wytrzymać tak długo. Myśleliśmy, że powiedziałeś prawdę!

— Dlaczego zmieniliście zdanie? — Ująłem bicz, lecz nie musiałem go użyć.

— Przyszły rozkazy... — Przełknął ślinę, wciągając brzuch.

— Jakie rozkazy? Czyje?

— Z... domu... — Zamknął oczy i zachwiał się. Widocznie sączenie powoli tych zeznań drogo go kosztowało. — Powiedzieli, że musisz coś wiedzieć, a kiedy stwierdziliśmy, że byłeś u Nizama i gdy okazało się, że jesteś wyznawcą Thodera...

Znów ten dziwny termin, „wyznawca”, podczas gdy sam Thoder używał jedynie określenia „uczeń”. Ale nie przywiązywałem wagi do tego czysto akademickiego rozróżnienia.

— Śledziliście mnie, prawda?

— Uhm... Czasami! — Zabrzmiało to raczej jak przełknięcie śliny, po którym, w obawie przed nowym bólem, podjął od nowa: — Aż do momentu, gdy odwiedziłeś heraldyków, nie wiedzieliśmy, że to Nizam ciebie odnalazł.

— Cóż w tym dziwnego? Czekaaj, nie mów. Gdy nasze drogi skrzyżowały się po raz pierwszy, oświadczyłeś, że jesteś moim dalekim kuzynem i postarałeś się u heraldyków o

drzewo genealogiczne... Czy jesteśmy spokrewnieni?

— Kuzyni piątego stopnia — wydusił z siebie.

— To nieco nieuprzejmie z twojej strony witać własną rodziną — mruknąłem. — Jednak dlaczego tak gwałtownie za mną zatęskniliście? Jeszcze tego nie wyjaśniłeś.

Buntowniczo zacisnął wargi. Było oczywiste, że dotarł do kresu dopuszczalnej zdrady interesów Centaurów. Musiałem wydrzeć mu sekret, który usiłował zataić.

— Dobrze, rozważmy to powoli. Z jakichś powodów, związanych z moją służbą na *Hippodamii*, chcieliście mnie odnaleźć. Heraldycy umożliwili identyfikację Raya Mallina, inżyniera czteroprzestrzeni, dając wam klucz do mojej przeszłości i powiązań. Potem mnie torturowaliście, by dowiedzieć się czy wiem, co tam było niezwykłego na *Hippodamii* w czasie ostatniej podróży. Puściliście mnie, sądząc, że nie wiem.

Gdy przyszły instrukcje z domu, pożałowaliście tego. Jakoś odkryliście, może dzięki czterem kosmonautom centauryjskim, których zaprowadziłem do heraldyków, że ostatniej nocy nie spędziłem przywoicie w domu na odsypianiu efektów działania waszego bicia, lecz powędrowałem załatwiać swoje sprawy. Śledząc wstecz moje kroki odkryliście również, że Piotr Nizam zabrał mnie z kupy piachu, na którą mnie rzuciliście. Hm... — zmarszczyłem brwi. — Musicie zatem pilnie go śledzić. Zapewniał mnie, że nikt nie wie, gdzie jestem. — Kątem oka obserwowałem jego reakcje, próbując odgadnąć, na ile moje wnioski były słuszne, lecz wyraz bólu na jego twarzy ukrywał wszelkie drgnienia mięśni mogące cokolwiek zdradzić.

— W naszych wyjaśnieniach pozostaje jedna luka. Dlaczego przesłuchiwałeś mnie za pierwszym razem?

Żadnej odpowiedzi. Wycelowałem bicz w jego nogi i nastawiłem na połowę mocy. Zachwiał się i zbieleł na twarzy, lecz milczał.

Tak jak poprzednio, naśladując go powtórzyłem zestaw czynności, ale mierzyłem już w okolice genitaliów. Wybuchnął jak rozbijający się statek kosmiczny i wyrzucił z siebie ciąg słów zlewających się w jeden krzyk.

— Nie wiem! Niech cię szlag trafi, niech cię diabli wezmą, nie wiem! Wszystko, co mi kazano zrobić, to znaleźć ciebie, przebadać na temat ostatniej podróży i wysłać raport do domu. Tylko tyle! Przysięgam, że to wszystko!

Z oporami przyznałem, że choć nie było to zadowalające, wyglądało na prawdę. Centaurów szkolono w bezwzględnym posłuszeństwie. Ponadto przypuszczałem, że tajemnica związana z ostatnią podróżą *Hippodamii* była tego rodzaju, iż Centaury woleli nie wyjawiać jej tak drobnej plotce, jaką był Housk. Można to było wywnioskować choćby z faktu, że poza mną interesowały się nią przynajmniej trzy grupy: Housk z kolegami, Piotr i Lilith z tymi, których reprezentowali i, jak widać, również Thoder, choć nie wiem dlaczego.

Mimo wszystko ten rodzaj przesłuchania nie był w moim stylu. Majorowi nudności po kilku krótkich razach otrzymanych zaraz po wejściu już minęły, lecz w ich miejsce wystąpiły następne, powodowane bólem, który ja zadawałem. Jednak, przed poniechaniem tej metody, logika nakazywała zadać przynajmniej jeszcze jedno pytanie.

— Czego więc spodziewałeś się dowiedzieć ode mnie? Musieli ci powiedzieć choć tyle, abyś nie szukał ziarnka piasku na pustyni!

Potrząsnął głową, zaciskając szczęki w obawie, by nie powiedzieć nic więcej.

Podniosłem bicz.

— Niech cię diabli! — zaskowytał. — Dlaczego chcesz wydobyć ze mnie coś więcej? Wiesz całą resztę, musisz wiedzieć, a jeżeli oni odkryją, że powiedziałem jeszcze coś, zabiją mnie!

— A czy nie będą skłonni zabić cię za to, coś do tej pory wypaplał?

Potrząsnął ponownie głową, spuszczać oczy.

— Zdegradują mnie, ale... ale przecież to, co trzymasz, to bicz Centaurów...

— Innymi słowy, któż lepiej niż Centaurowie może wiedzieć, jak ciężko znieść jego razy? — Spojrzałem z odrazą na wstrętną małą broń. — Masz tu punkt zaczepienia. Dobrze, pomogę ci.

Bojąc się, że naprawdę mam taki zamiar, patrzył na mnie jak na model jednej z małych statuetek Niedźwiedzi, nazwanej Obawą.

— Ale wbij do głowy swoim zwierzchnikom, że nie wiedziałem i nie wiem, a jeżeli wszyscy jesteście tak niemi, jak ty, nie mam ochoty dowiedzieć się, co zamierzałeś ze mnie wyciągnąć! A teraz...

Nastawiłem bicz na maksimum i trzasnąłem go. Jak już wiedziałem z własnego doświadczenia, było to mniej okrutne niż przy nastawieniu na mniejszą moc; przynosiło miłosierne wyzwolenie od cierpień.

Następnie przeszukałem to niezwykle, sekretne pomieszczenie, co jednak nie uczyniło mnie wcale mądrzejszym. Spostrzegłem, że Housk patrzy na lukę między dwoma kamieniami w murze, wystarczająco obszerną, by zmieściły się w niej dwa palce. Znalazłem tam jedynie trójkątną kartkę papieru, oderwaną od większego arkusza, białą i pustą. Najlepsze, co mi wpadło do głowy, to przypuszczenie, że dziura służyła za coś, co w czasach szpiegów międzynarodowych nazywano skrzynką kontaktową, miejscem, skąd okresowo zabierano raporty agentów Centaurów i zostawiano rozkazy dla nich.

Nie bez oporów doszedłem do wniosku, że tutaj niczego więcej się nie dowiem i należy rozważyć następny krok. Nasunęła mi się myśl, aby dowiedzieć się czegoś więcej na temat Piotra Nizama i Lilith Choy. Nie było to postanowienie mogące zadowolić Thodera, ale przysłowie mówi: „Wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem.” A nazwiska Nizama Housk nie wymawiał tonem zarezerwowanym dla przyjaciół.

Co do Thodera... Gdy go znów zobaczę, a naprawdę chciałem zobaczyć go wkrótce, nie zbliżę się jak syn marnotrawny, jak zbłąkana owieczka wracająca do owczarni mistrza. Nie, na milion lat świetlnych!

## 11

Podszedłem do wejścia prowadzącego z płaszczyzny nad kanionem wprost do położonego na dachu apartamentu Piotra i Lilith. Uważałem, że powinienem tu powrócić, wypełniając zobowiązanie nałożone na mnie przez Piotra, aby przekazywać im każdą plotkę, jaką mógłbym zdobyć o *Hippodamii*. Prócz tego, po tym, czego dowiedziałem się od Houska wydawało mi się, że byli jedynymi osobami, do których mógłbym się zwrócić. Pierwotnie moim zamiarem było wyrównanie rachunków z tym, kto mnie porwał i męczył. Zamiar ten zniknął jak pył na wietrze. Jeżeli Housk działał na rozkaz z „domu”, oznaczało to, że w aferę wmieszany był co najmniej rząd Centaurów działający przez jakieś swoje filie; byłoby głupotą nadstawiać głowę i pchać się dalej dotychczasową drogą. Musiałem dowiedzieć się, dokąd zabił.

Zanim zapukałem do drzwi mieszkania, zawahałem się. Nie pomyślałem, aby najpierw zadzwonić; mogłoby ich nie być w domu i podróż byłaby daremna. Lecz wychowałem się w cieniu tradycji marsjańskiej, zgodnie z którą z połączeń korzystano jedynie w nagłych wypadkach. Nie było tu nigdy sieci prywatnej w pełnej skali. Thoder dostał własny numer właśnie w czasie, gdy opuszczałem go, udając się w moją pierwszą podróż kosmiczną. Upřednio radził sobie bez tego. Wraz z innymi lokatorami budynku korzystałem ze wspólnego numeru, nigdy nie mając własnego. Ponieważ rzadko przebywałem w domu, nie sądziłem, aby opłacił mi się taki wydatek.

Tak czy inaczej byłem tu. Mogłem zakończyć rozmyślenia o nie wykorzystanych możli-

wościach i zapukać do drzwi. W pewnym sensie był to jeszcze jeden prymitywny zwyczaj. Ilu rzeczy, wspólnych innym zamieszkanym światom, nie było na Marsie! Gdzie jeszcze, z miejsc, w których byłem, ludzie pukali do drzwi, zamiast przez domofon zawiadamiać o swoim przybyciu?

Zaczynałem czepiać się wszystkiego, co świadczyło o odsunięciu Marsa na boczny tor: braku sieci wideofonicznej, braku domofonów, zaniedbanych szyb w chodnikach, braku remontów na terenie Zondu, skąd przybywałem, i braku Marsjan gotowych do podziwiania unikatowych, reliktyw w Starej Świątyni...

Drzwi były otwarte. To znaczy zewnętrzna, nieprzezroczysta płyta śluzie ciśnieniowej była zwolniona tak, że po jej odsunięciu z niewielkim zgrzytem spowodowanym przez piasek znajdujący się w prowadnicach, mogłem zobaczyć Lilith stojącą za płytą wewnętrzną. Na jej twarzy malowało się silne podniecenie. Lecz jedynie przez chwilę. Zatrwożyła się na mój widok.

Z wnętrza mieszkania usłyszałem niewyraźne wołanie Piotra:

— Przyszedł wcześniej, naprawdę w odpowiednim momencie.

— To nie on — odpowiedziała Lilith. — To... — uch... — Ray Mallin.

Nie dosłyszałem kolejnej uwagi Piotra, gdyż gęste, wilgotne powietrze w śluzie stłumiło mój słuch skutecznie jak wata, dopóki nie przystosowałem się, wypróżniając trąbkę Eustachiusza kilkoma głośnymi przełknięciami. Gdy licznik ciśnienia przeleciał do 3, oczekiwałem, że wewnętrzne drzwi rozsuną się. Lecz nie. Zanim mogłem wejść do środka, wskazówka opadła do 2, do 1, a w końcu do zera — ciśnienia na poziomie morza.

Atmosfera tego rodzaju była dla mnie jak mgła, lepka i ciężka. Miałem chaos w głowie. Byłem pewny, że w czasie poprzedniej wizyty ciśnienie osiągało tylko 3 lub coś koło tego. Piotr i Lilith byli młodzi i zdrowi — dlaczego mieliby narażać się na niepotrzebne wydatki, utrzymując ciśnienie na poziomie morza. Cena rosła wraz z kwadratem odczytu licznika poniżej marsjańskiej normy 10. Każdy oddech kosztował ich sto razy więcej niż mnie w moim mieszkaniu.

Jednak nie miałem okazji rozmyślać dłużej nad tą nieprawidłowością. Zobaczyłem Piotra wychodzącego z pokoju po lewej stronie. Drzwi za sobą zamknął tak szybko, jakby był czymś poruszony. W powitaniu wyczułem fałszywą serdeczność.

— Dobrze, że znów cię widzę! Czy całkowicie powróciłeś do zdrowia?

— Tak, dziękuję — odparłem krzywiąc usta. — Czekałem.

— Co cię sprowadza z powrotem? — powiedział na chybił trafił, kiedy przerwa stawała się nie do zniesienia.

— Zapomniałeś? Nałożyłeś na mnie obowiązek. Przyjąłem na siebie zobowiązanie, do którego mnie zmusiłeś.

— Bardzo uprzejmie z twojej strony — wtrąciła Lilith. Też była czymś zdenerwowana. Zaciskała swoje drobne dłonie, obawiając się, że zauważę ich drżenie.

— Rzeczywiście! — potwierdził Piotr. — Ale, och, otrzymaliśmy to, co chcieliśmy, z innego źródła. Proszę więc, abys uważał się za zwolnionego z zobowiązania i przyjął nasze serdeczne podziękowania.

Na Galaktykę! Błądził oczyma po drzwiach, jakby miał nadzieję przebić je wzrokiem.

Nie trzeba było dużej wyobraźni, aby dojść do wniosku, że byli w takiej samej sytuacji, jak uprzednio Thoder. Oczekiwali kogoś, kogo obecności u siebie woleli nie ujawniać. Uprzejmie i w granicach gościnności pragnęli pozbyć się mnie przed pojawieniem się ważnego gościa. Jednak nie śmieli powiedzieć po prostu, abym poszedł do diabła, gdyż przez samo to zdradziliby się.

Gościem Thodera był Lugath, ostatnia osoba, której mogłem się spodziewać. Intrygowało mnie to, czy Piotra i Lilith odwiedzi osoba równie nieprawdopodobna, no, na przykład Housk. Postanowiłem być szczególnie niedomyślny i pozostać dopóty, dopóki mnie nie wy-

rzucą.

— Wiele rzeczy się zdarzyło od czasu, gdy opuściłem was wczoraj — zacząłem na chybił trafił. — Pamiętasz, jak znalazłszy mnie przy Starej Świątyni słusznie wywnioskowałeś, że potraktowano mnie biczem nerwowym? Znalazłem tych, którzy to zrobili.

Wywołało to iskrę zainteresowania u obojga, powodując ich krótkotrwałe zakłopotanie. Wreszcie przyznali, że oczekują marsjańskiego inżyniera, który razem z Lugathem powracał z Durrith do domu. Wynikało stąd, że interesowali się innymi postaciami związanymi z tą samą sprawą. Lecz iskra zgasła szybko, nie prowadząc do odpowiedzi, której oczekiwałem. Przypuszczalnie zebrali już informacje.

Możliwe, że mieli je, kiedy byłem tu wczoraj. Wykazali przecież nader małe zainteresowanie sposobem, w jaki znalazłem się ogłuszony na kupie piasku.

Stojąc wobec konieczności wyboru między słuchaniem tego, co miałem do powiedzenia, a pozbyciem się mnie, zdecydowali się na tę drugą możliwość. Wciąż rozmyślali, szukając jakiejś wymówki, gdy rozległ się dźwięk rzucający światło na nowe dla mnie obszary, w szczególności wyjaśniający utrzymywanie w mieszkaniu zerowego ciśnienia.

Z pokoju na lewo, skąd w chwili mego przybycia wyszedł Piotr, dobiegł mnie piskliwy płacz malutkiego dziecka.

Wymienili przerażone spojrzenia. Piotr przeczesał palcami swoje gęste falujące włosy i wzruszył ramionami.

— Przykro mi, że nie powitaliśmy cię zbyt serdecznie — powiedział. — Lecz... dogłębnie dziecko naszych przyjaciół, a biedne maleństwo chyba trochę choruje. Właśnie oczekujemy doktora. Powinien już być dwie lub trzy minuty temu.

— Mam nadzieję, że nas zrozumiesz — włączyła się Lilith z oszukańczym zapalem. Byłem pewien, że kłamie. Lecz dlaczego tyle niepokoju i skomplikowanych środków ostrożności z powodu obecności dziecka?

— Pilnować czyjegoś berbecia to wielka odpowiedzialność — rozwodził się Piotr. — Niepokoiłiśmy się bardzo i...

*Puk, puk, puk.* Oboje poderwali się z miejsca. Widząc, że nie ma ratunku, mruknęli coś na swoje usprawiedliwienie i poszli otworzyć drzwi.

— To bardzo uprzejme z pana strony, że pan przyszedł, doktorze! — wykrzyknął Piotr radośnie. Akcent na ostatnim słowie był zbyt silny. Przybysz na pewno nie był doktorem. Mieli po prostu nadzieję, że zrozumie zmyśloną historię i dostosuje się do niej.

— Biednemu maleństwu coś dolega i uważamy, że powinien pan obejrzeć je natychmiast! — Lilith wcisnęła do rozmowy informację, do której gość natychmiast nawiązał.

— Nie martwcie się o nie — wołał przez przezroczyście, wewnętrzny luk służy, oczekując, aż powietrze wokół zgęstnieje. — Jestem pewny, że to nic poważnego.

Był masywnym mężczyzną w zwykłym brązowym, wyjściowym ubraniu. Zdejmując maskę, ukazał twarz kwadratową o nieco śniadej cerze, z czołem lekko posiekany czerwonymi, spowodowanymi przez wiatr zmarszczkami.

Zmarszczki od wiatru! A zatem nie był stąd lub przynajmniej długo go tutaj nie było. Zimny, suchy marsjański wiatr zawsze dokuczał takim jak ten nowym przybyszom, ale niezmiennie po kilkumiesięcznym pobycie skóra twardniała i przystosowywała się. Analizowałem w pamięci kilka wypowiedzianych przez niego słów. Sądząc po akcencie, nie pochodził stąd. Nie był nawet Ziemianinem, jak można było oczekiwać.

Zwróciłem się do niego w dialekcie Niedźwiedzi, uwydatniając w miarę możliwości ich sposób wymawiania słów.

— Doobre wezór, duuktuur!

Jak na Niedźwiedzia był bardzo zdyscyplinowany, lecz nie na tyle, by natychmiast podjąć rękawicę i wyprzeć się swojej narodowości. Chrząknawszy coś, zwrócił się do Lilith, aby zaprowadziła go do dziecka. Wkładał dużo wysiłku w maskowanie naleciałości językowych,

lecz niezupełnie mu to wychodziło.

Nie naciskałem więcej. Stałem na uboczu, gdy prowadziła go do pokoju dziecka. Do tego momentu w płaczu słyszało się wyraźnie krnąbrną nutę i mógłbym się założyć, że berbec nie miał więcej niż piętnaście dni.

Taki mały? A już tak się rozchorował, że potrzebuje lekarza i do tego rodzice pozostawili go pod opieką przyjaciół? Gdybym nawet poprzednio nie miał powodów, by wątpić w dobrą wolę Piotra i Lilith, trudno by mi było przełknąć gładko tę historyjkę.

Jak większość przysłów, również i to o wrogu naszego wroga nie zawsze bywa prawdziwe. Porzuciłem mój na wpół uformowany zamiar, aby być z nimi tak szczerzy, jak oni byli ze mną wczoraj i zaoferować im moją pomoc w zamian za wyjaśnienie powodów ich zainteresowania *Hippodamią*. Mały cios — byłem gotów polubić ich i przyjąć za dobrą monetę to, co mówili, gdyż potraktowali mnie lepiej niż Thoder. Był on ostatnią osobą, po której mogłem spodziewać się takiego świństwa jak to, którego padłem ofiarą minionej nocy.

Tymczasem musiałem być zadowolony z nowego elementu zagadki, chociaż zwiększał on moje trudności. Oboje ukrywali coś, co łączyło się z wciągnięciem Niedźwiedzia w tę tajemniczą sprawę.

Centaurowie, Ziemianie, oczywiście Marsjanie — pamiętając, że Lugath odwiedzał Thodera — a teraz Niedźwiedzie? Zaczynałem być przerażony mnogością rozgałęzień... Chociaż nie zwykłem poddawać się łatwo irytacji, zdało mi się, że trudno będzie działać dalej z powodu wzrastającej we mnie chęci rzucenia wszystkiego i zaznania wreszcie spokoju.

Piotr stał przede mną wyraźnie zaniepokojony. Czy miał coś więcej do powiedzenia?

Miał i po kilku sekundach nabrał dość odwagi, aby zacząć.

— Ee... tak... bardzo uprzejmie z twojej strony, że wróciłeś, przynosząc nam informacje, nawet jeżeli stały się już niepotrzebne. Jestem pod silnym wrażeniem poczucia honoru Marsjan i chcę przeprosić, że wczoraj, wraz z Lilith, wątpiłem w to.

Lecz była to tylko zasłona dymna; nie doszedł jeszcze do sedna sprawy.

— Ponieważ, ściśle biorąc, nie wywiązałeś się właściwie z przyjętego zobowiązania — kontynuował — może pozwolisz, abym cię poprosił o... ach... zatrzymanie dla siebie wiadomości, że...

Wpadłem nagle we wściekłość. Zbliżyłem się do niego, górując nad jego skarłowaciałą przez grawitację sylwetką.

— Czy traktujesz zobowiązania Marsjan jak rodzaj... pieniędzy? Jedno warte więcej, drugie mniej. Może podasz wycenę mojego?

— Nie to miałem na myśli...

— Więc co, na Kosmos?

Choć się wściekłem z nieokreślonego powodu, teraz znalazłem cel, na który mogłem obrócić swoją złość. Lepiej pozwolić, by sądził, że mnie obraził i wymanewrował, niż aby odgadł, że byłem dość sprytny, by przeniknąć jego marne oszustwa. Być może nie spodziewał się nawet, abym potrafił skojarzyć obecność Niedźwiedzia z tajemnicą, na której zachowaniu im zależało.

— Jest to rodzaj wstrętnej, kupieckiej bredni, którą my, Marsjanie, znosimy ze strony Ziemian! Jeżeli zamierzasz przebywać długo na mojej planecie, musisz pozbyć się tych nędznych, drugorzędnych idei.

Na moment zapanowała cisza.

— Przepraszam — powiedział w końcu tak przygnębionym głosem, że omal mnie nie wzruszył. — Proszę złożyć to na karb mojej nieznamości waszych tradycji.

— Ja nie jestem takim ignorantem — odpowiedziałem. — Wiem o waszych więcej niż mi potrzeba. Żegnaj!

Na dworze, w błogosławionym rozrzedzonym, naturalnym powietrzu, czując w ubraniu przejmujący chłód nadmiernej wilgotności, zrobiłem przegląd moich problemów. Zamiar



zwrócenia się do Piotra i Lilith spalił na panewce. Od Houska nie dowiedziałem się niczego, co mogłoby mi w czymś pomóc. Musiałem pójść i stawić czoło Thoderowi — nie było innego rozwiązania. Jednak tym razem musiałem się go strzec. Kimkolwiek się stał, nie był już tym szacownym nauczycielem z lat mojego dzieciństwa, jakim go pamiętałem.

## 12

Wciąż się wahałem. Thoder był wciągnięty w otaczającą mnie sieć i zacząłem go podejrzewać, a nawet obawiać się. Nie mogłem jednak uwierzyć, by jego natura odmieniła się całkowicie, chyba że zmiany dokonano przemocą. Rozmawiając z nim wczoraj, nie wyczułem nic gorszego ponad chęć pozbycia się mnie jak najszybciej, abym nie zobaczył Lugatha. Poza tym był taki sam, jak zwykle.

Z drugiej strony nie widziałem powodu do przypuszczenia, że manipulował moją pamięcią lub pozwolił, by zrobili to inni, kiedy omdlałem na skutek biczowania nerwów i wstrząsu po rozpoznaniu Lugatha.

Załóżmy, że tak było: czy mogła istnieć jakaś uczciwa przyczyna takiego postępowania?

Mówił, że miałem o wiele więcej danych, niż sobie uświadamiałem. Przypuszczalnie znał znaczenie wypadków i przestraszony, że mogłoby mi się wyrwać coś, co zaalarmowałoby inną zainteresowaną grupę — na przykład pewne stronnictwo Niedźwiedzi, doprowadzając w rezultacie do nocy podobnej do tej, którą spędziłem na łasce Houska, przesłuchiwany i torturowany.

Był to niewiarygodnie wąty łańcuch rozumowania. Ponadto w szybkości, z jaką rozplynęły się bariery psychiczne, było coś przeciwnego naturze Thodera. Być może lukę w mojej pamięci zaprojektowano jedynie na krótko. Wiele na to wskazywało. Po pierwsze pozostawiono ją otwartą, nie maskując fałszywymi wspomnieniami. Nawet jeżeli nie przypominałem sobie pewnych przypadkowych fragmentów, zagubionych doznań i myliłem szczegóły we śnie, wkrótce zaczynałem się niepokoić, gdy skojarzyłem daty.

Co więcej, za każdym razem, gdy cofałem się pamięcią, przypominałem sobie przeróżne rzeczy. Mówiąc po prostu, kiedy znalazłem się przed Houskiem, wstrząs spowodował niewspółmierne działanie. Wykonałem — dokładnie i błyskawicznie — takie ćwiczenia umysłowe, jakich nie próbowałem od lat, a których nigdy nie opanowałem należycie, nawet w okresie chłopięcym pod cierpliwą ręką Thodera.

Tak, jakby Thoder chciał w pewien sposób nagrodzić mnie za wtargnięcie w moje najintymniejsze ja.

Czy w tym wypadku jego cel był tak prosty, jak chęć powstrzymania mnie przed wtrąceniem się do czegoś podczas pogoni za zemstą? Przecież jasno mu powiedziałem, że nie spocznę, dopóki nie wyrównam rachunków z zamaskowanymi oprawcami. Wiedząc o wiele więcej niż ja, mógł działać z dwóch powodów: częściowo, aby mnie ochraniać, częściowo, aby powstrzymać mnie przed wścibianiem nosa.

Powinien być ze mną szczery, zamiast używać metod tak pokretnych, myślałem z urazą i od razu spostrzegłem swoją głupotę. Nie należało twierdzić, że „powinien” być szczery. Zwalilem się na jego podłogę i musiało upłynąć wiele godzin, zanim mogłem powrócić do świadomości. On w tym czasie musiał załatwić coś z Lugathem, co być może uniemożliwiło wdawanie się ze mną w długie i skomplikowane wyjaśnienia. A ponadto nie widzieliśmy się przez wiele lat — dlaczego więc miał automatycznie zakładać, że jego były uczeń jest godny powierzenia mu ważnych tajemnic?

Jednak jego związki z Lugathem miały złowróżbną aurę... Dlaczego Ziemianin udawał

Centaura — robił to zresztą wystarczająco dobrze, aby spokojnie przebywać między nimi, zdradzając się tylko przede mną, a i to przez przypadek? Wszystkie przychodzące na myśl wyjaśnienia były tak odległe od orbity, na której mógł znaleźć się skromny marsjański nauczyciel.

Wracałem ciągle, raz po raz do wniosku, że Thoder nie był teraz — a może również i wtedy, kiedy studiowałem u niego — zwykłym nauczycielem.

Konieczność wyzwania go stała się nieunikniona. Pomimo tego czułem, że muszę się znów wycofać w celu znalezienia nowej linii postępowania. W latach, kiedy go nie widziałem i zaledwie czasami wspominałem, stał się dla mnie czymś niemal niezmiennym. Powinienem dowiedzieć się, kiedy i w jakich okolicznościach opuścił dom w chylącej się ku upadkowi dzielnicy mojego dzieciństwa i przeniósł się do dobrze utrzymanego domu w części miasta często odwiedzanej przez przybyszów z innych światów. Musiałem skonstruować w myślach rodzaj mostu nad minionymi latami.

A więc: przed ponownym spotkaniem z nim musiałem powrócić do tamtej małej odnogi miasta, gdzie piasek gromadził się wysoko na dachu i zginał pylony w zatrważające łuki.

Może mógłbym faktycznie wstąpić do Yumy. Przypochlebić się komplementami na temat jego pamięci i podziękować za umożliwienie skontaktowania się z majorem Houskiem, moim kuzynem piątego stopnia, w nadziei, że ejdetyczna pamięć Yumy mogłaby skrócić nudny proces poszukiwania i przepytywania tych, którzy dawno temu znali Thodera.

Złocisty atom helu na czerwonym tle, srebrna plakieta, a na odmianie trzy romby takiej samej czerwieni. Nie miałem pojęcia, czyj to herb, lecz potrzeba było zaledwie elementarnej wiedzy o heraldyce, aby powiedzieć do kogo może należeć. Stylizowany atom — dwie elipsy otaczające jądro, przecinające się prostopadle — sugerował fizyka; plakieta oznaczała najstarszego syna, a trzy romby widoczne na odmianie najprawdopodobniej odnosiły się do skolidacenia przez małżeństwo z kimś wybitnym, kto nosił je w głównym polu herbowym.

Hmm... W swoim fantastycznie bzdurnym stylu ten starożytny język symbolów mógł być szalenie pouczający. Nie dziwny się, że Centaurowie, ze swoim naciskiem na pokrewieństwo i szeroką siecią patronatów, zajmowali się heraldyką tak pilnie. I, powracając do tematu, nie dziwny się również, że Niedźwiedzie byli skłonni uważać ją za głupotę. Stanowili tu kompletne przeciwieństwo Centaurów. Dlatego byłem pewny, że połowa dzieci moich przyjaciół Niedźwiedzi nie była potomstwem mężów ich matek i nikt tego nie potępiał. Dziecko było dla Niedźwiedzi dzieckiem i tylko dzieckiem. Ojcostwo niewiele tu miało do rzeczy.

To był dalszy powód, dla którego mnie, Marsjaninowi, odpowiadały bardziej zwyczajne Niedźwiedzi niż Centaurów. Tak dalece, że zmuszony do dokonania wyboru, nie mógłbym zaprzeczyć, że wolę Niedźwiedzie.

Obraz zmienił się. Splot zieleni i srebra na ząbkowanym czarnym polu i gryf z koroną pierwszej barwy i kryzą drugiej. Zakłopotany wpatrywałem się w to przez pewien czas, zanim doszedłem do wniosku, że symbolika heraldyczna, czasami tak czytelna, bywa również diabelnie niejasna.

Drzwi były zamknięte, lecz naturalnie nie na klucz. Na Marsie nie było zwyczaju zamykania drzwi na klucz. Odruchowo wyciągnąłem rękę, chcąc załomotać do drzwi, lecz zamiast tego odsunąłem je spokojnie i wszedłem do wnętrza.

Było tu trochę ciemniej niż na chodniku na zewnątrz; termin oczyszczenia z piasku został przekroczony w całej dzielnicy i dobra połowa przezroczyściej powierzchni dachów była już zakryta. Od razu wszystko widziałem wyraźnie, bez oczekiwania, aż się wzrok przystosuje.

Dobiegły mnie głosy Yumy i owego Króla Herbów Zondu. Bardzo ostrożnie podkrađłem się pod drzwi pokoju, w którym rozmawiali.

— Po prostu będziemy musieli zorganizować nowe nadanie herbu dla tej osobistości —

mówiła kobieta. — Trzydzieści dwie ćwiartki tarczy, pięć z nich podzielonych na cztery, a jedna z podzielonych na cztery znów dzielona na cztery... Gehenna, to gorsze niż portugalska rodzina królewska.

— Nie możemy — odpowiedział Yuma tonem odpowiadającym wzruszeniu ramionami. — On nie zrobił nic, aby zasłużyli na nadanie herbów.

— Tobie dobrze z twoją ejdetyczną pamięcią — odpowiedziała kwaśno. — Ja muszę nie tylko opisać heraldycznie te diabelstwa, ale również rzucić na papier. Jaki pożytek z herbów, jeśli trzeba je czytać pod mikroskopem?

— Tak, w pewnym sensie jest to rodzaj mikroskopu, czyż nie? — mruknął Yuma, a kobieta chrapliwie zachichotała. Zupełnie nie zrozumiałem dowcipu. Wtem westchnęła.

— Oczywiście masz rację. Jednak, zważywszy na wszystkie talenty jego przodków, sądziłeś, że zdziała coś w życiu zamiast wegetować.

— On zajmuje się wydzwignieniem swojej rodziny — rzekł Yuma i kontynuował z chytrą złośliwością: — A propos, w jaki sposób zamierzasz przyozdabiać herbami jego malców? Jego żona jest Boigny de Chavannes z dwiema własnymi ćwiartkami pól, podzielonymi na cztery części.

— Och, zamknij się. — Szelest papierów i: — Gehenna! Idź i, jeśli możesz, znajdź parę cali kwadratowych silnego przeciw silnemu. Najmniejszy format, jaki mamy na składzie.

Zrobiłem cicho duży krok na środek przedsionka i wyciągnąłem rękę za siebie tak, jakbym otworzył drzwi i wszedł dopiero w tej chwili. Czekaając przez moment na pojawienie się Yumy przypomniałem sobie, że silny przeciw silnemu to nieokreślona barwa składająca się z rzędów dużych liter T, szczepionych szczytami.

Yuma zobaczył mnie, zmrużył oczy, rozpoznał i niepewnie uśmiechnął się.

— A... czy mogę w czymś pomóc? — zapytał.

— Kto to? — zawołała kobieta.

— Ray Mallin, ten, który był wczoraj!

— Aha... Pośpiesz się z tym materiałem. Potrzebuję go do drugiego herbu w prawej części tarczy.

Yuma westchnął. Zanim zdążył się odezwać, powiedziałem:

— Nie mam do was nic ważnego i nie zajmę wam wiele czasu.

— Dzięki. — Przeszedłszy przez przedpokój, zbliżył się do wiszącego na ścianie kredensu, który pamiętałem jeszcze z czasów, gdy byłem uczniem Thodera. Wtedy schowane w nim było mnóstwo przedmiotów, których mistrz używał w celu udramatyzowania swoich nauk dla malców. Teraz wypchany był ponad miarę dzbanuszkami z farbą, zwojami złotych i srebrnych arkuszy i kieszeniami ze wzorcami godeł i pól różnych rozmiarów, od wielkich do prawie niewidocznych.

Kontynuowałem, podczas gdy on przerzucał liczne pakiety, poszukując właściwego.

— Przeszedłem, aby podziękować i powiadomić was, że udało mi się spotkać z moim kuzynem Centaurem.

— Majorem Houskiem? — zapytał Yuma. — Brakuje tego — dodał sam do siebie, wyciągając i odkładając z powrotem na półkę pojedynczą, całowej wysokości paczkę *fleurs-de-llys* w dobranych barwach heraldycznych.

— Masz zdumiewającą pamięć — powiedziałem ciepło.

— Jestem ejdetykiem — wzruszył ramionami. — Niektórzy ludzie są, inni nie. Nie moja zasługa.

Znalazł to, czego szukał — kawałek podgumowanego arkusza ze wzorem na wierzchu, który po przycięciu może być przyklejony we właściwym miejscu na tarczy herbowej.

Było oczywiście, że pochlebstwem niełatwo do niego dotrzeć. Rozważałem, w jaki sposób kontynuować rozmowę, gdy nagle spostrzegłem oczywiście rozwiązanie.

— Twoi przodkowie musieli być wybitnymi ludźmi, skoro wyposażyli cię w taki talent!

Musisz mieć fascynującą genealogię.

Mógłbym powiedzieć, że przypadkowo — całkiem przypadkowo — zmieniłem ton jego odpowiedzi.

— Sądzę, że jest bardzo interesująca. Ale nie podchodzę do niej bezstronnie, gdyż jest moja własna.

— Ile marsjańskich pokoleń liczy twoja rodzina?

Trzy kwadransy zabrało mu wyjaśnienie wszystkich rozgałęzień jego rodziny. Nie było to nudne gadanie, zmuszające do ukrywania z wysiłkiem zniecierpliwienia. Yuma był ekspertem kochającym swoją pracę, a słuchanie rozprawiających entuzjastów zawsze sprawia przyjemność. Ponadto jego rodzina była interesująca; pochodziła z sześciu różnych kontynentów na Ziemi i ze wszystkich dużych miast na Marsie.

Jednak pilno mi było wrócić do sprawy Thodera i wreszcie sprowadziłem go z orbity. Zapytałem otwarcie, jak doszło do tego, że Król Herbów Zondu przejął dawny dom Thodera.

— Thoder? — Yuma zamrugał oczami. — To dopiero człowiek z rodowodem! Z ciekawości przebywałem jego genealogię. Nie ma tam żadnego naginania prawdy, czego można by oczekiwać, gdy...

Łagodnie skierowałem go z powrotem na właściwy temat.

— Dlaczego? Przecież dom był do wzięcia we właściwym momencie. Thoderowi zaproponowano pracę w Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego.

— Co?

— Och, myślisz o tym, co mówił mój szef: że jest na emeryturze. Mówiąc dokładnie, tak... jest Profesorem Honorowym, faktycznie uczy już niewiele. Prowadzi tylko cykl wykładów...

— W Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego?

— Tak. — Yuma był zaintrygowany intensywnością mojej reakcji. — To taki instytut na głównej równinie, około pięciu mil...

— Wiem, gdzie to jest. Dziękuję — odpowiedziałem ponuro.

Wiedziałem także, co to za instytut. Było w nim coś, co mogło podobać się Niedźwiedziom, lecz poza tym Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego było najczystszej wody poronioną instytucją. Jak wszyscy hazardziści, Niedźwiedzie mieli skłonności do obiektywizowania pojęcia „szczęścia”, przesądów, noszenia amuletów, przestrzegania drobnych, nie mających znaczenia rytuałów. Ideałem „szczęścia” było „przypadkowe, szczęśliwe odkrycie”, umiejętność wyjścia naprzeciw szczęśliwemu trafowi. Kolegium, wierście lub nie, miało pretensję do uczenia, jak być szczęśliwym!

Nie, Thoder nie mógł upaść tak nisko — nawet przez moment nie mogłem w to uwierzyć!

## 13

Jednak zanim zdążyłem zadać następne pytanie, szef zawołał Yumę z powrotem do pracy. Spędziłem jeszcze trochę czasu, spacerując w sąsiedztwie i szukając kogoś, kto mógłby pamiętać Thodera i powiedzieć więcej o jego wyjeździe, ale znalazłem tylko przypadkowych znajomych, niezbyt nim zainteresowanych.

W końcu zdecydowałem się nie tracić więcej czasu. Zbieranie informacji o nim było tylko wymówką odraczającą bezpośrednią konfrontację. Dokładnie tak jak wczoraj wezwałem taksówkę i wyruszyłem pod jego nowy adres.

Mijanie tych samych miejsc, w tej samej co poprzednio kolejności, sprawiało niesamowite wrażenie, jakbym został złapany w pułapkę czasowego echa lub postępował po spirali

wokół centrum, gdy pokonanie każdego odcinka powtarzającej się drogi zbliża nas o krok do poznania: najpierw Stara Świątynia, potem Apartamenty Wielkiego Kanału, następnie siedziba heraldyków, Thoder...

Czy znów to samo jutro, pojutrze i w nieskończoność?

Gdy ponownie stanąłem twarzą w twarz z Thoderem, po raz wtóry wydawało mi się, że echo powraca. Wyczułem z jego strony ten sam nastrój rozczerowania, jaki zdradziła Lilith, gdy okazało się, że nie byłem tym, na kogo oczekiwała. On również zdumiał się, że to właśnie ja. Był na pewno wzburzony, w przeciwnym razie bardziej trzymałby na wodzy swoje emocje.

Ale zamiast śladem Lilith i Piotra starać się ukryć to za zasłoną fałszu, westchnął i poddał się biegowi zdarzeń. Cofając się od drzwi, uczynił milczący gest zaproszenia. Postąpiłem ostrożnie, obawiając się zasadzki.

— Tak więc nie podziałało — powiedział zamknawszy drzwi.

— Nie podziałało. — Pomiąłem wyjaśnienia, dlaczego tak się stało. — Wracam więc i spodziewam się bardziej uprzejmego przyjęcia niż wczoraj.

Ponownie westchnął, kiwając na mnie, bym wszedł do pokoju, gdzie rozmawialiśmy poprzednio.

— Tak... Bardzo rzadko wpadam w panikę, lecz również bardzo rzadko mam do czynienia z wydarzeniami mogącymi wpłynąć na bieg historii całej ludzkości. Czy przywykłeś do czegoś takiego? Z tego, co mówiłeś ostatniego wieczoru, przypuszczam, że nie.

Zasiadł w fotelu z ostrożnością i precyzją starego człowieka.

— Nie wiem, czy czujesz do mnie urazę lub — kontynuował — czy byłeś w stanie przemyśleć wszystko z jasnością pozwalającą na ocenę moich motywów. Hm?

Ostrożnie ważyłem słowa.

— Jeżeli chciałbyś, bym zapomniał na zawsze, jesteś wystarczająco zręczny i inteligentny, by pracę wykonać porządnie, a nie bawić się w taką partanię, której efekt zależy od przypadku. Z drugiej strony, robienie tego całkiem nie leży w twoim charakterze. — Zawahałem się. — Lecz nie jest to zbyt przekonujący argument, gdyż, sądząc z tego, czego się ostatnio o tobie dowiedziałem, ż y j e s z wbrew swojej naturze.

— Czyżby? — zachichotał. — W jaki sposób?

— Czy naprawdę wykładasz w Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego?

— Tak, dlaczego by nie? Jestem Profesorem Honorowym przystosowania do życia. — Stwierdzenie było niemal wojownicze, lecz zauważyłem cień przemykający po jego twarzy, choć może tak mi się tylko wydawało.

— Dlaczego by nie? — powtórzyłem jak echo. — Ważne jest to, że ostatniej nocy silnie manipulowałeś moją pamięcią, wymazując zapis większej części ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Na Wielki Zodiak, po coś to zrobił?

— Wydawało mi się, że to najłagodniejszy środek pozwalający, byś zachował normalne życie między podróżami, zamiast narażać się na zmiżdżenie, niczym ziarno między kamieniami młyńskimi poruszonymi przez gigantyczne siły.

— Zgaduję, że szczerą rozmowę ze mną uznałeś za wyjście zbyt proste?

— Rozwahałem i to. — Nie mrugnął nawet okiem. — Lugath był temu przeciwny. Sądzi, że na Durrith wyglądałeś zbyt przeciętnie, ale nie to przesądziło. Nie mógłbym podnieść twojej świadomości nawet do poziomu lekkiego transu, dopóki nie przespałbyś choćby trzech lub czterech godzin. Nie widziałem nikogo równie skatowanego nerwowo. Co więcej, jak już wspominałeś cytując mnie, ból dodaje sił! Twój ból był wystarczający, by zniszczyć wyższe skojarzenia i zamienić cię w maszynę produkującą żądzę zemsty.

— Wybrałeś dobre określenie — zadrwiłem. — Zatem wszystko zostało uczynione dla mego dobra oraz wygody i nie mam powodu, by wracać i narzekać, czyż nie tak? — Pochyli-

łem się do przodu. — Szkoda, że nie przestajesz kręcić i nie przyznajesz, że obawiałeś się, iż wmięszam się w coś, co mnie przerasta i zepsuje to.

Nie odpowiedział od razu. Podniósł się i podszedł do okna, spoglądając na obie jezdnie wzdłuż chodnika. Wracając stanął i spojrzawszy na mnie z góry, natknął się na mój wzrok wbity w niego.

— Dobrze — rzekł nagle. — Nie mogę cię nazwać jednym z moich najzdolniejszych uczniów, lecz głupotę zostawiłeś daleko za sobą, a fakt, że wróciłeś, by rozmawiać, zamiast pochopnie nazwać mnie łajdakiem i zdrajcą, świadczy o zdolności do racjonalnego wnioskowania. Co więcej, rzeczy przybierają taki obrót, że będziemy potrzebować najlichszej nawet pomocy... — Zaczesał białe włosy swymi sękatymi palcami. — Co robisz w sprawie, w którą zostałeś wciągnięty tak głęboko?

— Cholernie mało. Centaurów niepokoi coś związanego z ostatnią podróżą *Hippodamii*. Fakt, że Lugath jest Ziemianinem udającym Centaura, wiąże się z tym, lecz niczego nie wyjaśnia. Cokolwiek to jest, Ziemianie są tym zainteresowani, przypuszczam, że również Niedźwiedzie, a w twojej osobie Marsjanie. Zapewne coś wielkiego. Wspomniałeś, że może to wpłynąć na całą historię. Jak?

Usiadł ponownie, potrząsając głową.

— Tyle jest do wyjaśnienia — westchnął. — Starzeję się, Rayu, i nie wiem, od czego zacząć.

— Może byłoby niezle od początku.

— W ten sposób trwałoby to tygodniami... Może zaczniemy z tego punktu. Co czuje teraz młody Marsjanin?

— Silne przygnębienie — odrzekłem, wyliczając przyczyny: nędzę, zapomnienie, widoczną wokół skłonność do bylejakości i zanik poczucia marsjańskiej tożsamości narodowej, choć przecież nie możemy zamieszkać wśród ziemskich wygod w naszym, według prawa ojczystym świecie; ponadto drwiny, ze strony ludzi takich jak Piotr, z naszych dumnych tradycji powstałych w czasie, gdy prowadziliśmy pionierską walkę, przełamując wrogość naszej planety.

— Są jeszcze inne rzeczy, których nie widzisz. Zbyt głęboko w tym tkwisz i brak ci dystansu. — Thoder odchylił się do tyłu, składając razem opuszki palców w pozie, którą pamiętałem tak dobrze z niezliczonych wykładów w dzieciństwie.

— Aby pokazać ci jasno, dlaczego istnieje coś ponadto i czego to dotyczy, będę musiał odegrać przedstawienie. Powiedz, jaki był główny przełom myślowy w ubiegłym stuleciu?

Zawahałem się, lecz on uprzedził moją odpowiedź.

— Przepraszam. Pozostał mi nawyk zmuszania innych do pracy, by wszystko zapadało im głębiej w pamięć. Oszczędzę ci tego trudu. Nie było żadnego wielkiego przełomu myślowego od początku dwudziestego drugiego wieku, gdy sterowanie w przestrzeni czterowymiarowej stało się tak niezawodne, że podróże międzygwiazdne przestały być przygodą, stając się codziennością.

— Ale na pewno...

— Ja ciebie, Rayu, nie przekonuję. Mówię ci. Istnieje nawet dająca się obronić teza, że ostatnim przejawem ludzkiego geniuszu była Einsteińska koncepcja równości masy i energii. Cofnij się o jeszcze jeden krok — *il faut reculer pour mieux sauter*, jak twierdziłem, gdy byłeś jeszcze dzieckiem.

— Trzeba cofnąć się, aby skoczyć lepiej — papugowałem.

— Zamknij się. Nie wolno ci tak postępować jedynie dlatego, że starzejąc się, coraz częściej przeskakuję z tematu na temat. Jest kilka kluczowych wynalazków w historii ludzkości, w historii myśli, z których każdy można uważać za całkowitą nowość. Wylicz kilka!

— Ach... Nóż, łuk, ogień, koło...

— Tkaniny, oświata, alfabet, liczenie, wynalezienie pieniędzy, uwolnienie energii

jądrowej i komputer. Jest jeszcze kilka, lecz te wystarczą do wyznaczenia punktów krzywej, którą usiłuję naszkicować.

Zmrużywszy oczy, wyobraziłem sobie czas na osi iksów i postęp technologiczny w skali logarytmicznej na osi igreków.

— Chcesz udowodnić — powiedziałem po chwili — że od czasu rewolucji przemysłowej powinniśmy mieć wielokrotnie więcej punktów oznaczających równie istotne odkrycia.

Thoder niemal zapał z zachwytu.

— Tak, tak. Musiałeś, Rayu, uzupełnić swą edukację od czasu, gdy widziałem ciebie po raz ostatni. Przypuszczałem, że będę cię prowadzić do tego wniosku z wysiłkiem, krok po kroku.

— Poczekaj chwilę! — zaproponowałem. — Mamy ich całe tuziny. Teoria atomu była narzędziem przynajmniej równie potężnym, jak silnik tłokowy na energię cieplną, ale przynaję: były to rzeczy związane wzajemnie; obie korzystały z osiągnięć chemii...

— Ostatnie stulecie? Ostatnie dwa stulecia?

Milczałem. Można było udowodnić, że wszystko, co przychodziło mi na myśl, z wyjątkiem ruchu pojazdów z prędkością ponadświatłą, nie było czymś nowym, lecz realizacją starych pomysłów, z którymi już mieliśmy do czynienia. Z tym się uporaliśmy.

— W porządku. Rozpatrzmy inny aspekt. Czy wierzysz, że istnieje wzorzec lub, używając określeń bardziej podmiotowych, cel dziejów ludzkości?

— Uczyłeś nas, że każde z pokoleń ustanawia swój cel zgodnie z własną wiedzą i musi pogodzić się z tym, iż następne generacje zmienią go lub odrzucą, i że każde inne widzenie przeznaczenia ludzkości jest arbitralne. Nie widziałem nigdy powodu, by przeczyć twojej nauce.

— Dobrze — pochwalił Thoder i dodał z emfazą: — mam nadzieję, że ze względu na siebie samego tak sądzisz; aż do głębi swej świadomości. Bo jeżeli nie... Ale wybiegam myślą naprzód.

Cel jest podstawą. Istoty ludzkie, mając typowe dla siebie skłonności, z chwilą gdy stały się zdolne do samoanalizy w stopniu wystarczającym do zakwestionowania swoich motywów działania raczej w humanistycznym niż teologicznym sensie, świadomie wyznaczyły sobie cały ciąg dających się sformułować celów. Przyjmujemy jeden z nich i nazywamy to „postępem”.

— Domniemane hiperboliczne łańcuchy zdarzeń naniesione na wykres, którego jedna oś jest wyskalowana w pojazdach gwiazdnych, a druga w liczbie ludzi poddanych psychoterapii.

— Czy ja to powiedziałem? — dopytywał się Thoder, a kiedy potwierdziłem skinieniem głowy, uśmiechnął się z satysfakcją. — Zastanawiające wyrażenia; muszę tchnąć w nie ducha. Lecz nie zamierzam przeklinać kłopotów związanych z błędami naszych przodków — to powierzchowne zajęcie, choć może być nawet zabawne. Co, Rayu, jest naszym podstawowym i niezbędnie potrzebnym bogactwem?

Siedziałem przez okres jego pięciu powolnych, marsjańskich oddechów, cofając się myślą wstecz. Byłem zadowolony, że ingerując w moją pamięć nie zamierzał mnie urazić, by potem, gdy byłoby po wszystkim, wyjaśniać i przeproszać. Stosownie do tego pragnąłem, by myśli moje biegły wraz z jego myślami tak blisko, bym mógł dzielić jego konkluzje i, być może udzielić pomocy, której, jak uprzednio napomknął, potrzebował.

— My sami — odpowiedziałem w końcu. Przyklasnął temu, strzelając rękami tak żywo, że zabrzmiało to jak potężna eksplozja.

— Nasz zapis genetyczny, by rzecz dokładniej. Teraz pozwól zadać sobie jeszcze jedno lub dwa pytania i myślę, że sam łatwo rozwiążesz zagadkę. Po pierwsze, jaka jest główna niedogodność bycia Marsjaninem?

— Zapotrzebowanie rozwijającego się embrionu na tlen — odparłem bez namysłu. —

Gdybyśmy mogli pozbyć się tego, mogłaby istnieć prawdziwa rasa marsjańska. Dopóki jest, jak jest, jesteśmy rodzajem płazów zmuszonych wracać do oceanu, by się rozmnażać.

— Stąd tak mało nas — przytaknął. — Po wtóre, jaka jest fundamentalna różnica między Centaurami i Niedźwiedziami?

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Wiesz równie dobrze jak ja. To nie różnica typu fizycznego ani dotycząca genów, ani nic podobnego, to jedynie odmienna organizacja społeczeństwa. Niedźwiedzie są przystępni i niedbali, Centaury sztywni i zdyscyplinowani.

— Dokładnie tak. To wpływa na wszystko, łącznie z życiem rodzinnym oraz sposobem planowania i wychowania potomstwa. Czyż nie tak? — Thoder pochylił się do przodu na krześle. — Czy sądzisz, Rayu, że to czysty przypadek?

Trzy jego kolejne oddechy zadźwięczały w mych uszach, gdy na próżno szukałem odpowiedzi. Wreszcie moje drętwe wargi wydusiły słabą, beznadziejną skargę.

— Co oni o nas myślą, Thoderze? Neandertalczyki dwudziestego czwartego stulecia wyrzuceni na śmietnisko ewolucji, tam pozostawieni i g n i ą c y ?

## 14

— Jeżeli tak czujesz, to znaczy, że nie powiedziałeś, co naprawdę sądzisz o ludzkim przeznaczeniu — Thoder zganił mnie ostro. — Jestem także Marsjaninem, pamiętaj o tym. Nasza duma i siła trwały w warunkach wrogości transcendentnej. Teraz mamy do czynienia z inną. Czy nas pokona?

— Czy możemy jeszcze wybierać między zwycięstwem lub klęską? A może decyzja już zapadła bez naszej wiedzy?

— Nie, to nie jest decyzja. To po prostu akceptacja konieczności pozostania tym, czym jesteśmy. Upewnijmy się, że mówimy o tym samym. Marsjanie są...?

— Eksperymentem, który okazał się poroniony. — Starłem pot z twarzy. — Jesteśmy wypierani przez Niedźwiedzi i Centaurów.

— W praktyce tak. Ale muszę skondensować resztę. Zauważ, Rayu, że jesteśmy wyjątkowo zdolnym gatunkiem. Umiemy bezkarnie łamać fundamentalne prawa wszechświata i wyprzedzić światło w wyścigu do gwiazd. A co robimy, gdy się tam dostajemy? To samo, co robiliśmy przez tysiąclecia na planecie, skąd pochodzimy. Tak, jak gdybyśmy pozostawili za sobą szczyt naszych osiągnięć i zaczęli się rozkładać.

Już w dwudziestym pierwszym wieku dalekowzroczni planiści uświadomili sobie ukrytą przyczynę. Stopniowo społeczeństwo ziemskie zaczęło się ujednoczać. Coraz więcej grup, poprzednio zróżnicowanych językowo i przez lokalne tradycje, zaczęło przyjmować uniwersalny cel fizycznego dobrobytu i związane z nim koncepcje. Mieliśmy więcej danych niż ktokolwiek mógłby przyswoić w ciągu życia i wciąż nie byliśmy w stanie wyciągnąć nowych wniosków z tego kłębowiska informacji. Dlaczego? Zaproponowano dwie hipotezy i, jak to się zdarza, obie z zapalem poświęcono na ołtarzu wielkiego planu przyszłego rozwoju ludzkości.

Najpierw dowodzono, że jednorodność społeczeństwa powoduje zanik bodźców do działania. Wygodna skłonność do uległości wyparła żądzę eksploracji, wdzierania się na nowe ziemie i zadziwiania świata nowymi pomysłami. Ostatnim spektakularnym przypływem geniuszu postępu technicznego było opanowanie sterowania w czterech wymiarach.

Twierdzono również, że cała nasza przereklamowana zdolność do kształtowania środowiska, zamiast ulegania mu wzorem istot bezrozumnych, przewyższyła naszą zdolność rozumienia przyczyn działania. Mówiąc inaczej, potrzebujemy nowego talentu, dodatkowej siły



psychologicznej, jeżeli wolisz. Talent istnieje w formie embrionalnej, o czym świadczy wcale nierzadka umiejętność zmagania się z pojęciami tak abstrakcyjnymi, jak przestrzeń czterowymiarowa, nie mającymi żadnych punktów stycznych z normalną perspektywą opartą na postrzeganiu zmysłowym.

W jaki sposób najlepiej wypełnić obie luki?

Przed nadejściem okresu lotów międzygwiazdnych ludzie sądzili, że są zamknięci w nieokreślonym bliżej Starym Systemie. Mars był jedyną planetą, gdzie mogli rozwijać swoje społeczeństwo i kulturę, choć w sposób odmienny niż na Ziemi z powodu czynników, które kształtowały nas obu. Ale, jak mówiłeś, Marsjanie są niczym płazy, zmuszone do zanurzania się na czas ciąży w środowisku bogatym w tlen. W przeciwnym razie ryzykują, że ich dzieci będą kretynami. Czy tak?

Słuchając go, równocześnie rozmyślałem i mnóstwo dotychczas oderwanych strzępów wiadomości poczęło się łączyć w odstręczającą całość. Powiedziałem:

— Jeżeli dobrze zrozumiałem twoją wypowiedź, jesteś bliski twierdzenia, że różnica między Niedźwiedziami i Centaurami została zaplanowana.

Król Herbów Zondu narzekający, że człowiek, w którego rodzinie tak często kwitły talenty, powinien robić coś więcej niż wychowywać dzieci... Yuma twierdzący, że heraldyka jest rodzajem mikroskopu, narzędziem do badania zestawu genów.

— Słusznie. Nie było sposobu, by ocenić, czy posiadane przez nas umiejętności pozwalają na manipulowanie naszym dziedzictwem i wyhodowanie talentu niezbędnego do dalszego postępu, czy też działanie przypadku wyprzedzi nas — rzekł Thoder parodiując gest rzucania monety. — Tak więc zostały wymyślone dwa silnie przeciwstawne społeczeństwa: Niedźwiedzie, beztroscy, niedbali, biorący życie takim, jakie jest, i Centaurowie, chłodno rozważający wszystko, a szczególnie sprawy swoich następców.

— Tymczasem Marsjanie, zaskoczeni przez bieg wydarzeń, znaleźli się po jednej ze stron — stwierdziłem gorzko. Dlaczego by nie? Nie umiałem powiedzieć, skąd Thoder dostał tę informację, ale mówił z olbrzymią pewnością.

— Nie całkiem. W stosunku do naszej liczebności oddziałujemy nieproporcjonalnie silnie. Nasze tradycje są odrzucane, lecz plan kryjący się za nimi jest wciąż bliższy głównej linii postępu niż obecne zwyczaje ziemskie.

— Przypuszczam, że to pocieszenie — stwierdziłem kwaśno. — Więc jak daleko jesteśmy od rozwiązania? Wnioskuje, że nie wiemy wystarczająco dużo, by planować hodowlę i że Niedźwiedzie mają fory w sztafecie niosącej pochodnię postępu.

Spojrzał na mnie przeciągle.

— Nie, Rayu. Wprost przeciwnie. Okazuje się, że wiemy wystarczająco dużo, a nawet za dużo o naszym kodzie genetycznym. Talent, który zidentyfikowali dawni planiści, objawił się o sześć generacji wcześniej, niż pozwalały przypuszczać najbardziej optymistyczne oszacowania.

— Co? Między Centaurami? — Pomyślawszy o tych, których znałem aż za dobrze, sztywnych, ograniczonych i pewnych siebie, poczułem ukłucie strachu na samą sugestię, że tam może leżeć przeznaczenie ludzkości.

Thoder sięgnął za siebie do małej zamkniętej szafki. Wyciągając długie, marsjańskie ramię, ustawił szyfr, otworzył zamek i zaprezentował zwój, który następnie rozwinął z rozmachem i podał mi do obejrzenia.

Był to herb podzielony na cztery pola. Na pierwszym i czwartym widniały dwie połowy godła Tyrana Centaurów: srebrne gwiazdy i komety na tle czerni oraz głowa tygrysa. Na dwóch pozostałych umieszczono emblematy, których nie mogłem rozpoznać.

— Chcesz mi powiedzieć — stwierdziłem z zaskoczeniem — że to Tyran Centaurów jest obdarzony talentem?

— Niezupełnie. Znasz swoją niedawną historię i na pewno wiesz, że w swym zdecydo-

wanym i jednostronnym dążeniu do stworzenia społeczeństwa całkowicie planowego Centaurowie przechytrzyli sprawę i, myśląc się straszliwie w swoich oszacowaniach, doprowadzili do kryzysu ekonomicznego, niemal do tragedii. Wówczas, pod ciśnieniem wydarzeń wypląnął pierwszy Tyran Borys ben Solomon. Zawiódł on nadzieje tych licznych, którzy, przewidując upadek Centaurów, wskazywali na zdolność Niedźwiedzi do pokonywania przeciwności losu i twierdzili, że w tym kierunku trzeba podążać. Tyran Borys zmusił ich, by udławili się własnymi słowami... Ale oczywiście nie jest to godło obecnego Tyrana Bazyla.

— Więc czyje? Nie należy również do żadnego z jego synów, którzy, aż do śmierci ojca, powinni używać herbu z odmianami.

— Dokładnie tak. Nie wiedziałem, że studiowałeś heraldykę. Lecz mniejsza o to. — Thoder zwinął herb. — Mówiąc bez ogródek, jeżeli zostałby kiedykolwiek nadany, do czego, mam szczerą nadzieję, nigdy nie dojdzie, należałby do syna pewnej, raczej wybitnej kurtyzany, która w wieku siedemnastu lat... e... d o p r o w a d z i ł a do morganatycznego małżeństwa z Tyranem Kandydatem Barnabą, najstarszym synem Bazyla.

— Powiedziałeś — myślałem głośno — że masz nadzieję, iż herb ten nie zostanie nigdy nadany. Ponieważ nie chcesz, by Tyran Bazyl uznał swego wnuka czy...? — zamilkłem.

— Tak? — Thoder zachęcił łagodnie.

— Usiłujesz powiedzieć mi, że to dziecko było na pokładzie *Hippodamii*? Poskramiacz koni, a więc poskramiacz Centaurów! Sugerujesz, że zostało ono porwane rodzicom i przywiezione na Marsa?

— Nie jest to tak okrutne, jak sądzisz — Thoder odpowiedział wymijająco. — Urodziły się bliźnięta: chłopiec i dziewczynka, o czym ojciec i matka nie wiedzieli. Poród odbył się przez cesarskie cięcie i pod narkozą. Kod genetyczny dziewczynki wystarcza, by uczynić ją dzieckiem wyjątkowym, lecz tylko chłopiec ma zapis pełny.

— Ale nie zdołacie utrzymać tego w sekrecie! Muszą już wiedzieć! Z jakiego innego powodu mogły nadejść z Centaura rozkazy, by mnie śledzić i na mękach przesłuchiwać na temat *Hippodamii*?

Nastąpiła długa chwila milczenia. Wreszcie Thoder powiedział:

— Jesteśmy pewni, że nie znają całej historii, ale... Tak, inżynier Lugatha, którego zastąpiłeś, zapadł na chorobę Larchmana. Jak zapewne wiesz, powoduje ona gorączkę i hałaśliwe delirium. Lugath nie ośmielił się zabrać go z Durrith. Liczył na to, że chory nie był dopuszczony do całej tajemnicy i zaangażował ciebie. Ale w szpitalu na Durrith inżynier, bredząc, napomknął wystarczająco dużo, by zaniepokoić władze Centaurów.

Ponadto przecież Niedźwiedzie, Centaurowie i Ziemianie mają swoich tajnych agentów na obcych terytoriach.

— Jak Lugath?

— Jego status nie ma nic do rzeczy, tak jak i mój! — Thoder odezwał się ostro, po czym zmiękł. — Och, tak, mogłeś nas tak zaklasyfikować. Ale nie jako „szpiegów”. Jesteśmy narzędziami w rękach ludzi odpowiedzialnych za planowanie przyszłości ludzkości. Punkt, do którego zmierzam, to stwierdzenie, że znajomość genetyki nie jest monopolem Centaurów. Niedźwiedzie niepokoił się od dawna talentami pojawiającymi się wśród potomków Borysa. I... oto jest!

Zerwał się z krzesła z dziarskością zaskakującą w tak statecznym wieku i pospieszył do drzwi, zanim przybywający zdążył zapukać. Był to oczywiście Lugath.

Spojrzał na mnie z przestrachem, ale Thoder wdał się w wyjaśnienia, dlaczego dopuścił mnie do tak pilnie strzeżonego sekretu. Lugath hamował się przez kilka minut, lecz w końcu uciał ostro staremu.

— Do diabła z tym! — zachrypiał. — Dzieciak zniknął, co do tego nie ma wątpliwości. Albo Centaurowie pochwycili go, albo wtrącił się ktoś inny. Jak możemy tropić go w Galaktyce bez zaalarmowania Niedźwiedzi, I Centaurów i wszystkich innych, aż po Sagittariusza?

Thoder spojrzął na mnie.

— Nie aprobujesz, Rayu, naszych poczynań? Być może wiadomość, że straciliśmy dziecko, sprawiła ci radość? Przyznaję, w pewnym sensie to, co robimy, jest nieludzkie. Ale zauważ, że gdy dorośnie, będzie miał IQ sięgający granic mierzalności, empatię 2000 w skali Weiganda i zasadniczo wszystkie możliwe do odziedziczenia talenty od muzyki po matematykę, i wszystko to będzie mógł przekazywać potomstwu! Czy chcesz, by stało się to monopolem sztywnych, pompatycznych i ograniczonych Centaurów?

Zawahałem się. Praktycznie czytałem w moich myślach. Moją pierwszą reakcją była chęć przypomnienia pogłosek na temat porwań w niewolę, by dowiedzieć się, ile z nich opierało się na podobnych, prawdziwych przypadkach. Coś mnie powstrzymało, przecież był to szlachetny, mądry, stary Thoder, którego znałem od moich lat chłopięcych.

— Więc jaki jest twój plan? — wyszeptalem.

— Kształcić go na Marsie... Potem, gdy dorośnie, przez przypadkowe krzyżowanie z liniami genetycznymi dostępnymi wśród Niedźwiedzi posiąć rodzaj fermentu wśród połowy rasy ludzkiej.

Czy był to godny szacunku plan ewolucji rodzaju ludzkiego, czy też gruboskórna metoda rozmnażania koni pełnej krwi, pasująca bardziej do hodowli zwierząt domowych? Byłem w rozterce. Być może, gdybym znalazł zadowalającą odpowiedź na jeszcze jedno pytanie...

Lugath przemówił ze złością, zanim zebrałem myśli.

— Dlaczego sterczysz tu, plotkując z Mallinem? Czy nie słyszałeś? Być może w tym momencie Centaury przygotowują się do wywiezienia dziecka z Marsa i lata pracy będą stracone! Jeżeli Housk dowiedział się już tyle, że przesłuchiwał Mallina... Cud, że nie sięgnął po żadnego z moich lepiej poinformowanych oficerów, ale choć mówiłem im, żeby się nie pokazywali, i jak dotąd... Tak czy inaczej, jak już powiedziałem któregoś nocy, gdy zamierzałeś wyjawić wszystko Mallinowi — wcale nie jestem nim zachwycony! Na Durrith okazał się zbyt wielkim bratem łąką. Możemy skutecznie chronić tajemnicę przed Centaurami, ale Ziemia jest do cholery zbyt sympatyczna dla Niedźwiedzi, a Ziemia jest miejscem, gdzie najtrudniej utrzymać długotrwały plan w...

— Kim są Piotr Nizam i Lilith Choy? — spytałem.

Lugath przerwał, tracąc wątek. Thoder odpowiedział natychmiast.

— Dwoje najwybitniejszych młodych członków stronnictwa proniedźwiedziego na Ziemi, wciąż agitujących za zwiększeniem rozdzwieku między Starym Systemem i Centaurami oraz za stałym aliansem z Niedźwiedziami.

— Co chcieliby zrobić z dzieckiem?

Lugath i Thoder, zmieszawszy się, spojrzeli po sobie. Thoder powiedział:

— Naturalnie oddaliby je Niedźwiedzim. Byłoby to nieszczęście o wiele mniejsze, niż gdyby zostało wśród Centaurów z umysłem zakutym w kaftan bezpieczeństwa. Nawet gdyby potrafili ustrzec go przed zadufaniem we własną inteligencję, w co wątpię, a co mogłoby doprowadzić do wojny, chłopiec rósłby na zwolennika bądź Centaurów, bądź Niedźwiedzi, a nie całej ludzkości. To zburzyłoby plany, które rozwijali dla nas najbardziej bezinteresowni i pełni poświęcenia planiści.

— I co to wszystko ma z wami wspólnego? — spytałem.

Zapadła cisza. W końcu Thoder wzruszył ramionami.

— Skoro wiesz już tyle, mogę wyznać resztę. Ćwierci pola, których nie rozpoznałeś oglądając herb, te nie należące do Tyrana Bazyla, zawierają godła mojej rodziny. Ta wybitna kobieta, matka dziecka, to moja wnuczka Shilene.

Wahałem się jeszcze. Kiedy w końcu zdecydowałem się stanąć po jednej ze stron, na dobre i na złe, nie uczyniłem tego z żadnego konkretnego i bezinteresownego powodu. Naprawdę nie.

Och, na dnie mojej duszy tkwiło ziarno sympatii. Pamiętając Thodera jako nauczyciela i znając jego miłość do dzieci, mogłem wyobrazić sobie, ile go kosztowało rozstanie z własnymi, choć przyznaję, nigdy dotąd nie podejrzewałem, że może być ojcem i nawet teraz myśl ta wydawała mi się odległa i obca.

Z drugiej strony...

Nie miałem najmniejszej szansy na rozważenie i zanalizowanie tego, co Thoder powiedział mi o Niedźwiedziach i Centaurach, gdyż trzeba by na to poświęcić masę czasu. Na pierwszy rzut oka wszystko miało sens. Trudno było uwierzyć, że tylko przypadkiem ludzie o cechach Niedźwiedzi od samego początku międzygwiazdnej kolonizacji spoglądali na północ od Starego Systemu, a ci w typie Centaurów, odwrotnie — na południe.

Niemniej, nie byłem automatycznie przekonany, że Thoder wybrał najlepszą z trzech dróg stojących przed dzieckiem o tak wspaniałym, jak opisał, kodzie genetycznym, pomijając oczywiście możliwość zranienia i śmierci chłopca w czasie tej śmiesznej, ukrywanej kłótni o niego. Czy sądziłem, że leżałoby w jego, naszym i wszystkich najlepszym interesie, gdyby dziecko obrało taką jak ja drogę życiową? Odrzuciłem mniej lub więcej przewodnictwo Thodera, choć w wyniku zbiegu okoliczności ponownie wszedłem z nim w kontakt. Czyż dopiero co nie powiedział mi, że marsjański sposób na życie jest zapomnianym ślepym zaułkiem, aleją nie skierowaną w przyszłość, lecz wiodącą donikąd, czymś tak przestarzałym, jak plany wielopokoleniowej arki międzygwiazdnej od chwili uruchomienia pierwszego silnika cztero-przestrzennego?

Zgodziłbym się natychmiast z tym, że oddanie dziecka pod opiekę Centaurów byłoby umieszczeniem jego świadomości w kaftanie bezpieczeństwa. Ale oddanie go Niedźwiedziom na wychowanie nie budziło we mnie takich obaw. Dzikie deklaracje dotyczące ryzyka wojny mogącej być następstwem niedźwiedziach przechwałek na temat ich inteligencji uważałem za grubą przesadę. Możliwość wojny międzygwiazdnej nie powinna być brana pod uwagę. Zasoby, które należałoby zaangażować, zrujnowałyby stronę atakującą i nawet ubóstwiane przez Centaurów ich własne komputery powiedziałyby to niedwuznacznie.

Nawet gdybym się mylił, nawet gdyby wskutek jakiegoś zdumiewającego nowego przełomu udowodniono, że wojna jest możliwa, przypadkowy grad uderzeń spadających na społeczeństwo mógłby przekroczyć zdolności przystosowawcze Centaurów, podczas gdy Niedźwiedzie — gięty, wolni i beztroscy — zebraliby resztki i rozpoczęli wszystko od nowa. Stary System zostałby prawdopodobnie starty na pył, zgodnie z literackim porównaniem Thodera, jak ziarno pszenicy między kamieniami młyńskimi. Ale podtrzymywaniem jakich wartości mógł się teraz szczyścić? Ziemianie zrzekli się korony historii na rzecz programów monstrualnych laboratoriów doświadczalnych i dla Marsa był to już tylko niczemu nie służący dodatek, w rodzaju wyrostka robaczkowego.

Piotr i Lilith byli dla mnie mili; nie tylko ocalili mi życie, lecz również postępowali ze mną jak z człowiekiem i odwoływali się do mojego marsjańskiego honoru. Dostrzegali przynajmniej jego istnienie, choć nie rozumieli wszystkich implikacji. Housk i jego kompani traktowali mnie jak rzecz, którą za pomocą bicia nerwowego należy przycisnąć tak, by puściła ciurkiem wszystek sok posiadanej wiedzy. W przestrzeni Centaurów za zrobienie czegoś więcej niż wyrażenie własnej opinii zostałem wyrzucony jak zbyt odlegająca od normy część zapasowa. W przestrzeni Niedźwiedzi służyłem z ludźmi, których mogłem nazwać przyjaciółmi, kochałem dziewczyny, które myślały o mnie jak o m n i e, a nie jak o

„tyczkowanym olbrzymie”... Do diabła, myślałem o małżeństwie z jedną z nich!

Tak więc bezinteresowny wniosek, gdy szale były obciążone po obu stronach, wypadł na korzyść Niedźwiedzi. Ale nie doszedłem do niego. Wybrałem konkluzję samolubną.

Nie mogłem znieść myśli, że wszystko, co ceniłem, wszystko, z czym się stykałem w życiu, byłoby starte, że samo pojęcie „Marsjanina” byłoby głośnie i puste jak bęben. I jeżeli nie istniała już nadzieja na zbudowanie na Marsie fundamentów wielkiej przyszłości ludzkości, niech przynajmniej ślady tego, co cenię, przetrwają w pamięci dziecka, które trząść będzie gwiazdami, gdy dojdzie do pełnoletności. Nie wystarczało i nie mogło wystarczyć dziedzictwo genów. Umieścimy chłopca i dziewczynkę w zupełnie nowym świecie zapewniającym wszystko co potrzebne do przeżycia. Gdy się rozmnożą, czy nie bacząc na kształt będziemy mogli nazwać ich potomków istotami ludzkimi? To, co uczyniło ze mnie człowieka, nie pływało wraz z ogoniastymi komórkami monozygotycznymi w lepkiej cieczy. Nie można było tego odwirować, naświetlić, zmodyfikować genetycznie ani umieścić pod mikroskopem.

Jednak nie było to nierealne. Nie leżało poza kontrolą i, co najważniejsze, nie było niedostępne dla największego ludzkiego daru, talentu wiązania czasu odległego o miliony lat. Można było planować sterowanie tym procesem. Można było wybrać ten lub inny okres zapewniający większe szanse przeżycia. Można było spoglądać długo i trzeźwo, aby w końcu powiedzieć: O tyle, o ile tu i teraz, przyznając się do ignorancji, mogę powiedzieć — to jest złe, a to jest dobre.

Powiedziałem:

— Mieli dziecko w apartamentach Wielkiego Kanału i jakiś Niedźwiedź przyszedł po nie.

Chwilę po tym stwierdzeniu przyszło mi na myśl, że to nie może być prawdą. Podróż z Durrith do Starego Systemu zajęła prawie trzy miesiące nawet przy nieprawdopodobnie potężnych silnikach Lugatha, podczas gdy dziecko, które słyszałem płaczące u Piotra i Lilith, było naprawdę malusieńkie i miało nie więcej niż dwa tygodnie lub może nawet jeszcze mniej.

Wytrąciło mnie to całkowicie z równowagi. Sekundy uciekały, a Thoder i Lugath żądali, abym wyjawiał, skąd mam taką wiadomość, aż w końcu słabym głosem poprawiłem swoje stwierdzenie.

— Lub raczej... było tam jakieś dziecko, gdyż słyszałem jego płacz. Lecz musiało być zbyt malutkie.

— Zbyt malutkie — powtórzył Lugath. — Czy je widziałeś? Nie? Więc...

— Wystarczy słyszeć — uciął Thoder. — Ale idźmy dalej. Lugathcie, w jaki sposób dziecko było transportowane? W statku takim, jak twój, z ograniczonym miejscem dla pasażerów musiało istnieć ryzyko, że jego płacz zostanie posłyszany.

— Nic podobnego! Skróciliśmy jego czas. Z jego punktu widzenia cała podróż trwała godzinę lub dwie.

— Nie całkiem... — zaczął Thoder.

Przerwałem.

— Zatem to właśnie dziecko mogłem słyszeć u Piotra i Lilith! — I specjalnie dla Thodera wyjaśniłem sprawę szerzej. — Kapitan Lugath mówi, że chociaż dziecko podróżowało statkiem, nie było w tym samym co on modzie czteroprzestrzennym. Znajdowało się w obszarze bardzo zbliżonym do normalnej przestrzeni i stanowiło obiekt podlegający relatywistycznemu skróceniu czasu... Na Kosmos!

— Czy coś się stało?

— Nic takiego. Miałem tyle kłopotów z tymi przekłętymi silnikami! Było to jak latanie statkiem powietrznym z kotwicą czepiającą się skał poniżej!

— Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował moich rekomendacji, otrzymasz je — stwierdził trzeźwo Lugath. — Mój własny inżynier nie potrafiłby wrócić tak szybko do Starego Systemu, choć wiedział o specjalnym przedziale z alternatywnym modelem czteroprze-

strzennym.

— Gdybyś mi o tym powiedział — odparowałem — dowiozłbym cię tutaj o tydzień wcześniej!

— Przestańcie się kłócić — westchnął Thoder. — Zakładamy, że słyszałeś to samo dziecko w apartamentach Wielkiego Kanału. Opowiedz resztę i opisz Niedźwiedzia, który po nie przyszedł.

Zrobiłem to. Thoder strzelił palcami.

— Znasz go? — dopytywał się Lugath.

— Wygląda na faceta nazywanego Jivesem, który zapisał się do Kolegium na dwusemestralny kurs około — zaraz, niech sobie przypomnę — siedmiu lub ośmiu tygodni temu. Drażnił mnie od czasu swojego przybycia. Twierdził, że jest drobnym fabrykantem na Złotej Gwieździe, ale wypadł tak świetnie w rutynowych testach z przystosowania do życia, że przekonałem się, iż kłamie. Jego oceny z siły osobowości i przystosowania społecznego były... Och, do diabła ze szczegółami! Mogę przysiąc, że jest tajnym agentem Niedźwiedzi i tylko to ma znaczenie.

— Prysłany tu w związku z przybyciem dziecka?

— Oczywiście nie, chyba że ich wywiad jest bajecznie sprawny. Nie, bardziej prawdopodobne, iż polecono mu, aby zapisał się do Kolegium i ocenił jego wpływ na studentów Niedźwiedzi, którzy stanowią dziewięćdziesiąt dwa procent wszystkich kształconych. Niedźwiedzie są uczuleni na punkcie mieszania się z zewnątrz w bieg ich spraw wewnętrznych. Nie życzą sobie, aby jakikolwiek wpływ stał się dominujący, a kilku z naszych dotychczasowych absolwentów zdziałało, powiedzmy, nieprawdopodobnie dużo od momentu opuszczenia Marsa.

— Telelinia! — krzyknął Lugath zrywając się na nogi.

Choć Lugath rozmawiał z sąsiedniego pokoju, przez cienką ścianę mogliśmy wyraźnie słyszeć wszystko. Jedyne ze wzburzenia głosu postronni słuchacze mogli wnioskować, że fachowa rozmowa o klasach paliwa jądrowego dotyczyła rzeczy głębszych i bardziej niebezpiecznych — na zasadzie specjalnego kodu skojarzeń.

— Czy jesteś pewien tego, co mówiłeś o Jivesie? — spytałem Thodera.

Uśmiechnął się gorzko.

— Czy nadal sądzisz, że stanowisko profesora w Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego nie jest warte uczciwego człowieka? Zapewniam cię, że tak nie jest. Wyrabiam w moich uczniach umiejętności, które ignoranci nazywają „szczęściem”, a w większości są to techniki, które rozpoznałbyś w grach umysłowych z twojego dzieciństwa. Na przykład napięcie czasu, aby uzyskać dodatkową możliwość zanalizowania kryzysowej sytuacji. Wciąż uczę tego w kontekście zabawy i spośród używanych obecnie przeze mnie gier hazardowych ta jest najbardziej lubiana przez Niedźwiedzi. — Pochylił się do przodu. — Przydarzyło ci się o wiele więcej niż podsłuchanie dziecka w apartamentach Wielkiego Kanału. Opowiedz mi o tym!

Lugath połączył się teraz z innym numerem i rozmawiał o szeregu skomplikowanych zakładów na niedźwiedzich mistrzostwach atletycznych — Spotkaniu Pasa Zodiaku.

Streściłem zdarzenia, które z powrotem mnie tu sprowadziły.

— Świetny pomysł, aby korzystając z ejdetycznej pamięci Yumy skrócić swoje poszukiwania — skomentował. — Ale obawiam się, że potrzebowałeś szczęścia, by dowiedzieć się nawet tak niewiele. Rozmyślnie ukrywam moje kontakty z Kolegium Heraldycznym. Uświadom sobie, iż na tym, o czym ci mówiłem, mógłby potknąć się nawet ktoś na tyle przenikliwy, aby zdziwić się faktem, że heraldycy i nauczyciele szczęścia są dwiema grupami w Starym Systemie, mającymi obecnie największy wpływ na wielkie supermocarstwa... I znalazłeś Houska w pomieszczeniu pod Świątynią, czy tak?

— Znasz je?

— W rzeczy samej, na wpół podejrzewałem, że tam cię zawlekli na przesłuchanie. Zorientowałem się po opisie kamiennego krzesła; nie ma ich wiele na Marsie. Ma to alarmujące implikacje, które, wyjątkowo, będą musiały poczekać.

— Czy możesz je wyliczyć?

— Przede wszystkim antyziemskie nastroje popularne dziś wśród Marsjan, czego sam jesteś dowodem, proszę, wybaczyć ten przytyk, pogłębiają się bardziej, niż sądziłem, skoro doprowadziły do poinformowania Centaurów o tajemnym pomieszczeniu. Wyobrażałem sobie, że wie o nim jedynie garść rdzennych Marsjan.

Miałem jeszcze wiele pytań dotyczących tego tematu, lecz co innego bardziej mnie niepokoiło. Powiedziałem:

— Nie rozumiem jak, na Galaktykę, straciłeś ślad tego dziecka!

— Paradoksalne, czyż nie? Z odległości lat świetlnych skutecznie przeprowadziliśmy zamach, zorganizowaliśmy jedną z najbezbłędniejszych w historii operacji przemycniczych, a potem zostaliśmy pokonani przez to, co nazwałeś ujemną stroną bycia Marsjaninem.

Nie ośmieliliśmy się wystawić dziecka na działanie warunków, które mogłyby przeszkodzić jego wzrostowi, a szczególnie formowaniu się unikatowego umysłu. Brak tlenu nie działa tak ujemnie na dziecko, jak na embrión, ale, jak to określił Lugath, już i tak podjęliśmy ogromne ryzyko, porywając je i przewożąc tutaj. Musieliśmy jednak jak najszybciej wprowadzić je w społeczeństwo marsjańskie, aby odciągnąć uwagę ciekawskich od sprawy jego pochodzenia.

Ukryliśmy je w sposób doskonały w klinice położniczej, pożyczając tożsamość od dziecka niedonoszonego i zmarłego przed porodem. Myśleliśmy, że wzięliśmy pod uwagę wszelkie ewentualności i po prostu nie wierzyłem w możliwość niepowodzenia. A jednak przeliczyliśmy się!

W świetle tego, co mi powiedziałaś, mogę się założyć, że nasz piękny plan zawalił się z tego powodu, iż kliniki położnicze, w których utrzymywane jest ciśnienie ziemskie, prowadzone są w większości przez imigrantów z Ziemi.

Załóżmy, że jakiś proniedźwiedzio nastawiony Ziemianin z personelu kliniki wspomniął przyjacielowi Niedźwiedziowi — być może samemu Jivesowi, że z tym dzieckiem łączy się coś podejrzanego. Widząc zbieżność w czasie z przybyciem *Hippodamii* i wiedząc, być może od Piotra Nizama, o tak wielkim zainteresowaniu Centaurów jej ostatnią podróżą, że wzięli się na to, co z tobą zrobili, nawet nie mając szczególnej bystrości umysłu można podejrzewać związek między tymi faktami. Jak już powiedziałem, zainteresowanie genetyką nie cechuje wyłącznie Centaurów z ich umiłowaniem heraldyki. Na razie mogą tylko podejrzewać, ale jeżeli wywieźli dziecko, ich przypuszczenia są niebezpiecznie bliskie prawdy!

## 16

Wciąż chciałem dowiedzieć się w jaki sposób zabrano dziecko z kliniki, ale nie było sensu pytać o to Thodera. Jeżeli wie, na pewno wykorzysta tę wiedzę. Tak czy inaczej przewrwał nam Lugath, wchodząc i pocierając dłonią twarz.

— Sprawdzam Jivesa — powiedział. — I od tej chwili wszystkie statki Niedźwiedzi na planecie będą pod obserwacją. Na szczęście żaden ich statek nie poprosił o zezwolenie na start przed jutrzejszym południem. Gdyby wiedzieli, co zdobyli, staraliby się ze wszystkich sił natychmiast wywieźć chłopca ze Starego Systemu.

Kopnął krzesło, patrząc na mnie z błyskiem w oczach.

— I pomyśleć tylko, że wyobrażałem sobie, iż moja część zadania skończyła się w momencie zadokowania statku!

Spojrzał na Thodera, który rozłożył ręce.

— Mów dalej. Marsjańska lojalność jest rzeczą podlegającą dyskusji w najmniejszym stopniu.

— Tak... Niewielka liczba statków, w grę wchodzi zaledwie około piętnastu sztuk, wysłanych ze Starego Systemu w różnych kierunkach, działa na rzecz sieci wywiadowczej. Człowiek to szczwane i podejrzliwe zwierzę. W celu ukierunkowania ewolucji swojego społeczeństwa przetwarza olbrzymią ilość informacji, których ani Niedźwiedzie, ani Centaury nie użyczą na prośbę. Jedni i drudzy mają swoich szpiegów po przeciwnej stronie, ale mam wrażenie, że nasza sieć jest ze wszystkich trzech najsprawniejsza. Wywoziłem kiedyś z Marsa dwóch agentów Niedźwiedzi lecących na Durrith i pomyślcie — ja wiedziałem, kim oni są, a oni, przypuszczam, że nawet nas nie podejrzewali. Zawiadomiłem więc władze Centaurów i kilkakrotnie od tamtego czasu, jako osoba godna zaufania, wykonywałem dla nich niewielkie, sekretne zadania. — Uśmiechnął się krzywo.

— Thoderze! — podjął na nowo. — Jeżeli dojdzie do najgorszego z najgorszych rozwiązań, czy będziemy mogli otwarcie oskarżyć Jivesa o porwanie?

— Fałszywa marsjańska tożsamość dzieciaka wystarczy dla lokalnego śledztwa — odpowiedział Thoder. — Marsjanie nie będą mieli ochoty dochodzić wszystkiego zbyt szczegółowo, ponieważ, czego Ray świadkiem, jesteśmy wszyscy tak diabelnie wrażliwi na to, jak nas dzisiaj traktują.

— Zatem przyjmijmy to jako drogę odwrotu — stwierdził Lugath. — A jak postąpić naprzód? — Wydawało się, że w ciągu kilku ostatnich sekund zapomniał o mojej obecności. — Załóż buty Kanaikena. Spróbujesz?

Natychmiast rozpoznałem jedną z gier ćwiczonych w dzieciństwie pod okiem Thodera: „wkładanie czyichś butów” znaczyło myśleć tak, jakby się było na miejscu innej osoby. Nie miałem pojęcia, kim mógł być Kanaiken, lecz z tego, co powiedział Thoder, wnosiłem, że musiał być zwierzchnikiem Jivesa, a może lokalnym szefem wywiadu Niedźwiedzi.

To, co dodałem kiedyś do długiej listy rzeczy, których nauczyłem się od Thodera, traktowane przeze mnie jedynie jako jeszcze jedna forma gimnastyki umysłu, okazało się teraz rzeczą użyteczną w skrajnie trudnych okolicznościach.

— Kanaikenie! — powiedział Lugath. — Co wiesz o dziecku?

Thoder w zamyśleniu potarł podbródek.

— Taak... Przez kilka minionych lat, być może przez czas trwania jednego pokolenia, nasi ludzie wykazywali zainteresowanie potomkami Tyrana Borysa. Tak więc wiemy, że w przestrzeni Centaurów zostały wyselekcjonowane pewne niezwykle linie genetyczne. Do tego tematu najlepiej pasuje historia, którą mi opowiedziano...

— Jaka historia?

— Nie tak szybko. Wiem, że Centaury wykazują zainteresowanie jednym ze swoich statków o nazwie *Hippodamia*. Prawdopodobnie wiem, że wiąże się to z inżynierem, który zachorował na Durrith i został zastąpiony przez Marsjanina. Nie wiem, czego Centaury dowiedzieli się od chorego, ale rozsądne przypuszczenia wskazują, że ładunkiem lub pasażerami interesują się bardziej niż załogą. Nie ośmielam się brać pod uwagę załogi, gdyż, poza zastępcą inżyniera, wszyscy są Centaurami. Skłonny jestem przyjąć założenie, że Marsjanin służący na statku Centaurów mniej sympatyzuje z Niedźwiedziami niż większość ludzi w Starym Systemie. Zgodnie z tym nie kontaktuję się z nim bezpośrednio, lecz zapraszam do współpracy dwoje Ziemiaków o silnych proniedźwiedzich sympatiach: Piotra Nizama i Lilith Choy.

— Czy dowiedzieli się czegoś?

— Raczej niewiele, z wyjątkiem tego że ktoś, prawdopodobnie agenci Centaurów działający tutaj na stałe, byli wystarczająco zaniepokojeni, aby marsjańskiego inżyniera torturować biczem nerwowym. Informacja ta spowodowała, że potraktowałem sprawę z większą



uwagą. Centaurowie nie denerwują się łatwo, a to wygląda na panikę.

— Czy zgadujesz, czego poszukują?

— Człowieka. Na tym etapie zakładam początkowo, że szpiega z cenną informacją.

— Czy musisz to zmodyfikować?

— Szybko. Stronniczka Niedźwiedzi zatrudniona w klinice położniczej zawiadomiła nas o podejrzanych okolicznościach związanych z dzieckiem wyraźnie niemarsjańskiej rasy. Raport dotarł do mnie przez Jivesa albo innego agenta Niedźwiedzi, albo też przez Piotra Nizama i Lilith Choy.

— Co przyniosło na Marsa tych dwoje?

— Dyskusje dotyczące proniedźwiedziej działalności na Ziemi. Tak czy inaczej, oprócz szpiega z ważnymi danymi, inną rzeczą, która mogłaby tak zaalarmować Centaurów, byłaby utrata ważnego kodu genetycznego, który z jakiegoś powodu byłby niemożliwy do powielenia. Hipoteza: nieślubna latorośl wybitnej linii. Mam testy genetyczne przeprowadzone w klinice — podstawowe, które nie wymagają komentarzy, ale nie sprawdzają pełnego genotypu. Wyniki sugerują, że to dziecięcy geniusz. Hmm! W każdym razie moje hazardowe porwanie dziecka było oparte na czymś więcej niż przecuciu — na potrzebie przeprowadzenia właściwego badania genetycznego.

— Dlatego — powiedział Lugath — jeżeli nie znalazł dostępu do prywatnego zestawu do badań genotypowych, dotychczas nie jest pewien, że ma, czego szukał. Gdzie na Marsie mieści się najlepsze centrum badań genotypowych?

— Pegaz, który czerpie korzyści ze znacznej odległości od Zondu.

— Założmy, że posyła tam próbkę. Nie otrzyma odpowiedzi wcześniej niż około jutrzejszego południa. Aż do tego czasu musi być przygotowany, że jego przypuszczenia okażą się błędne.

— Ryzykuje zbyt wysoką stawkę. Ale przyjmuję, że jego rozumowanie jest najprawdopodobniej oparte raczej na nadziei pognębienia Centaurów niż osiągnięcia jakiejś korzyści dla Niedźwiedzi. Czy możesz teraz założyć buty Graingera? Nie — czekaj, najpierw musisz dowiedzieć się, co Ray zrobił dzisiaj z Houskiem.

Thoder otwarcie podsumował wszystko, a Lugath chłonał wyrazy, kiwając głową i udając zakładanie butów. Po czym Thoder spytał:

— Co wiesz na pewno?

— Na Durriith inżynier z centauryjskiego statku *Hippodamia* podczas delirium poczynił niespójne uwagi na temat podróży, w której nie wziął udziału z powodu choroby Larchmana... Jak zwykle, opowiadałby o swoich obawach dotyczących lotu statkiem ze specjalnym przedziałem ze zmiennym modem czteroprzestrzennym. Władze byłyby wystarczająco przenikliwe, aby wezwać eksperta, ten zaś wydedukowałby, że w przedziale znajdowało się coś małego i żywego, prawdopodobnie dziecko. Uh... Chory nie wiedział, co to za dziecko, ale nawet przy niewielkiej dozie wyobraźni można było przypuszczać, że chodzi tutaj o bogaty kod genetyczny.

— Czy dowiedziałeś się tego wszystkiego naraz?

— Nie. Wiadomości przyszły w dwóch etapach: najpierw wstępne zawiadomienie, że coś dziwnego działo się na statku podczas ostatniej podróży i należy odszukać oraz przesłuchać członków załogi, poczynając od Marsjanina zastępującego inżyniera, gdyż kapitan i jego oficerowie byli dotychczas uważani za lojalnych i godnych zaufania. Potem, gdy minął szczyt delirium i nadeszła faza opowiadania o obawach tkwiących w chorym, przyszły informacje o specjalnym przedziale na statku i jego najbardziej prawdopodobnej zawartości. Generalna i wieloraka rewizja przyjętych poprzednio założeń, a zwłaszcza wniosku, że Marsjanin nie wiedział nic o tajemnicy.

— Następny etap?

— Polowanie na załogę, z kapitanem włącznie. — Lugath zdjął na chwilę nie swoje

buty. — A przy okazji, wiem, że część działu rejestracji statków w ambasadzie Centaurów zajęła się dzisiaj po południu naszą *Hippią*. Wydaje się, że jej szukają. Wezmą nas za agentów Niedźwiedzi. To wniosek z góry przesądzony. Będę musiał poprosić o azyl na Ziemi. Ale utrata jednego z naszych statków jest niewielką ceną za zamach o takiej doniosłości.

— Jeżeli szczęśliwie doprowadzimy go do końca — stwierdził kwaśno Thoder. — Tak więc sytuacja wygląda następująco. Kanaiken wie, że ma dziecko, którego miejscem pobytu Centaurowie są nieproporcjonalnie mocno zainteresowani. Podejrzewa, że jest ono kluczem genetycznym genialnej linii, ale nie może być tego pewien, dopóki nie zostaną wykonane pełne badania genotypu. Będzie zmuszony przeprowadzić je w laboratorium usługowym. Jeżeli okaże się, że ma rację, będzie chciał uniknąć mogących się rozejść pogłosek. Pegaz leży wystarczająco daleko.

— Ponadto — powiedział Lugath — mówiono mi, że sentymenty proniedźwiedzie są tam równie silne, jak w Zondzie. Czy tak?

— Najzupełniej. Po otrzymaniu raportu Kanaiken będzie chciał wywieźć dziecko z Marsa, zanim dotrze tu plotka z Pegaza. Jeżeli straci je, zanim otrzyma raport, a następnie zostanie mu dostarczony wynik fałszywy, stwierdzający, że Centaurowie wpadli w panikę bez istotnego powodu, może nie podejmować żadnych kroków w celu odzyskania straty.

— Słaba szansa, ale nasza największa nadzieja. Będziemy musieli nakarmić go danymi wskazującymi na wysoką pozycję w genealogii Centaurów, ale bez żadnego szczególnego talentu.

— Bez kłopotu mogę załatwić przygotowanie takiego genotypu. Mam nawet pomysł, w jaki sposób możemy skonstruować substytut. A teraz Grainger. Wie, że to dziecko Centaurów, ale nic poza tym, gdyż twój członek załogi nie znał tożsamości niemowlęcia. Czy możemy zmylić go, dając mu do zrozumienia, że coś jeszcze kryje się za tym wszystkim?

Lugath potrząsnął głową.

— Pomyślę o tym — wymamrotał. — Teraz chciałbym wrócić do telelinii i zobaczyć, czego uda mi się dowiedzieć o tych centrach badań genetycznych, w których znam kogoś...

Thoder przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu.

— Aleśmy wpadli — powiedział w końcu. — Wszystko wiąże się ze sobą i to utrudnia sprawę. Nietrudno zmylić Kanaikena, aby uwierzył, że dziecko pochodzi z centauryjskich wyżyn społecznych, ale poza tym nie odznacza się niczym szczególnym. Pod warunkiem, że zdołamy dowiedzieć się, gdzie Kanaiken zamierza przeprowadzić badanie i wślizgniemy się na czas, by mieć pewność, iż próbką zajmie się ktoś nam znany.

— Czy to trudne? — spytałem.

— Na Kosmos, niespecjalnie! Czy nie sądzisz, że większość ludzi znających ten długoterminowy plan jest zatrudniona w takich instytucjach, jak centra badań genetycznych?

— Oczywiście — mruknąłem. — A przy okazji, kim jest Kanaiken?

— Lokalnym szefem wywiadu Niedźwiedzi, a Grainger jego centauryjskim odpowiednikiem, który najprawdopodobniej sądzi, że ma do czynienia z zamachem dokonany przez nas, lecz przez Niedźwiedzie. Lugath twierdzi, iż jego statek zawsze usiany jest umieszczonymi z rozmysłem przedmiotami, mającymi skierować uwagę na fałszywe tory. Zatem musimy skierować nasze wysiłki na zmylenie Kanaikena, aby uwierzył, że Centaurowie wpadli w panikę bez istotnego powodu, a Graingera przekonać, że rzekomy zamach Niedźwiedzi nie wypalił. Musimy znieść go przypuszczeniem, że...

Lugath gwałtownie wpadł do pokoju.

— Trafiłem za pierwszym razem. — powiedział. — Rozmawiałem z Yettą Dryfoos z Pegaza i od razu wiedziała w czym rzecz. Jives dzwonił do niej pod swym własnym nazwiskiem mniej więcej dwie godziny temu, pytając, jak długo trwałoby przeprowadzenie testu. Kazała mu dostarczyć materiał najbliższym lotem i ponieważ czas w Pegazie jest w innej fazie niż nasz w Zondzie, obiecała przesłać wyniki do jutrzejszego południa — dokładnie tak,

jak przewidywałem.

— To nasz pierwszy szczęśliwy traf dzisiaj, poza pozyskaniem Raya — stwierdził Thoder. — Na szczęście żaden z moich uczniów z Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego nie może tego usłyszeć. Czy pytała, dlaczego chcemy się wmieszać?

— Sądziłem, że lepiej jej nie mówić i zgodziła się z tym. — Lugath wzruszył ramionami. — Chciała tylko otrzymać fałszywą próbkę tak, jakby przyszła od Jivesa, i zbadać ją zamiast oryginalnej. W ten sposób nawet ona nie będzie wiedziała, co zawierała prawdziwa. Stwierdziła, że woli nie znać prawdy.

— Czy twój ojciec jest teraz w Pegazie, Rayu? — mruknął Thoder. — Słyszałem, jak dawno temu narzekał, że nigdy go nie odwiedzasz.

## 17

Jeden z moich pierwszych instruktorów teorii lotów w przestrzeni kosmicznej zwykł bawić się świetnie paradoksalnym stwierdzeniem, że zasadniczo jest więcej kłopotów z lotem z Zondu do Pegaza niż z Ziemi na Marsa. Prawda ta zniechęca do składania wizyt ludziom z przeciwnej strony planety. Naszego rozrzedzonego powietrza — z ciśnieniem przy ziemi około 100 w naszej standardowej skali, w której za jednostkę przyjęto tysiąc stóp nad poziomem ziemskiego morza — było wystarczająco dużo, by sprawiać kłopoty, lecz nie aż tyle, by umożliwić tani lot za pomocą skrzydeł. Transport towarów odbywał się głównie kołowo — poduszkowymi ciężarówkami, które można było oglądać każdego dnia na ulicach Zondu, lecz szybki przewóz pasażerów stanowił trudniejszy do rozwiązania problem. Próbowano wszelkiego rodzaju metod. Zwykle balistyczne środki lokomocji były wykluczone, jak również silniki odrzutowe. Tlen występował na Marsie w tak śladowych ilościach, że każdy powietrzozerny wehikuł musiał posiadać swój własny utleniacz o prohibicyjnej cenie. To samo odnosiło się do rakiet, jeżeli ich silniki były w użyciu dłużej niż przez możliwie najkrótszy odcinek podróży. Próby wykorzystania energii wolnych rodników, z powodu braku warstwy ozonowej produkowanych masowo przez promieniowanie słoneczne, zakończyły się fiaskiem. Ewentualnym pseudorozwiązaniem był rodzaj pojazdu powrotnego, wynoszonego na podorbitę, skąd następnie, zmieniając kształt skrzydeł, ześlizgiwał się on do celu szeregiem skoków. Wehikuły te były niewygodne i dlatego niepopularne. Nigdy nie widziałem żadnego z kompletem pasażerów.

Tak było dotychczas. Lecz kiedy umieściłem swój ekwipunek na elastycznej siatce bagażnika nad siedzeniem, odkryłem, że ten szczególny statek był przepełniony.

Ku memu przerażeniu zauważyłem majora Houska.

Co, na Galaktykę, on tu porabiał? Byłem gotów wyślizgnąć się stąd natychmiast i zabrać późniejszym lotem, nawet gdyby miało to oznaczać, że Jives nie otrzyma raportu z Pegaza w obiecany czas. Lepiej zaryzykować jego nieokreślone podejrzenie o ingerencję niż dać do zrozumienia Houskowi, że byłem w to wszystko bardziej zamieszany...

Za późno. Spostrzegł mnie i zbliżał się zdecydowanymi krokami. Twarz mu płonęła, a źrenice były rozszerzone, co zatrwożyło mnie jeszcze bardziej, gdyż wskazywało na zażycie jednego z centauryjskich środków pobudzających, najprawdopodobniej wysokiej klasy pochodnych amfetaminy.

Postanowiłem się ratować, na ile mogłem, przejmując inicjatywę i przypuściłem frontalny atak. Zanim otworzył usta, spytałem go najbardziej obraźliwym tonem.

— Jeszcze nie zdegradowany?

Drwina trafiła w cel, ale nie sprowokowała go.

— W drodze do Pegaza! — mruknął, wskazując na nalepki na moich torbach.

— Jeżeli ojciec nie będzie czekał na mnie na lotnisku — powiedziałem — to zawołam policję i oskarżę cię o to, co wyprawiałeś ze mną tamtej nocy.

Zaśmiał się chrapliwie.

— Co ja ci zrobiłem? Jesteś głupcem, czyż nie? Opieranie oskarżenia na czymś, co powiedziałem, gdy biczowałeś moje nerwy, byłoby bezcelowe. Bądź co bądź, wy, Marsjanie, nie przepadacie za policją, gdyż jest ona instytucją ziemską, a nie marsjańską.

Wnikliwie ściśle stwierdzenie; przypominałem sobie Piotra i Lilith odwołujących się do tego samego. Lecz czułem, że powinienem dalej próbować zirytować go — było to bezpieczne dopóty, dopóki jego reakcje odpowiadały postępowaniu zaledwie rozżłoszczonego człowieka.

— Przypuszczam, że ktoś znalazł cię pod Starą Świątynią — mruknąłem. — Szkoda. Miałem nadzieję, że dopiero odór twojego rozkładającego się ciała zwróci na ciebie czyjąś uwagę.

— Kiedy mnie znaleziono, nie byłem już w takim stanie, aby podejmować przeciw mnie jakiegokolwiek działania — warknął. — Nadzieja zobaczenia mnie zdegradowanego spaliła na panewce, słyszysz? Zamiast tego oczekuję wyróżnienia lub nawet dwóch!

Do długiej już listy dodałem jeszcze jedną cechę odróżniającą kultury Centaurów i Niedźwiedzi. Centaury kierowali się wstydem i zasadniczo nie przejmowali się tym, co czynią, jeżeli tylko nikt nie mógł się o tym dowiedzieć, a ich społeczna pozycja nie była przez to podkopana. Natomiast Niedźwiedzie tworzyli kulturę opartą na poczuciu winy i swoje własne normy moralne nosili we własnych sumieniach.

Jednak teraz liczyło się to, że wyglądał na triumfatora. Muszę spróbować podpuścić go, aby puszając się dalej i sądząc, że już przegrałem to starcie, informował mnie o wszystkim. Rozglądałem się za nową linią ataku, kiedy zabrzmiał sygnał ostrzegawczy przed startem i straciłem okazję, ponieważ, wykrzywiwszy się na koniec, jak każdy dobry Centaur usłuchał i odwrócił się, aby ponownie zająć swoje miejsce na przodzie.

Co mogło uczynić go tak pewnym siebie? Borykałem się z tym problemem przez całą drogę do Pegaza. W końcu postanowiłem, że powinienem obserwować go po wylądowaniu i próbować ustalić, dokąd się uda. Był jednak zbyt czujny, aby mi na to pozwolić i umyślnie wałęsał się dopóty, dopóki nie mogłem już rozmyślnie przepuszczać więcej taksówek. Westchnąwszy, wezwałem jedną i poleciłem skierować się w stronę zgodną z moim oświadczeniem, że mój ojciec czeka na mnie. Ostatnie spojrzenie na Houska sugerowało, że udał się do publicznej telesieci, aby sprawdzić, czy mój ojciec rzeczywiście tu mieszka. Było to bardzo prawdopodobne.

Nie miałem wcale zamiaru jechać bezpośrednio do mieszkania ojca. W wewnętrznej kieszeni nosiłem, wsuniętą tam, małą próbkę tkanki; nie sztucznej, gdyż byłaby zarówno nadzwyczaj kosztowna, jak i najprawdopodobniej wadliwa, lecz naturalnej, zmodyfikowanej tak, aby pasowała dokładnie do pomysłu Thodera, że dawca pochodzi z wysokiego rodu centauryjskiego, lecz nie odziedziczył godnej uwagi kombinacji genów.

Próbkę musiałem dostarczyć jak najszybciej kobiecie, z którą kontaktował się Lugath: Yecie Dryfoos. Pracowała w Pegazie w klinice położniczej, z którą, jak wszędzie na Marsie, było połączone laboratorium genetyczne. Tylko Centauryści dokładnie planowali swoich potomków, lecz było rzeczą ludzką, że rodzice interesowali się, co też im przyjdzie wychowywać.

Przekazałem taksówce stosownie skorygowane polecenia.

Kiedy zostałem wprowadzony do jej biura ze szklanym sufitem, najczystsze, najjaśniejsze i najobszerniejsze pokoju, jaki udało mi się zobaczyć na Marsie w ciągu wielu ostatnich lat, wprost skamieniałem. Była tak niezwykle zjawiskiem, iż lata podróży do innych światów utwierdziły mnie w przekonaniu, że kobieta do niej podobna nie może istnieć,

a młodzieńcze rojenia były jedynie tworem braku nie ukształtowanego jeszcze krytycyzmu.

Była piękną wyrosłą z wielu marsjańskich pokoleń. Gdy wstała, aby mnie przywitać, ujrzałem, że mierzy około sześciu stóp i dziesięciu cali. Czarne włosy spływały na jej ramiona, otaczając twarz dłuższą niż owalna, z szerokim czołem, silnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi oraz stanowcze, lekko zarysowane usta z cienkimi wargami. Miała ciepłą, miedzianobrazową cerę. Luźny kombinezon z białej, atlasowej tkaniny usiłował ukryć linie jej ciała, lecz było oczywiste, że proporcje odpowiadają wzrostowi. Podobnie do mnie, właściwie wszyscy Marsjanie byli szczupli, a nawet, można powiedzieć, że chudzi. Lecz ona była smukła. Określenie to przyszło mi na myśl poniewczasie, gdyż niewiele naszych kobiet na nie za służywało.

— Czy panna Dryfoos? — zapytałem i spostrzegłem, że położyłem nieuchwytny, osobisty akcent na słowie panna.

Roześmiała się, ukazując wspaniałe, białe zęby.

— Masz świetny czas. Wujek ostrzegał mnie, że możesz... ach... raczej twoja paczka może nie zostać przygotowana na czas, tak, abyś mógł złapać tak wczesny lot.

— Twój wujek?

— Tak, twój dawny nauczyciel, o ile się nie mylę.

Potrząsałem głową z zakłopotaniem.

— Sądziłem, że przyjaźnisz się z kapitanem Lugathem. Nie wiedziałem, że jesteś krewną Thodera.

— Kapitan może o tym również nie wiedzieć. Wujek dyskretnie nie mówi o swoich krewnych, bowiem nie wszyscy oni prowadzą tak samotniczy tryb życia.

Zamierzałem dowiedzieć się czegoś o rodzinie Thodera. Drogą okrężną dochodziłem bowiem do wniosku, że musi wywierać kolosalny wpływ na sprawy marsjańskie. I właściwie, dlaczego by nie? Rzadkie zaludnienie na Marsie oznaczało, że jedna wybitna linia dziedziczna może znaczyć znacznie więcej niż na którymś z podobnych do Ziemi, zatłoczonych światów. Tutaj górą nazywamy tak rzadki na Marsie pagórek o wysokości kilkuset stóp.

Prawdopodobnie rodzina Thodera na małą skalę odzwierciedlała to, czego miała nadzieję dokonać z centauryjsko-marsjańską linią swego rodu, reprezentowaną przez prawnuka...

— Co mam zrobić z próbką przysланą przez Jivesa?

Otworzyła szufladę w wiszącej na ścianie gablocie.

— Zniszcz ją — odpowiedziałem natychmiast — a testy przeprowadź na tej.

Wręczyłem jej podrobioną próbkę. Wsunęła ją do szuflady przed zanieśieniem prawdziwej do umieszczonego przy drzwiach zsypu niszczącego.

— W porządku — powiedziała, otrzepując ręce z kurzu. — Teraz to nie będzie całkowite oszustwo; Jives otrzyma swój raport dokładnie w tym samym czasie, w którym tak czy inaczej by go otrzymał. Dziękuję. Nie wiem, co to wszystko znaczy, lecz mając wielki szacunek dla mego wuja, jestem pewna, że wykonałeś ważną rzecz.

Czyżby to już było wszystko? Najwyraźniej tak, gdyż powróciła do swego biurka, pytając:

— Czy sam znajdziesz drogę do wyjścia?

Stawka była zbyt wysoka, by tracić czas na zdawkową pogawędkę. Poczulem kłujący ból zawiedzionej nadziei. Natrafiwszy przypadkowo na kobietę tak uroczą, jak ta, pragnąłem przynajmniej patrzeć na nią!

Rozpoznała to ze zbijającą z tropu bezpośredniością i mrugnęła na mnie z uśmiechem.

— Wybacz mi to, co powiedziałam. Dobrze? Ale jedyny Marsjanin, który kiedykolwiek wszedł do tego pokoju jako obcy i wyszedł potem bez... ach... wahania, nie interesuje się w ogóle kobietami. Cenię to sobie. To mi bardzo pochwala. Lecz muszę nadgonić piekielnie dużo czasu, jeżeli zamierzam dotrzymać terminu obiecanego Jivesowi, gdy nie wiedziałam o tych wszystkich dziwnych rzeczach, które miały nastąpić.

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem i wyszedłem.

Korytarze i hole budynku świeciły pustkami. Jedyne marsjańska część personelu mogła swobodnie przebywać w tej części budynku, gdzie ciśnienie utrzymywano na poziomie 10. Większość musiała pozostać na oddziale porodowym, za śluzami powietrznymi, w ciężkiej i lepkiej atmosferze ziemskiej. Przeklęta konieczność, wciąż wiążąca nas z Ziemią jak pępowina!

Wychodząc, nie zobaczyłem zupełnie nikogo — nawet młodego człowieka, który zaprowadził mnie przed oblicze Yetty Dryfoos (było to lepsze określenie niż po prostu „do jej biura”). Na ścieżce łączącej budynek z chodnikami miasta spotkałem człowieka, który robił wrażenie męża idącego z wizytą do żony przebywającej w klinice położniczej, gdzie utrzymywano wysokie ciśnienie. Niósł kwiaty piaskowe i pudełko jabłek. Potem natknąłem się na dwóch tragarzy, imigrantów z Ziemi, którzy przy małej grawitacji z zatrważającą łatwością dźwigali skrzynie z zaopatrzeniem medycznym. Przez dłuższy czas szedłem nieprzytomny z obrazem Yetty Dryfoos przed oczami, aż wreszcie przyszła mi do głowy myśl, że powinienem zastanowić się, dokąd zmierzam.

W odróżnieniu od Zondu, miasta-kanalu rozciągającego się wzdłuż dna rozpadliny i ukształtowanego w tej formie dzięki naturalnemu otoczeniu, Pegaz był miastem-kraterem uformowanym na kształt niecki, z głównymi arteriami ułożonymi jak Tarcza Davida. Właśnie obliczyłem, że idąc piechotą trafię do mieszkania ojca w sam raz na południowy posiłek, gdy spostrzegłem taksówkę, przejeżdżającą obok mnie pełną kurzu ulicą na zewnątrz chodnika.

Jej pasażerem był człowiek, którego rozpoznałbym wszędzie. Tam, gdzie jechał, było tylko jedno miejsce, do którego mógł zdążyć.

Zawróciłem w miejscu i nie tracąc ani chwili zacząłem gonić go z maksymalną prędkością, na jaką pozwalał mój marsjański galop.

Naturalnie taksówka wyrzuciła go i odjechała, zanim dotarłem do wejścia centrum genetycznego. Rzuciłem się do holu, niemal zwalając z nóg starszą kobietę niosącą stojak z trójwymiarowymi modelami genetycznymi i parłem w kierunku biura, które opuściłem kilka minut temu.

Otworzyłem drzwi cicho, cichuteńko, błogosławiąc nakazy marsjańskiego honoru, dzięki którym montowanie zamków w drzwiach było zbyteczne. Na pewno Housk zamknąłby się przed intruzami, gdyby mógł. Znajdował się w środku wraz ze swym ukochanym biczem nerwowym wymierzonym w Yettę. Chrypiąc, rozkazywał jej, aby wyszła i dała mu próbki tkanki, które otrzymała od Jivesa.

A więc Centaurowie wiedzieli o wiele więcej o tym, co się działo, niż to sobie Thoder wyobrażał. Lecz nie było czasu na takie zmartwienia. Musiałem działać, zanim zdradzą moją obecność szeroko otwarte oczy Yetty, które mimowolnie mogły zmienić kierunek patrzenia.

Przygotowałem się. Musiałem być brutalny, gdyż byłem słaby w porównaniu z kimś, kto wyrósł na planecie o grawitacji równej jednemu g. Zacisnąłem rękę na oczach Houska i pociągnąłem go do tyłu tak, by przewrócić się o moją podstawioną nogę. Nie sądzę, aby był bardziej zaskoczony niż wtedy, gdy odebrałem mu bicz w pomieszczeniu pod Starą Świątynią. Wrzasnął i runął z łomotem na podłogę, a Yetta obiegła biurko, aby porwać bicz. W jakiś dziwny sposób wyrwaliśmy go z zacisniętej mocno dłoni. Yetta usunęła broń poza zasięg jego rąk, poruszając się przy tym płynnie i z wdziękiem jak w tańcu.

— Dziękuję — powiedziała po odzyskaniu swego normalnego spokoju. — A teraz, czy możesz mi powiedzieć, kto to jest, do diabła?

Byłoby komiczne, gdyby nie było tak patetyczne, patrzeć, jak z twarzy Houska ulatnia się wszelka nadzieja wyplątania się z tej gmatwaniny. Wraz z nią odpłynęły wszystkie kolory, poza ciastowatą bielą, i cała fałszywa zuchowatość spowodowana zażyciem środków pobudzających.

Ale nie było czasu, aby wyjaśniać Yecie w czym rzecz. Trzask, z jakim upadł na podłogę, słyszalny był w całym budynku. Pierwsza weszła, rozglądając się, starsza kobieta, z którą niemal zderzyłem się przed chwilą, gdy skoczyłem na pomoc. W ciągu kilku sekund dołączyło do niej pół tuzina zdumionych członków załogi, w połowie Ziemiaków.

Między nimi był poważny mężczyzna w dobrze średnim wieku ze zdumiewającymi, stalowosiwymi włosami, który momentalnie wysunął oskarżenie o użycie bicia nerwowego. Na szczęście był to Marsjanin.

Z powodu braku informacji Yetta mogła jedynie udawać zupełną nieświadomość.

— Dziękuję, doktorze Snell — powiedziała. — Przypuszczam, że ten człowiek jest szalony. Wszedł tutaj bez ostrzeżenia, wyciągnął bicz i kazał mi oddać zawartość szafki z próbkami tkanek. Gdyby pan Mallin mnie nie uratował...

— A co ciebie tu sprowadza? — Snell spytał mnie.

— Jestem z Zondu, gdzie mieszka wuj Yetty — odrzekłem. — Przyjechałem do Pegaza, by zobaczyć się z ojcem i proszono mnie, bym, będąc tu, przekazał Yecie przesyłkę.

— Szczęście, że byłeś tutaj. — Snell skinął na kolegów. — Lepiej podnieśmy go i do czasu przybycia policji umieścimy gdzieś w bezpiecznym miejscu.

— To wszystko kłamstwa! — wrzasnął Housk. — Wy, przekłęci Marsjanie, jesteście urodzonymi kłamcami! Mallin doskonale wie, kim jestem i dlaczego znalazłem się tutaj. Dlaczego nie zapytacie go o dziecko, które porwał?

— Dziecko? Jakie dziecko? — Snell zmrużył oczy.

— Och! — Yetta krzyknęła głośno. — Może to wyjaśnia jego zachowanie. Czy cierpisz na urojenia i przywiduje ci się, że on porwał twoje dziecko? Czy przyszedłeś tutaj, by go szukać? — Mrugnęła na Snella tak wyraźnie, by Housk mógł to zauważyć.

— No, to się wam nie może upiec — wściekał się Housk. — Czy jesteś na służbie? Jeżeli tak, przejrzyj tę szafkę i znajdziesz tam próbkę tkanki Centaura...

— Nie byłoby w tym nic dziwnego. — Snell wzruszył ramionami. — Faktycznie, zwykle trzymamy dwieście lub trzysta takich próbek.

— Ja mówię o tej, którą przysłał wam człowiek nazywany Jivesem!

— Doktorze, sądzę, że jesteśmy na skraju fantazji paranoidalnych — mruknęła Yetta. — Mam taką próbkę, ale Jives jest Niedźwiedziem, jak sądzę, a przynajmniej ma akcent Niedźwiedzia!

Patrząc na Snella Housk odgadł, że zgadza się on z tą sugestią, i natychmiast upadł na duchu. Mówił dalej głosem zmienionym, grubym, powolnym i pozbawionym nadziei.

— Kłamstwa, nic tylko kłamstwa, od początku do końca. To planeta maniaków żyjących we śnie. Powinienem zrozumieć to, gdy tylko dowiedzieliśmy się o Starej Świątyni.

— Co takiego? — spytałem, nie mogąc zrozumieć.

Odzyskał odrobinę pozy i zaszydził ze mnie.

— O tak, ty znasz Świątynię, nieprawdaż? Lub tylko tak ci się wydaje. Biczując, doprowadziłeś mnie do nieprzytomności i zostawiłeś tam. Czyż nie tak? I gdyby Raglan nie znalazł mnie i nie powiedział mi o Jivesie, upiekłoby ci się. Ale nic z tego. Przysięgamy!

Snell spojrział na mnie. Potrząsnąłem przecząco głową, a on po sekundzie zastanowienia zdecydował, że moje słowo przeważa nad zdaniem Centaura, który wtargnął do środka i straszyl Yettę biczem. Nakazał gestem, aby wyprowadzono Houska.

— Nie tak szybko. — Housk wyswobodził się gwałtownym szarpnięciem obu ramion i stanął przede mną. — Przeklęta marsjańska szumowino, czy mogę powiedzieć ci coś o tej twojej wspaniałej Świątyni? My wiemy o niej więcej niż ty! Dlaczego? Całymi latami używaliśmy tego pomieszczenia, gdzie mnie biczowałeś, i nikt prócz nas tam nie zajrzał. Durna pało! Ile razy stałeś, gapiąc się na te piętnaście sławnych artefaktów i nie zastanowiło cię, co tam robią, wystawione na widok publiczny, zamiast być zastąpione przez repliki, aby oryginały poddać badaniom i analizom?

Ziemiańskie w pokoju wymienili zatroskane spojrzenia, ale było to coś, czego każdy Marsjanin chciałby się dowiedzieć.

— Bujda! — zapiał Housk. — Bujda, nic więcej! Ustawiono je tam, by ludzie wierzyli w pierwotnych Marsjan! Od lat znaliśmy prawdę. Kto, prócz głupich Marsjan, dałby się nabrać na taką bujdę? Chcieliśmy wiedzieć, czy to byli p r a w d z i w i Marsjanie, czy też goście z gwiazd, którzy zatrzymali się na Marsie. Zaczęliśmy więc badania i odkryliśmy, że kamienie były obrobione narzędziami o wymiarach metrycznych. L u d z i e budowali waszą śmierdzącą Świątynię! — Pienił się niemal, chcąc za wszelką cenę odegrać się jakoś na Marsjanach, którzy zniweczyli jego ostatnią nadzieję uratowania reputacji, zanim jego zwierzchnicy dowiedzą się, że spartaczył robotę.

Wydawało się najprawdopodobniejsze, że ten Raglan, który znalazł go nieprzytomnego, przynosząc raport na temat Jivesa, musiał być agentem Centaurów używającym pokoju w świątyni jako skrzynki kontaktowej — dokładnie tak, jak to przewidywałem. Jego zainteresowanie Jivesem mogło nie dotyczyć niczego istotnego, poza tym, że Centaurowie, tak samo jak Thoder, podejrzewali w nim agenta Niedźwiedzi. Z powodu szczególnie newralgicznego położenia Starego Systemu między obydwojema blokami, każda ze stron chciałaby pilnie śledzić drugą.

Wydawało się bardzo prawdopodobne, że Housk nie wspomniał nikomu więcej o nowych danych. Uchwycił się kurczowo szansy ukradzenia próbki tkanki i dostarczenia jej swojemu szefowi, Graingerowi, jako przeciwwagi konsekwencji grożących za to, że pozwolił się pokonać i został przeze mnie przesłuchany. Stąd wynikały dalsze wnioski. Nie kłopotalem się śledzeniem wszystkich, ale schwyciłem pierwszy, który wydawał się być pomocny.

— Myślałem, że wszyscy Centaurowie słyszeli o Platonie — powiedziałem.

— Co? — Spojrzał na mnie uważnie, czując, że bomba podłożona przez niego nie wybuchła.

— Nigdy nie słyszałeś o „kłamstwie szlachetnym”?

Trząśłem się wewnątrz. To, co mówił o Świątyni, mogło być i prawie na pewno było prawdą. Spośród dziecinnych iluzji, które jeszcze przetrwały, ta najbardziej hołubiona została zdmuchnięta jak piasek uniesiony przez wiatr. Lecz nie zamierzałem pozwolić, aby byle Centaur zauważył to!

— Jesteś, m ó j m a ł y, dzieckiem napędu czterowymiarowego — powiedziałem. — Ale m o i przodkowie, n a s i przodkowie i nasi m a r s j a n s c y przodkowie, jeżeli tylko było trzeba, byli gotowi lecieć do gwiazd w sposób najtrudniejszy, wielopokoleniowymi statkami-arkami, umierając miliardy mil od domu w nadziei, że dzieci ich dzieci dotrą do gwiazd! Nie sądzisz, że posiadanie dużego, tajemniczego budynku o nie wyjaśnionym pochodzeniu, z wyobrażeniami rzeczy niepojętych wewnątrz było drogim i trwałym dowodem sensowności ich idei.

Patrzyłem na Yettę, widząc jej błyszczące oczy. Fantastyczne. Mówiąc, miałem wrażenie, że to, co wypowiadałem, było prawdą w pewnym sensie głębszą niż zwykłe fakty, mitem przerażającym się w prawdę.

— I — powiedziałem z okrucieństwem — zrobiliście z siebie głupców. Czy na izbę tortur dla Marsjan można wymyślić miejsce gorsze niż główny symbol umiłowanych przez nich tradycji?



W porządku, pojął, co miałem na myśli. Sprawilem wrażenie, że otoczenie Świątyni dodało mi sił potrzebnych do przetrwania najgorszego, podczas gdy on uległ od razu, gdy role się odwróciły. Ukazanie jego straszliwej słabości w porównaniu z jednym z nas, tak pogardzanych Marsjan, zniweczyło ostatnią drobinę jego samokontroli i siniał wprost, gdy go zabierano.

Korzystając z przerwy, delikatnie spytałem Yettę, ilu z tych ludzi jest godnych zaufania. Odpowiedziała, że gdybym potrafił pozyskać Snella, mógłbym liczyć na to, że utrzyma spokój wśród reszty, przynajmniej na pewien czas. Uciekłem w opowiadanie o szerszym okresie, robiąc przegląd tego co prawdopodobne i poprzestając na półprawdach.

Powiedziałem wystarczająco dużo, by dać im pole do dalszych domysłów i zsumowania wszystkiego w robiącą wrażenie całość. Powiedziałem, że wróciłem z podróży w przestrzeń Centaurów, i że eskapada ta rzuciła inne światło na działalność Houska i jego towarzyszy, próbujących zniszczyć panujące wśród Ziemiaków na Marsie sympatie proniedźwiedzie. Nie znałem celu pytań o próbkę tkanki, ale był to prawdopodobnie antyniedźwiedzi spisek. Ponadto, jaki interes mają Centaury lub Niedźwiedzie w prowadzeniu swych sprzeczek na Marsie?

Ostatnia uwaga trafiła mu głęboko do przekonania i nie mieliśmy kłopotów z przetłumaczeniem mu, by nie rozpowiadał wiadomości. Spytał, co zamierzam zrobić z Houskiem — co ja zamierzam! Nie miałem wiele do powiedzenia, ale wydawało się najbezpieczniej umieścić go w areszcie policyjnym i pozwolić, by wyciągnęła go stamtąd jego własna ambasada, jeżeli będzie miała na to ochotę. Gdy jego zwierzchnicy dowiedzą się, do czego był gotów, a zwłaszcza że zamiast od razu przekazać dalej, przetrzymał raport Raglana, być może odeślą go z powrotem tak szybko, że spłonie w wyniku działania tarcia.

Pozbywszy się Snella, zwróciłem się do Yetty. Nastąpiła cisza.

— Czy... czy wiedziałeś o Świątyni? — spytała wreszcie.

Potrząsnąłem głową.

— Więc...

— Wymyśliłem to — powiedziałem ze złością — ale szlag by mnie trafił, gdyby odchodząc był górą.

— Wymyśliłeś. — Przez chwilę zastanawiała się nad tym, po czym kontynuowała. — W tym wypadku raczej mi się spodobałeś. Powiedziałeś dokładnie to, co wszyscy, a zwłaszcza ja, potrzebowaliśmy usłyszeć. Nie mam pojęcia w co, gdzieś tam, wmieszał się mój wuj, i tak obawiałam się, że i ja mogę być w to wciągnięta, iż niemal odmówiłam Lugathowi, gdy prosił o przyjęcie przyniesionej przez ciebie próbki tkanki. Sądziłam, że oszukiwać przybysza z innego świata, podając mu fałszywe informacje, to obraza marsjańskiej uczciwości. Ale teraz... Więc co zrobił ten Jives?

— Porwał jednego z twoich krewnych — powiedziałem i w tym momencie zobaczyłem, że Thoder pomylił się.

Thoder! Nie mogłem uwierzyć, że to możliwe! Ale lata spokojnego, nauczycielskiego życia na uboczu, z dala nawet od swego wpływowego rodu, musiały wyrobić w nim skrytość i nawyk niemieszania się w sprawy publiczne.

— Co?

— Porwał jednego z twoich krewnych! — Coś mi podszeptało, by to powiedzieć. Po co Thoder tracił czas na wymyślanie skomplikowanych sposobów oszukiwania innych? Było to absurdalne w wyścigu z czasem, gdy jedynie przyjaźń i wspólne dzielenie tajemnicy mogło stanowić źródło naszych sił. — Co wiesz o dziewczynie o imieniu Shilene?

Rysy Yetty stwardniały na chwilę, a cień przemykający po jej twarzy upewnił mnie, że miałem rację. Zdało mi się, że po raz pierwszy mogę, wyszedłszy poza własne otoczenie, ocenić społeczeństwo marsjańskie z taką jasnością, jak potrafiłem to zrobić z Niedźwiedziami

lub Centaurami.

Normy postępowania honorowego nie zostały w naszej kulturze wyizolowane bardziej niż kiedykolwiek poprzednio, dzięki niezamykaniu drzwi przed współziomkami. Przyjęcie przeze mnie zobowiązań wobec Piotra i Lilith w zamian za uratowanie życia było tego przykładem. Owe normy wiązały się ze sobą, tworząc spoisty, obowiązujący wzorzec skłaniający mnie do nieuczestniczenia w hulankach na Marsie, choć nie stroniłem od nich gdzie indziej tak, jak i od przygód miłosnych z dziewczynami Niedźwiedzi, z którymi ani przez chwilę nie zamierzałem się żenić, ponieważ zachowałem w zakamarkach duszy myśl o małżeństwie z Marsjanką kiedyś, w przyszłości. Klasyczny przykład podwójnej moralności! Mówiąc w skrócie, nasza marsjańska kultura, zwyczajnie purytańska i pionierska, miała te same siły i słabości, co purytańska Nowa Anglia w siedemnastym stuleciu.

Odpowiedź Yetty na moje pytanie potwierdziła mój przeblysł intuicji.

— Shilene? Skąd o niej słyszałeś? Wiesz, nie jesteśmy zbyt dumni z tej gałęzi rodu.

— Ale, do diabła, powinniście być — odpowiedziałem. Właśnie uświadomiłem sobie, że podczas gdy ja nie chcę poświęcać swoich wygodnych, marsjańskich złudzeń, ona musi poświęcić o całe niebo więcej — niemal tyle, co Thoder.

Był czas najwyższy, aby przez telelinię skontaktować się z Thoderem i wyjaśnić mu, na czym polega jego błąd, zanim stracimy szansę zamienienia obecnej sytuacji w spektakularny triumf nad Niedźwiedziami i Centaurami. Potem moglibyśmy tylko ratować sytuację. Jednak coś z tego, co mówił Housk, chodziło mi wciąż po głowie. Ten nieznaną Raglan powiedział mu o Jivesie i dostawie próbki tkanki do tego laboratorium, odległego od Zondu o połowę drogi wokół planety. Tylko w jeden sposób ta wiadomość mogła przecieknąć na zewnątrz: Centaurowie musieli mieć możliwość podłączania się do telelinii. Zatem bezpieczniej będzie powrócić do Zondu.

Powiedziałem do Yetty:

— Wyjmij tę próbkę i przynieś. Nie dyskutuj. Jives nie będzie potrzebował żadnego jej testu, póki my z nim nie skończymy. Weź absolutnie minimalną ilość rzeczy i chodź ze mną.

— Ale musisz to wyjaśnić! — powiedziała przestraszona, z błędnym wzrokiem.

— Pozwólmy wyjaśnić to twojemu wujowi — rzuciłem. — No chodź. Rusz się!

## 19

— Thoderze! Thoderze!

Wkroczyłem do domu, krzycząc całą mocą płuc. Yetta stanęła za mną niepewnie, zerkając na umeblowanie i dekoracje.

Usłyszałem hałas w pokoju po lewej stronie. Obróciłem się i chcąc otworzyć drzwi sięgnąłem do klamki. Otworzyły się o ułamek sekundy wcześniej, ale zamiast Thodera stanął w nich Lugath.

— Mallin — warknął i ciągnąłby dalej, gdyby, spojrzawszy na mnie, nie spostrzegł także i nie rozpoznał Yetty. Gdy się ukazał, wyglądał jak uosobienie zmęczenia i strapienia, lecz nagle obudziła się w nim furia.

— Na Kosmos! Co ty tu robisz? Czy przyniosłaś ten genotyp dla Jivesa? Będzie nas to cholernie drogo kosztowało, jeżeli nie dostanie tego, co miał obiecać.

— Nie dostanie — odpowiedziała.

— Co? — Twarz Lugatha zszarzała. — Ale...

— Pojawił się Centaur, który zdaje się jest czymś w rodzaju szpiega i zarządził wydanie próbki tkanki — westchnęła Yetta. — O wszystko pozostałe musisz pytać Raya.

Lugath zwrócił się do mnie.

- Housk? — zasapał, ledwie dowierając własnym podejrzeniem.
- Tak, Housk. Nie uszło mu to na sucho, bo mu przeszkodziłem. Ale to nie ma najmniejszego znaczenia.
- Czyś ty oszalał? — Głos mu się łamał; był bliski szaleństwa. — Udało ci się ukryć to wszystko?
- Przekazaliśmy go policji Pegaza i przypuszczam, że po pewnym czasie zostanie przekazany ich ambasadzie.
- O, nie. — Lugath złapał się obiema rękami za głowę. — Co za wspaniały pomysł. Tego nam brakowało. Spodziewam się, że masa ludzi w Pegazie wie już o wszystkim!
- No cóż, trudno było utrzymać tajemnicę, gdy sześć czy siedem osób, wpadłszy, żeby zobaczyć co się stało, ujrzało Houska na podłodze, a nad nim Yettę z biczem nerwowym.
- Lugath poczuł, że potrzebuje oparcia i bez słowa wsparł się o najbliższą ścianę.
- Tak to wygląda — rzekł głucho. — Przemięło bez sensu, a drugiej takiej szansy nie będzie przez wiele pokoleń.
- Wcale nie — powiedziałem. — To najlepsze, co mogło nas spotkać, ponieważ rzuciło nieco światła na cały ten zagmatwany interes.
- Jesteś chyba niespełna rozumu — rzekł Lugath. — Jeżeli Jives nie dostanie próbki tkanki, zacznie poszukiwania i dowie się o tym natrętnym Centaurze. Uświadomi sobie, że...
- Czekaj! Wciąż główkujesz, kręcąc się w swoim tajemnym labiryncie, a ten czas już przeminał. Pamiętasz, że to Mars? Nie Leovang albo Durrith czy coś innego, ale Mars!
- Na próżno szukałem oznak zrozumienia, gdyż zbyt wiele lat spędzonych między Centaurami w roli jednego z nich przyćmiło jego zdolność myślenia. Ale to nie Lugatha, lecz Thodera zamierzałem przekonać do swojej koncepcji.
- Gdzie jest Thoder? — spytałem.
- A sądzisz, że gdzie może być? — Lugath odpowiedział wymijająco.
- W Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego?
- Oczywiście. Pracuje tam, więc ma prawo tam przebywać, a ponadto, według naszych przypuszczeń, dziecko najprawdopodobniej ma Jives, który rzekomo jest studentem tego kolegium.
- Yetto! Złap terenową taksówkę. Musimy wyjechać pięć mil za miasto i to szybko!
- Mallinie. Robisz rzeczy dziesięć razy gorsze, niż gdybyś wysadził wszystkie odrzutowce. Wszystko, czego można się po tym spodziewać, to jedna nieobliczalna akcja...
- Na miłość Boską! — wybuchnąłem. Wyciągnąłem z kieszeni cholerną próbkę tkanki, która okazała się zbędna i podsunąłem Lugathowi pod nos.
- Nie dwie, ale trzy rzeczy są w tym dziecku niezwykle! Na pewno jest Centaurem i na pewno jest potencjalnie wybitne, ale ponadto jest również niewątpliwie na pół Marsjaninem i chociaż ty nie możesz pojąć, co to oznacza, jestem święcie przekonany, że Thoder zrozumie!
- Jest taksówka — odezwała się Yetta sprzed drzwi.

Trasa do Kolegium Szczęśliwego Trafu Badawczego wiodła krętą drogą w pobliżu apartamentów Wielkiego Kanału. Przygnębiała konieczność przebycia, przy wyjeździe z dna kanału na równinę, dystansu pięciokrotnie większego niż w linii prostej. Siedząc w pełnym napięciu oczekiwaniu, pochylałem się do przodu i starałem się przebić wzrokiem kurz wzniecany przez pojazd.

- Do diabła — mruknąłem — prędzej wdrapałbym się na ten stok na piechotę.
- Yetta zrazu nie odpowiedziała. Gdy braliśmy kolejny zakręt, spytała:
- Rayu, czy jesteś pewien, że wiesz, co robisz? Lugath wydawał się strasznie...
- Myśli Lugatha płaczą się w labiryncie, jak niegdyś moje — odpowiedziałem. — Zbyt długo starał się być Centaurem.

— Jeżeli nawet...

— Yetto, proszę! Nie, nie jestem pewien, że wiem, co robię. Jestem przekonany tylko w dziewięćdziesięciu procentach, ale w drodze, jeżeli pozwolisz mi się skupić, mam nadzieję przemyśleć pozostałe dziesięć procent, nim dotrzemy na miejsce.

— Przepraszam — zacisnęła usta, siadając z powrotem.

Dobrze. Miałem już ogólnie zarysowaną wypowiedź, którą chciałem, aby Thoder zaakceptował, więc...

Taksówka, dotarwszy na powierzchnię, objeżdżała Apartamenty Wielkiego Kanału właśnie wtedy, gdy w drzwiach ukazała się postać w masce, otulona w ciepłe wyjściowe ubranie. Nawet to nie przeszkodziło mi rozpoznać drobniutką figurkę Lilith Choy. Ona również poznała mnie pochylonego do przodu, przyciśniętego do osłony przeciwwietrznej i spozierającego na zewnątrz.

Gdy ją mijaliśmy, stała spokojnie i nieruchomo. Spojrzawszy wstecz, spostrzegłem z biciem serca, że błyskawicznie zawróciła do drzwi budynku.

Jadąc w tym kierunku, można było dotrzeć tylko do jednego celu: Kolegium. Droga nie prowadziła nigdzie dalej. Były to raczej zwykłe koleiny. Czy wiedzą już, co mnie łączy z Thoderem i z Jivesem? Nie nadszedł jeszcze czas dostarczenia obiecanego raportu o genotypie, ale jeżeli nawet...

Do diabła z tym. Wyteżyłem wzrok, by zobaczyć, czy nie podąża za nami jakiś pojazd, lecz nic nie zobaczyłem. Gdybym nawet zobaczył, nie musiało to mieć żadnego znaczenia, ponieważ Kolegium było popularne wśród wielu najnieprawdopodobniejszych osób, nie tylko Niedźwiedzi.

Nigdy jeszcze nie widziałem tego miejsca. Było tak dziwaczne, jak moje wyobrażenie o nim, zanim dowiedziałem się, że Thoder tu wykłada. Potem pewne poczucie szacunku stonowało wizję.

W rzeczywistości wyglądało śmiesznie. Jak większość odizolowanych konstrukcji marsjańskich, składało się z ciągu kopuł połączonych chodnikami ciśnieniowymi, ale ta zwyczajność została całkowicie przyćmiona przez dekoracje. Na początku — grupa postaci nienaturalnej wielkości — bez wątpienia Obawa, Nadzieja i Pewność, klasyczne symbole Niedźwiedzi umieszczone w brzydocie pozłoty nad główną bramą od strony drogi. Dalej zamęt fantasmagorycznych aluzji: symbole szczęścia z każdej planety, których posłanie rozpoznawalne było z każdej strony. Jedną z kopuł pomalowano jak planszę do gry, inne jak talię kart. Z kolejnej wystawał martwo piorunochron, przy braku burz na Marsie równie absurdalny, jak czerwona nitka czasami wiązana na Ziemi wokół przegubu dziecięcych dłoni, aby wzmocnić staw i chronić przed reumatyzmem.

Kiedy indziej uśmieiałbym się, oglądając to zbiorowisko nonsensu. Ale teraz spieszyłem się. Taksówka zatrzymała się przed głównym wejściem do Kolegium. Podałem Yecie rękę i wprowadziłem ją zamarłym przejściem do wnętrza budynku.

Kolegium wypełniała gwarliwa cisza, tworzona przez szmer odległych głosów niesionych wzdłuż odpowiadających echem korytarzy, charakterystyczna dla wszystkich instytucji oświatowych, które kiedykolwiek widziałem, ortodoksyjnych i zbikowanych. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Przetykając z trudem, aby przystosować się do ciśnienia utrzymywanego na poziomie czterech ze względu na fakt, że większość studentów stanowili Niedźwiedzie, pospieszyliśmy wzdłuż korytarza wejściowego do czegoś w rodzaju holu centralnego, skąd odchodziło sześć innych.

— Do diabła! Którędy? — warknąłem.

— Tu jest tablica ogłoszeń — wskazała Yetta.

Podszedłem do niej. Przeglądając szczegółowe informacje wywieszane dla studentów, znalazłem wybór takich dziwactw, jak: Harmonia II, Przystosowanie do Rytmów Planetarnych i Wykład Otwarty: Wpływ Temperatury i Wilgotności na Przekrojowo-Kompleksowe

Sploty Szczęścia, rozsianych między tematami brzmiącymi sensownie, jak na przykład prawdopodobieństwo i jego zastosowanie w grach w karty.

Ach: P r z y s t o s o w a n i e d o Ż y c i a, kurs złożony z sześciu wykładów Profesora (Honorowego) Thodera. Przebiegłem palcem w dół po grafiku zajęć, znalazłem odpowiedni dzień i wykład wygłaszany w Głównej Sali Pokazów.

Szukałem wszędzie oznaczeń lub planu Kolegium. Nie znalazłszy nic, zwołałem Yettę.

— Musimy wierzyć, że szczęście jest tu łatwo osiągalne! Spróbujmy najpierw w największym korytarzu.

Potaknęła i podeszła do mnie. Drzwi prowadzące do holu otworzyły się nagle z żalonym piskiem i jakaś kobieta zajrzała do środka.

Wyglądała jak śmieszna lalka dziecięca. Stojąc obok, sięgała Yetcie do łokcia, lecz podwyższała ją nieco koafiura przypominająca stos złożony z wielu warstw różnego koloru: białej, żółtej, brązowoczerwonej i czarnej. Jej twarz, zamieniona przez kosmetyki w maskę bez wieku, mogła należeć zarówno do dziecka udającego osobę dorosłą, jak i do podstarzałej kobiety przekonującej samą siebie, że młodość nie przeminęła. Spoglądały na nas oczy z purpurowymi tęczówkami, przypominające dziury w masce.

— Zgodnie z Huckerem — powiedziała głosem piszczącym niemal równie przeraźliwie jak drzwi — właśnie cofnęliście się przynajmniej o sto obrotów na spirali Wielkiej Gry.

— Co? — Zamrugalem oczami i głupawo spojrzałem na nią, lecz dochodząc do wniosku, że jej pomoc jest lepsza niż żadna, poruszyłem temat ważniejszy. — Gdzie jest Sala Pokazów, w której wykłada Profesor Thoder?

— Och, po tym co powiedziałeś, nie będę mogła pozwolić wam pójść tam — odrzekła, potrząsając głową tak gwałtownie, że przypuszczałem, iż jej upięte włosy rozsypią się. — Powiedziałeś, że szczęście jest „łatwo osiągalne”, czyż nie tak? Nie wolno nawet myśleć o czymś takim. Proszę, odejdźcie, zanim wasza aura zakłóci generalną harmonię tej instytucji.

Postąpiła w moją stronę, wymachując rękami, jakby przepędzając irytujące, małe zwierzaki.

— Gdzie jest Sala Pokazów? — powtórzyłem.

— Wyjdźcie. Wyjdźcie. Kto was w ogóle wpuścił? Musimy wciąż osłaniać naszych uczniów z największą starannością, co pozwala nam uzyskać uniwersalną harmonię, nieporównywalną z resztą Galaktyki. Wchodzenie tutaj w waszym stanie ducha jest jak... jak sypanie piasku do mechanizmu zegara!

— Czy wysłuchałaś kiedyś któregoś z wykładów Thodera?

— Co? Dzięki Bogu, nie. On uczy tylko studentów z zewnątrz, nie stałych.

— Przypuszczałem, że nie. Thoder dość szybko wybiłby ci z głowy te nonsensy. Ale ponieważ nie ma go tutaj, ja będę musiał to zrobić — Zaciśnąłem pięść i pogroziłem jej przed nosem. — Powiesz mi gdzie go znaleźć, czy mam wcisnąć się w twoją aurę?

— Na pomoc — powiedziała cienkim głosem, zerkając prosząco na Yettę.

Yetta złożyła obie ręce na swoich kształtnych piersiach i ze swej marsjańskiej wysokości spojrzała w dół z pogardą.

— Co się stanie, jeżeli znajdziemy go metodą prób i błędów, hmm? — rzekła.

Bystra dziewczyna! Nie pomyślałem o tym. Kobieta z okropną fryzurą jęknęła z przerażenia i przypuszczam, że zamierzała ustąpić, ale w tym momencie delikatnie zadzwieczał dzwonek i lekki hałas w tle podwoił się. Nastąpił wybuch wspólny wszystkim szkołom i oznaczający koniec lekcji.

— Profesor Thoder minie nas, wychodząc — powiedziała. — A kiedy tu dotrze, powiem mu, co o tym myślę.

— A więc myślisz? Naprawdę? — powiedziała Yetta ze słodyczą, w której tkwiła pogarda.

Zapomniałem jednak o wszystkim i stojąc na palcach wyciągałem szyję, by dojrzeć

Thodera nad głowami studentów spływających korytarzami ze wszystkich stron. Wreszcie znalazłem. Wyglądał na zmęczonego i podupadłego na duchu.

Odetchnąłem, gdy mnie zauważył. Nie będzie skłonny pochwalić tego, co robiłem, ale mogę zaoszczędzić wiele cennego czasu, zmuszając go do oparcia się na *fait accompli*, zamiast namawiać go do zastąpienia swojego planu moim.

— Thoderze! — zawołałem. — Twój wielki wnuk jest tutaj! To już pewne, on tu jest!

Spojrzał, jakby nie dowierzając własnym uszom. Przestרח i niepokój odbiły się na jego twarzy, po czym rzucił się w moim kierunku, polecając studentom usunąć się z drogi. Schwyciwszy mnie za ramię, podobnie jak poprzednio Lugath, spytał gorączkowym szeptem, czy postradałem zmysły.

— Nie po raz pierwszy w całym moim życiu — odrzekłem. — Gdzie możemy spokojnie porozmawiać?

## 20

Ponieważ ujawniłem skazę na powszechnie przyjętym wizerunku Thodera, wnet wyczułem, że mój okrzyk z holu zaczął szybko przenikać wokół. Podejmowali go i przekazywali dalej zdumionymi głosami studenci Thodera, którzy sądzili dotąd, że znają swojego nauczyciela. Byli teraz zdumieni, że ma jakichś krewnych. Nawet do tych, którzy go nie znali docierała wieść, że „jakiś szalony Marsjanin wyszedł na korytarz i krzychał coś o wnuku profesora Thodera lub coś...”

Stary człowiek pozostał sobą, Thoderem i opanował się, by móc słuchać. Ale nie trwało to długo. Ze zdumiewającą szybkością przeniknęła moje nieskładne wyjaśnienia i przeszedł do sedna sprawy.

— Pozwól upewnić się, że zrozumiałem prawidłowo — zażądał. — Twierdzisz, że konieczność zachowania tajemnicy i wymyślania skomplikowanych historii mylących przeciwnika ustała w chwili bezpiecznego wylądowania z dzieckiem na Marsie. Według ciebie powinniśmy teraz czerpać paliwo z silników odrzutowców obu stron: Niedźwiedzi i Centaurów, przez rozgłoszenie tego, cośmy zrobili.

Opublikowana wersja wydarzeń powinna zawierać trzy szczególnie przekonujące kłamstwa. Po pierwsze, że ty, mój dawny uczeń, a obecnie inżynier kosmiczny, zostałeś przez Niedźwiedzi wciągnięty w próbę zorganizowania zamachu. Po drugie, że taki zamach miał miejsce, a statek Lugatha działał raczej na rzecz sieci szpiegowskiej Niedźwiedzi, nie Starego Systemu — dowodem są mylące szczegóły wyposażenia, które Centaurowie znajdą wewnątrz i ta historia z zadenuncjowaniem władzom centauryjskim dwóch szpiegów Niedźwiedzi, co zostanie poczytane jako próba przekonania tychże władz o rzekomej lojalności Lugatha. I po trzecie: że wyrzekłem się mojej wnuczki Shilene. — Jego oczy były przepełnione smutkiem, lecz głos nie zmienił barwy.

— Powodzenie i powszechną akceptację tej historii opierasz na trzech założeniach socjologicznych. Co do Niedźwiedzi, przypuszczasz, że z radością przyjmą możliwość wykaraskania się z tej historii. Gdyby przyznali, że rzeczywiście planowali porwanie dziecka, byłby to cios dla proniedźwiedzich sentymentów w tym systemie i odwrotnie, przekonanie ludzi, że ich doskonała sieć szpiegowska wiedziała o istnieniu chłopca, może służyć ich interesom. Możesz oczekiwać, że wydadzą wyrażone w terminach neutralnych oficjalne zaprzeczenie swojego zaangażowania w tę sprawę, którego Centaurowie w ogóle nie wezmą pod uwagę. Dla Centaurów zaś wystarczającym ciosem będzie rozgłoszenie poza granicami związku Tyrana Kandydata z kurtyzaną. W świetle takiej reklamy i w następstwie skandalu, jaki pociągnie za sobą nieodpowiednie postępowania Houska, będą zmuszeni przełknąć pigułkę i,

godząc się z sytuacją, zaprzestać dalszych usiłowań wysłедzenia dziecka. Tyran Bazyl nie zechce pokazać większego zainteresowania nieprawym wnukiem w obawie, że zostanie to po-  
czytane za gest w stronę uznania go za sukcesora właściwej linii. Wystarczy znać ich obsesję  
heraldyczną, aby wiedzieć, jak bardzo kłóciłoby się to z ich wzorcami postępowania. Ponadto  
te właśnie zwyczaje spowodują, że wyda im się całkowicie logiczne, iż ja, rozwścieczony  
dziadek podjąłem kroki w celu uwolnienia potomka spod opieki dziewczyny prowadzącej  
życie hm... moralnie naganne.

Nadal analizował problem abstrakcyjny.

— Trzecią podporą twojego rozumowania jest sposób, w jaki Yetta zareagowała na  
wzmiankę o Shilene. — Błysnął oczami w kierunku Yetty siedzącej jak skamieniała.

— Masz absolutnie rację, Rayu. Mamy na Marsie purytańskie społeczeństwo. Nie nale-  
ży uważać tego za pochwałę, choć w pewnym sensie nią jest. Na czym, oprócz niezłomnych  
praw zawartych w purytańskiej mentalności, mogli się oprzeć nasi przodkowie, stając przed  
problemem stworzenia surowej i niezależnej kultury, którą chcieli tu rozwinąć jako przeci-  
wieństwo ziemskiej rozwiążności i uniformizacji? Surowość podstawowych zasad nie została  
złagodzona, choć zostaliśmy zaskoczeni przez bieg zdarzeń i loty międzygwiazdne sprawiły,  
że nasza zamierzona rola stała się przestarzała. Powiedzmy tylko, że jestem rozwścieczonym  
dziadkiem i wszyscy dumni Marsjanie skupią się wokół mnie przeciw Niedźwiedziom,  
Centaurom i Ziemianom. Dla nich i dla mnie będzie powodem do chwały, że dziecko marsja-  
ńskiej krwi zostanie przywrócone planecie swoich przodków!

Ton jego głosu zmienił się i zadrgały w nim nuty podniecenia. Klepiąc mnie po ramie-  
niu, powiedział:

— Miałem, Rayu, uczniów, których uważałem za zdolniejszych od ciebie, gorliwszych i  
bardziej zainteresowanych nauką, ale przysięgam, nigdy nie miałem nadziei, że którykolwiek  
z nich będzie mnie uczyć! Ty pokazałeś mi, jak bardzo oślepiły mnie moje tradycje.

Yetta skłoniła się do przodu.

— A zatem, co zamierzacie czynić?

— Poszukiwać dziecka z największym rozgłosem! — wykrzyknął Thoder, ruszając do  
drzwi. — Wierzmy, że jest gdzieś tutaj w Kolegium, najprawdopodobniej w kwaterze  
Jivesa, gdzie jego płacz nie byłby niczym niezwykłym. Wiele młodych par niedźwiedzich,  
często byłych studentów wraca tu na krótki kurs po urodzeniu dzieci, sądząc, że szczęście jest  
czymś, co może przesączyć się z powietrza do dziecięcych kości!

— Czyż przekonanie to nie jest rozmyślnie podsycane? — spytałem, mając na myśli tę  
kobietę z polichromią włosów na głowie, która zatrzymała nas wcześniej.

— Oczywiście. To maksymalizuje kontrast między Niedźwiedziami i Centaurami two-  
rzącymi jedno społeczeństwo ściśle zaplanowane i drugie, radośnie akceptujące przypadko-  
wość jako główny czynnik życia.

Gdy śpieszyliśmy długimi przejściami łączącymi główny budynek Kolegium z mniej-  
szym, gdzie mieszkali studenci Niedźwiedzie, odczuwałem tak wielką ulgę, że niemal prze-  
stałem myśleć. Spoglądałem na dekoracje ściienne, widząc powtarzające się motywy, te same,  
co na zewnętrznych kopułach: gry hazardowe oraz symbole szczęścia i nieszczęścia. Część z  
nich była ciekawostkami archeologicznymi, jak na przykład widok pokoju z rozbitym zwię-  
rciadłem, wazonem z kwiatami tradycyjnie uważanymi przez Ziemian za zły omen, wiązką  
pawich piór, rozsypaną solą, nożami skrzyżowanymi na stole i otwartym parasolem. Oba-  
wiam się, że żaden parasol nie został nigdy przywieziony na Marsa. Nie widziałem nigdy  
żadnego, dopóki nie wylądowałem na Charigol podczas ulewnego deszczu.

Nie usiłowaliśmy zwracać na siebie uwagi ani też przemycić niepostrzeżenie. Widziała  
nas spora liczba ludzi, głównie studentów Niedźwiedzi rozproszonych po swoich pokojach w  
kopule Jivesa. Mój przytłumiony umysł ignorował ich.

Spostrzegłem go przypadkowo, tylko dzięki temu, że wyprzedzałem podstarzałego Thodera i, czekając chwilę w połączeniu korytarzy, rzuciłem okiem w innym kierunku. Momentalnie umknął z zasięgu mojego wzroku, ale to krótkie mignięcie przywróciło mi pełną przytomność.

Dyszałem. Yetta, która szła wolniej z uwagi na Thodera, podeszła do mnie pytając, co się stało.

— Widziałem Piotra Nizama — powiedziałem. — A cóż on tu robi? — spytałem i natychmiast odpowiedziałem sam sobie. — Na Kosmos! Oczywiście Lilith Choy poznała mnie, gdy jechaliśmy tutaj taksówką!

Thoder zbladł i rzucił z przyganą:

— Ależ to nie jest droga do pokoju Jivesa! — Wskazywał na przejście biegnące w przeciwnym kierunku do tego, w którym znikł Piotr.

W momencie, gdy wpadliśmy w drzwi pokoju Jivesa, stało się jasne, że Piotr, dodawszy dwa do dwóch, skojarzył w czym rzecz i przybiegł go ostrzec, aby ulotnił się w porę. W pokoju było pusto, lecz uciekli dopiero co. Otwarte drzwi szafy kołysały się, a w powietrzu unosił się zapach dziecięcej wilgoci.

— Któregoś dnia — powiedziała miękko Yetta — zamierzam powiedzieć, co myślę o ludziach traktujących dziecko jak rodzaj paczki, przedmiot handlu, coś, co można przekazywać z ręki do ręki. To dotyczy również ciebie, wuju.

— Którędy mogli uciec? — spytałem. — Czy jest wyjście tam, gdzie widziałem Nizama?

— Nie, ale można przejść przez następną kopułę i wrócić do wejścia!

— Spróbujmy odciąć im drogę — powiedziała Yetta. Skinąłem głową i wybiegłem z pokoju.

Tym razem ludzie, których spotykałem, byli wystarczająco zaintrygowani, aby utworzyć stadko ciekawskich i towarzyszyć mi, lecz nie dorównywali mojej szybkości. Wpadłem do holu, gdzie poprzednio spotkałem kobietę z niewiarygodną fryzurą. Była tam znowu, rozprawiając z grupą studentów w średnim wieku o straszliwym wtargnięciu, którego była świadkiem. Widząc mnie, przerwała z ręką przy ustach.

— Czy Jives szedł tędy? — rzuciłem jej pytanie. Nie odpowiedziała, lecz jęknęła, słaniając się z zamkniętymi oczami. Bez wątpienia sądziła, że jej prywatny zamek szczęścia zawalił się wskutek trzęsienia ziemi.

Od zdumionych i przestraszonych studentów nie dowiedziałbym się niczego, czego mógłbym być pewien. Rzuciłem się do okna przy głównym wyjściu, szukając wzrokiem kogoś podobnego do Jivesa lub Piotra.

I zobaczyłem! Niedaleko, nie przyssany do budynku z wyższym ciśnieniem, jak musiałyby to uczynić taksówka, stał prywatny samochód; wielka rzadkość na Marsie. W jego kierunku śpieszyło dwóch mężczyzn. Jeden wyglądał na Piotra, a drugi, obciążony podłużnym zawiniątkiem, w którym rozpoznałem ciśnieniowy pojemnik dziecinny, był Jivesem.

Wszedłem w czas rozszerzony szybciej niż kiedykolwiek i zrobiłem to tak głęboko, że maska, którą wcisnąłem na twarz, stała się ciężka jak ołów. Nawet moje ciało zrobiło się ospałe jak, zgodnie z tym, co mi mówiono, dzieje się to w wodzie na światach podobnych do Ziemi. Będąc Marsjaninem do szpiku kości, nigdy nie próbowałem pływać. Niemniej przekroczyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz z dzwonieniem w uszach, spowodowanym zbyt wielką dawką tlenu, gdyż w pośpiechu źle ustawiłem zasilanie maski.

Choć przez szyby samochodu nie mogłem zobaczyć dokładnie, byłem pewien, że Lilith musiała siedzieć za kierownicą, oczekując, by ruszyć z maksymalną prędkością zaraz po przybyciu towarzyszy. Zwykłe użycie czasu rozszerzonego nigdy by mnie do nich nie zbliżyło. Na szczęście opóźnił ich dodatkowy, przypadkowy czynnik działający na moją korzyść. Samochody projektowane do użytku na Marsie, ciężarówki ani żadne inne, nie mogły prze-



wozić śluz powietrznych wielkości budynków ani też zapasów powietrza potrzebnych do wypełniania wnętrza za każdym razem. Tak więc luk składał się z przedziału wielkości człowieka, z zasuwanymi drzwiami, z którego powietrze było usuwane za pomocą plastikowych opon przystosowujących się kształtem do postaci będącej w środku, podczas gdy drzwi z obu stron wykonywały swój cykl. Narzekałem zawsze, że marsjańskie pojazdy zdają się być obliczone na ziemskich karzełków. Tym razem błogosławiłem to.

Pojemnik z dzieckiem oznaczał, że śluza musi być używana nie dwu- lecz trzykrotnie. Nizam musiał wejść pierwszy, poczekać na dziecko i zabrać je, robiąc miejsce dla Jivesa.

Dogoniłem ich z krzykiem w chwili, gdy wkładali niemowlę do śluzy. Jives usłyszał mnie pomimo słabego rozchodzenia się dźwięku w naturalnym powietrzu, odwrócił się i zobaczył, że biegnę w ich kierunku. Stał na kilka sekund skamieniały z przerażenia, po czym zaczął uciekać razem z dzieckiem.

Musiałem już zakończyć swoje przejście w czas rozszerzony. Nie mogąc zużywać tlenu z prędkością konieczną do podtrzymania dwukrotnie szybszego działania, dotarłem tak daleko rzutem na taśmę biegacza długodystansowego. Niemniej moje serce biło radośnie. Jives, dzięki swoim mięśniom z obszaru silnej grawitacji, mógłby szybko oddalić się ode mnie, lecz wyczerpałbym go, sadząc za nim swoimi marsjańskimi susami i, zagnawszy na piaszczyste ścieżki, gdzie zabrnąłby beznadziejnie, ja — wielkostopy i przywykły do tutejszych warunków — miałbym nad nim przewagę, niczym wielbłąd nad koniem na ziemskiej pustyni.

Wkrótce stało się to dla niego jasne. Sądząc, że mnie wyprzedził, przystanął i spojrzawszy wstecz zobaczył, że wciąż bez trudu posuwam się tam, gdzie on walczył o każdy krok.

Trwoga odmalowała się na części jego twarzy nie ukrytej pod maską, a spękane od wiatru czoło porały zmarszczki przerażenia. Nagle zgiął się, stawiając pojemnik z dzieckiem. Nie porzucił go, lecz przez kilka sekund pochylał się nad nim i sądziłem, że szykuje się do obrony.

Wtem niespodziewanie rzucił się w prawo i już zamierzałem pobiec ukosem, wprost na niego, gdy coś zaświtało mi w głowie i skierowałem się w stronę dziecka.

Czyżby to było możliwe? Żaden Niedźwiedź nie potrafiłby tego zrobić z zimną krwią. Centaur tak, ale...

On jednak zrobił. Mogłem to stwierdzić, gdy byłem w odległości około dwudziestu kroków. Odłączył zbiornik od dziecinnego pojemnika. Zmarnowany tlen ulatniał się ze świstem, podczas gdy dziecko płakało, starając się złapać oddech.

Z krzykiem rzuciłem się na kolana, próbując drżącymi rękami ponownie połączyć przewody. Za późno. Zawór był w pełni otwarty, a ponieważ zaprojektowano go tak, aby umożliwiał zasilanie pojemnika nawet przy ziemskim ciśnieniu zera stóp nad poziomem morza, przy ciśnieniu marsjańskim stu tysięcy stóp kilka chwil otwarcia wystarczyło do całkowitego ułotnienia się zawartości.

Spojrzałem posępnie na twarz dziecka wykrzywioną pod przeźroczystą pokrywą pojemnika. Przez zaparowaną powierzchnię widziałem, jak dyszy gorączkowo. Pojemniki były bardzo nieporęczne, więc ich objętość zmniejszono maksymalnie. Dlatego tlenu wewnątrz mogło wystarczyć tylko na trochę.

Pozostała tylko jedna rzecz do zrobienia i zrobiłem ją bez zastanowienia. Po wzięciu kilku głębokich oddechów zamknąłem zawór łączący mój własny zbiornik z maską, odłączyłem przewód i połączyłem go z węzłem dyndającym przy pojemniku. Oczywiście złącza były standaryzowane, lecz wydawały się skręcone. Moja głowa zaczęła już odpływać, zanim mogłem ponownie otworzyć zawór.

Zobaczyłem, że oddech dziecka złągodniał, gdy moje oczy zamgliły się. Rozglądając się wokół, zobaczyłem Jivesa zawracającego w kierunku dziwacznych, pstrokatych kopuł kolegium. Nikt dotąd nie zdążył nałożyć maski i udać się w ślad za mną, a samochód z Piotrem i Lilith zatrzymał się, by zabrać Jivesa...

Przeniosłem się w skrócony czas i cały świat zatonął we mgle czerwieni.

## 21

Nie byłem pewien, czy powrócę ze strefy zmienionego czasu. Później wielokrotnie mówiłem sobie, że lepiej było pozostać w wiecznej pustce i milczeniu, gdyż wróciłem do mdłości, bólu i pasma szaleńczych, chaotycznych wizji, przez które czasami przedzierały się nierozpoznawalne dla mnie zdarzenia rzeczywiste. Czasami myślałem, że jestem znów dzieckiem pochwyconym w pułapkę i walczącym o złapanie oddechu, co mogło być wspomnieniem rzeczywistego urazu spowodowanego przystosowywaniem się do standardowego marsjańskiego powietrza po opuszczeniu kliniki, w której się urodziłem. Wtedy oczywiście byłem pewny, że nie udało mi się uratować dziecka, gdyż moje niezgrabne palce nie zdołały podłączyć zbiornika lub straciłem przytomność przed otwarciem zaworu. Jeżeli tak było naprawdę, nie chciałem wracać do świadomości i spoglądać na własną hańbę.

Nagle wszystko przeminęło i słaby, lecz cały leżałem w pokoju tonącym w półmroku, wśród bukietów kwiatów piaskowych w chroniących je wazonach. Przed każdym leżała biała karta. Gdy w końcu obudziłem się z ostatniej gorączkowej drzemki, taka karta była pierwszą rzeczą, jaką wyraźnie zobaczyłem. Przeczytałem na niej:

*Ze szczerym podziwem dla Raya. Yetta.*

Odwrociwszy głowę, zobaczyłem bardzo grubą ziemską dziewczynę w stroju pielęgniarki. Uśmiechnęła się, spytała, jak się czuję i, sprawdzwszy coś na instrumentach połączonych cienkimi kablami z moimi nadgarstkami i skroniami, stwierdziła, że teraz szybko wydobrzeję.

Ale poza zapewnieniem, że dziecko przeżyło, nie potrafiła nic powiedzieć o rzeczach, które mnie interesowały. Leżałem, dręcząc się, aż ponownie zapadłem w sen.

Pierwszym gościem, którego zezwolono mi przyjąć i pierwszą osobą, od której mogłem domagać się informacji, był jakże odmieniony Lugath. Znikły ostatnie ślady centauryjskiej sztywności. Nosił niedobre, przypadkowe ubranie i pozwolił włosom urosnąć na długość znacznie przekraczającą rozmiary czupryn oficerów centauryjskich. Mimo to w stanie spoczynku wyglądał na chorego, jakby zabrakło w jego życiu istotnego oparcia.

Na pytania, którymi go zarzucałem, odpowiadał nieprzytomnie.

— O tak, wszystko poszło tak, jak planowałeś. Jives? Zamierzają sądzić go za usiłowanie morderstwa i proniedźwiedzie sentymenty przeminęły w całym Starym Systemie, nie tylko na Marsie. Nizam i jego dziewczyna? O, na pewno proniedźwiedzia organizacja, dla której pracowali utraciła taką masę członków, że jest bliska bankructwa i nie wiem, co się z nimi stanie. Oczywiście nie zrobili nic karalnego, więc...

Housk? Jak mi powiedziano, z jego powodu Yetta nie mogła czekać, aż wyzdrowiejesz. Wiem, że chciała, ale zrobiła piekielną awanturę swojemu wujowi z powodu sposobu, w jaki traktowaliśmy bezbronne dziecko i — wiesz co? Myślę, że miała rację. Rzuciła mu w twarz jego własne nauki moralne, oczywiście prywatnie, aby nie niszczyć stworzonej przez siebie i wywołującej powszechną sympatię wizji skrzywdzonego dziadka...

Ale mówiłem o Housku. Musiała powrócić do Pegaza, aby wyjaśnić tam cały ten bałagan. Jej szef, doktor Snell, ma trudny charakter. Poza tym wśród marsjańskiego personelu kliniki pozostało przykre wrażenie, więc sprawa przekazania Houska jego własnym ludziom, aby mogli z nim po swojemu porozmawiać, została na razie odłożona. Zagotowało się wokół całej sprawy i nastąpił międzygwiazdny kryzys dyplomatyczny. Lecz sądzę, że to minie. A dzieciaka wzięła ze sobą, twierdząc, że ma lepsze, niż Thoder, możliwości opieki nad nim i oczywiście miała rację. Jak mówią, to jedna z najlepszych klinik położniczych na Marsie...

Stara Świątynia? To z powodu szyderstw Houska na jej temat marsjański personel kliniki tak się wzburzył. Nigdy nie uświadamiałem sobie, że dla ludzi znaczy ona tak wiele, a przynajmniej tyle, aby na jej temat nie zadawać kłopotliwych pytań. Jest to rodzaj bajki, prawda? Podobnej do tej o... jak go do diabła nazywają?... Świętym Mikołaju i jego reniferowym zaprzęgu! Ja sam zaczynam dziś podzielać te uczucia.

Nie wyobrażałeś sobie tego? Przepraszam, Rayu! Myślałem, że już pojąłeś. Zamierzam na stałe osiedlić się w Starym Systemie. Nie mogę już powrócić do lotów w przestrzeni, a to było moje życie. Niedźwiedzie mnie nie wezmą, gdyż doskonale wiedzą, że nie byłem ich agentem, jak sądzą Centaurowie, którzy właśnie z tego powodu również mnie nie zechcą. Jestem *persona non grata* na wszystkich zamieszkałych planetach na północ i południe od Starego Systemu. Przypadkowo i ciebie to spotkało.

Ale ty masz szczęście. Możesz powrócić na naprawdę swoją, rodzinną planetę. Czy wyobrazasz sobie, że nie dotknąłem stopą Ziemi przez trzydzieści dwa lata? Na ile jeszcze pozostała moja planeta? Ale wciąż sądzę, że przyszło nam płacić niewysoką cenę za możliwość wychowania tego dziecka, a potem i jego dzieci w pogardzie dla tak nieważnych etykietek, jak Centaur, Niedźwiedź, Ziemianin lub Marsjanin...

Przepraszam, że przyszło mi być tym, który ci te prawdy przedstawi, ale, mówiąc uczciwie, sądzę, że sam już do tego wszystkiego doszedłeś!

Oczywiście powinienem był. Jednak w moim stanie osłabienia wyrzekałem na nich gorzko. Tak samo jak z centauryjską i niedźwiedzią, istniały również statki z ziemską rejestracją. Mogłem pracować dla ziemskiej linii i wciąż latać w przestrzeni, ale Ziemia i Mars byłyby jedynymi planetami, między którymi mógłbym się poruszać, gdyż nigdzie indziej nie otrzymałbym zezwolenia na lądowanie. Co mogło być warte takie życie? Tak więc moja kariera przeminęła.

Co zamiast tego? Szare życie na wzór mego ojca? Moje oczy błędziły po białych karteczkach przy bukietach, jakby na nich szukając nadziei. Widocznie wszyscy byli pod wrażeniem tego, co zrobiłem lub raczej pod wrażeniem powszechnie znanej, nieco spaczonyj wersji moich poczynań. Niektórych w ogóle nie znałem, po innych nie spodziewałem się jakiegokolwiek zainteresowania. Na przykład po Gusie Quaisonie.

A mój ojciec? Muszę go odwiedzić. Dość już myślenia o tym, że Thoder był mi ojcem. Ostatecznie bezwiednie ujawnił, że, jak wszyscy, jest więźniem okoliczności. Wszyscy musimy się z tym pogodzić.

Gdy Thoder przyszedł mnie odwiedzić, nie przywitałem go zbyt gorąco. Wyczuł mój żal i usiadł w milczeniu naprzeciw łóżka jakby zirytowany przyjęciem, jakiego doznał.

Pozostawiłem go jego zmartwieniom, aż zdecydował się przemówić.

— Czy masz do mnie żal, Rayu? Czy w związku z historiami, które naopowiadał ci Lugath? Mówił mi, że zdaje się nie uświadamiać sobie, iż z powodu tego, co się wydarzyło, ani on, ani nikt z jego załogi nie otrzyma pozwolenia na...

— Nie, to nie to. Lub raczej nie to ma istotne znaczenie. — Ruchem wskazującym na znużenie przesunąłem ręką po oczach. — Leżąc tu i rozmyślając doszedłem do pewnego wniosku, sądzę, że takiego samego jak Yetta, dotyczącego ludzi traktujących żywe dziecko jak żeton do gry.

Wahał się. W końcu rzekł:

— Lecz spójrz szerzej, Rayu. Czy nie masz tego za złe jako Marsjanin?

— Do diabła, nie! I sądzę, że mam rozsądne podstawy do tego, by być dumnym, że nim jestem!

— Uczyniono z ciebie Marsjanina na długo przed twoim urodzeniem. Kształt społeczeństwa marsjańskiego został zaplanowany. Rzeczy, z których jesteś dumny: honor, tradycyjne sposoby postępowania nie rodziły się przypadkowo, lecz były częścią wielkiego planu ewolu-

cji ludzkości.

— Może akurat ten kawałek wyszedł nieźle. Reszta... — Zrobiłem grymas. — Niedźwiedzie? Myślałem, że to całkiem przywoici ludzie, ale Jives, będąc Niedźwiedziem, był zdolny zamknąć dziecku dopływ tlenu tylko dlatego, że obawiał się, iż Centaurowie mogą zażądać jego zwrotu. Ziemianie? Piotr i Lilith są Ziemianami i chcieli porwać oraz przemycić dziecko. Centaurowie śmierdzą wszystkim na odległość i, idąc dalej, Marsjanie, którzy z chęcią pozwalają, aby ich wnuczki...

— Rayu! — W nagłym gniewie Thoder pochylił się do przodu. — Oskarżałeś mnie o zaślepienie marsjańskim przywiązaniem do skrytości wówczas, gdy mogłem polegać na ogólnym współczuciu i naciskałeś, aby rozwiązać nasz problem twoim sposobem. Przyjąłem wyzwanie. Nie wyrzucam ci tego teraz. Czy nie prowadziłeś łatwego, n i e m o r a l n e g o życia na planetach Niedźwiedzi podczas przerw w twoich podróżach? Czy nie dogadzałeś sobie z wieloma dziewczynami, nie wyzywając ich? Shilene jest dorosłą kobietą w ciele dziecka, świadomie przeznaczoną do roli w grze, której wyników nigdy nie ujrzy. Czy myślisz, że pozwoliłbym jej wciągnąć się w to wszystko, gdybym nie wierzył, że stanie się tak, jak się stało?

Yetta mówiła mi, że gdy Housk szydził z Marsjan wierzących, iż Stara Świątynia jest prawdziwym tubylczym reliktem, ty, w przebłysku intuicji wyjaśniłeś, czemu służy to szlachetne kłamstwo, ten wspaniały mit, który, jak wszyscy rozumieją, stał się prawdą symboliczną. Mówiłeś, że twoi marsjańscy przodkowie byli gotowi umierać miliardy mil od domu dla dobra dzieci swoich dzieci. Czy z tej, która robi to samo zamierzasz szydzić tylko dlatego, że wybrała inny rodzaj poświęcenia? Czy dlatego, że gwałci twoje ograniczone, marsjańskie standardy podwójnej moralności?

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Począł, dając mi szansę na odpowiedź, po czym ciągnął dalej.

— Mówiliśmy o celach i ideałach, nieprawdaż? O przeznaczeniu ludzkości? Mówiłeś, że każde pokolenie musi wybrać własny cel i być przygotowane na to, że kolejna generacja go zmieni. To samo przekłete stwierdzenie odnosi się do etyki, będącej odbiciem ideałów. Mam nadzieję, że to nieprawda. Chciałbym być wystarczająco prymitywny, aby zaakceptować swojego rodzaju odkrywczy dogmat i zamknąć się. Ale kreśląc dowolne krzywe przedstawiające „postęp” w ilościach statków kosmicznych i pacjentów psychiatrycznych, przyjmujemy założenie, że znajdujemy się wewnątrz zamkniętego cyklu, który, powtarzając się w nieskończoność, ciągnie nas bezradnych ze sobą w górę i w dół lub jeszcze gorzej — wewnątrz labiryntu, który, być może ma wyjście, na pewno zaś ma drogi jeszcze przez nas nie przebyte. Nawet przy braku istotniejszych powodów, wolę drugą możliwość, która przynajmniej zapewni nam zmianę scenerii i uchroni przed nudą. A gdy dotrzemy do punktu, gdzie nie będziemy umieli znaleźć nowego obszaru poznania, cóż innego nam pozostanie, jak tylko stworzyć nowy rodzaj istot ludzkich, które będą to potrafiły?

Po chwili powiedziałem:

— Tak. Być może. Tak... Przypuszczam, że masz rację. Ale na razie mam własne życie do przeżycia i nie wiem, co z nim począć teraz, gdy moja kariera przeminęła i nie mogę już wrócić w przestrzeń. Dlatego się ciebie czepiam.

Wahał się, lecz w końcu powiedział:

— Wspomniałem o tym Yecie, która jest osobą przynajmniej równie wybitną, jak wszyscy członkowie naszej rodziny. Powiem ci, co rzekła.

Powiedziała: „Wracać w przestrzeń? Myślisz, że będzie chciał? Czy nie oczekujesz, że teraz, gdy zna wszystko, co mu przekazałeś, będzie chciał dzielić się swoją wiedzą, poczynając od tego, który sam nawinał się pod rękę w postaci dzieciaka mogącego zmienić historię?” Nie będę żyć wiecznie, Rayu. Wyobrażam sobie, że, jako mój zdolny uczeń uważasz, iż niektóre z rzeczy, których ciebie uczyłem powinny wejść w skład edukacji chłopca. Prawdą

jest, że nie znam nikogo, kto stosowałby moje nauki skuteczniej...

Wstał, śmiejąc się.

— Pomyśl o tym — powiedział. — A kiedy się zdecydujesz, powiedz Yetcie. Zrobisz to? Wydaje się, że raczej... hm... z niecierpliwością oczekuje na przyjęcie jej pomysłu.

Tak też zrobiłem.

Rzeczywiście oczekiwała.

KONIEC